

# Kobieta trzydziestoletnia



HONORÉ DE BALZAC

KOMEDIA LUDZKA

# *Kobieta trzydziestoletnia*

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

## OD TŁUMACZA

Wśród wszystkich utworów Balzaca, ten tytuł, *Kobieta trzydziestoletnia*, najbardziej może zrosł się z jego nazwiskiem: dla iluż osób stojących dalej od literatury, *Balzac* — to był autor *Kobiety trzydziestoletniej*. Jest to na pozór wypadek dość osobliwy: ani powieść ta nie jest najdoskonalszym utworem Balzaca, ani opowiadania, które się na nią składają, nie nosiły pierwotnie tego tytułu. Opowiadania te powstały między rokiem 1832 a 1835, mimo iż, skupiwszy je w całość, Balzac datuje ją latami 1828–1842. To przesunięcie chronologii wynika zapewne stąd: w pierwotnej redakcji były to oddzielne epizody; bohaterka ich<sup>1</sup> nie była nawet jedną i tą samą osobą! Później dopiero Balzac, widząc w nich jedność wewnętrzną, stopił je (o tyle o ile) w jedną całość, uczynił z nich życie jednej kobiety na przestrzeni paru dziesiątków lat. Stopienie to nie jest zresztą zupełne; czytelnik z łatwością zauważy, iż zarówno chronologia, jak i charakterystyka osób (np. generała d'Aiglemont), ich wzajemny do siebie stosunek, nie mają cech jednolitości. Zapewne, gdy rzecz rozgrywa się na tak znacznej przestrzeni lat, i charaktery, i stosunki mogą się zmienić; bądź co bądź, dla należytego zrozumienia tej książki nie od rzeczy jest znać jej genezę.

Mimo tych ułomności, nie dziwny się, że tytuł *Kobieta trzydziestoletnia* przylgnął tak do nazwiska autora. Jest on w całym jego dziele najbardziej poniekąd „programowy”. Streszcza jedno z tych jego *odkryć*, o których można powiedzieć, że doniosłość ich z literatury rozciągnęła się na samo życie.

Pierwszą niemal książką, którą Balzac wszedł w literaturę, była *Fizjologia małżeństwa*. Też znamienny tytuł. Kto przed Balzakiem zajmował się małżeństwem? — Nikt. Miłością owszem; a i to miłością romansową; ale małżeństwem nie. W tych dwóch słowach tytułu tkwił już cały Balzac: każde z nich było zarazem małą rewolucją. *Fizjologia*, ten naukowy termin w odniesieniu do rzeczy, której pojęcie leżało poza obrębem nauki; to brutalne słowo w stosunku do spraw wprzód rozważanych jedynie z punktu „harmonii dusz”... Od *fizjologii* małżeństwa zaczyna się też w tej powieści jego psychologia.

Tak samo i tytuł *Kobieta trzydziestoletnia* jest małą rewolucją. Przed Balzakiem kobieta w ogóle nie ma wieku. Kochanka jest z obowiązku młoda i piękna; nikt jakoś nie zauważył, że w życiu plecie się różnie. Niejeden może jak Balzac pić pierwsze słodczyce miłości z ust kobiety wyżej lat czterdziestu, ale w literaturze transponowało się to na szesnastoletnią dziewczę lub raczej w ogóle nie było przyjęte określanie wieku. Przez parę stuleci abstrakcyjnej literatury nie zauważono, że wiek ludzki odbył tymczasem ewolucję. Królowa Nawarry, autorka *Heptatmeronu*, mawiała, że „po trzydziestce kobieta powinna zmienić przydomek *piękna* na *dobra*”... Okropność!

<sup>1</sup>były to oddzielne epizody; bohaterka ich (...) — Sam Balzac pisze o tym w przedmowie z r. 1834 tak: „Wiele osób pytało, czy bohaterka... nie jest pod różnymi nazwiskami jedną i tą samą osobą. Autor nie umiał odpowiedzieć na te pytania. Ale może myśl jego wyrazi się w tytule, który łączy te rozmaite sceny. Osoba, która przebywa niejako sześć obrazów... to nie jest postać; to jest myśl. Im bardziej ta myśl przywdziewa rozmaite stroje, tym lepiej oddaje intencje autora. Ambicją jego jest zrodzić w duszy mglistą zadumę, w której kobiety zdołałyby odnaleźć pewne wrażenia, wspomnienia, wyczytać z niej pewne nauki... Kobiety wypełnią zapewne te luki; być zaś jednako zrozumianym przez wszystkich, to niepodobieństwo...”. Mimo to później Balzac dał bohaterce sześciu epizodów jedno nazwisko. [przypis tłumacza]

Przyczyny tej ewolucji (poza rozwojem kosmetyki i higieny) są rozmaite. Przede wszystkim trzeba powiedzieć, że literatura żyje w znacznej mierze konwencją, konwencja zaś ta szła z Włoch i z Hiszpanii, owych kolebek literatury pięknej, gdzie, jak wiadomo, kobieta wcześniej dojrzewa i wcześniej przekwita, i gdzie w miłości dominuje przede wszystkim jej prosty zmysłowy wyraz. W życie natomiast wkradł się inny czynnik, niezmiernie z pewnością szlachetny i ważny, mianowicie przesunięcie w znacznej mierze wartości miłosnych ze sfery fizycznej na duchową, na intelektualną. Czyż tym, czym była dla Balzaca pani de Berny, kochanką, przyjaciółką, powiernicą, pomocnicą jego prac, mogła być szesnastoletnia lub nawet dwudziestoletnia dziewczyna? „Jedynie ostatnia miłość kobiety może nasycić pierwszą miłość mężczyzny”, te słowa, którymi Balzac, zapewne przez wspomnienie swojej pierwszej miłości, kończy historię o *Księżnej de Langeais*, były wówczas rewolucyjnie śmiałe.

Balzac obala obowiązującą poetykę, która na ołtarzu stawia dziewiczą młodość i która przebierała realności życia w poetyckie transpozycje. Jak wszędzie, tak i tutaj, Balzac widzi (dar niezmiernie rzadki!) życie bezpośrednio, a nie przez pryzmat konwensu literatury. Szczerść jego, bezwzględna, brutalna, która z tej *Komedii ludzkiej* czyni, obok *Wyznań* Russa, najodważniejszą może spowiedź, i tu otwiera oczy na rzeczywistość. Naraz zjawia się pisarz, który tę fatalną przed nim i tak głupio poniżoną „trzydziestkę” (a Balzac przeciąga ją delikatnie dość daleko) stroi we wszystkie uroki; który w lekko zmęczonych rysach kobiety widzi całe bogactwo serca i myśli, i zmysłów, o ileż ponętniejsze od banalnych i bezosobistych powabów młodości. Z jakimż zachwytem kobiety ówczesne musiały czytać tę nową ewangelię, o tym nie możemy mieć nawet pojęcia dziś, gdy przesąd wieku dawno jest przewyciężony, gdy kobieta trzydziestoletnia jest... niemal dzieckiem i gdy w ogóle spojrzenie Balzaca na te sprawy weszło w krew pokoleń.

Balzac zrywa z dawną heroiną romansów, która była zawsze „młoda i piękna”. Miłość u niego nie jest abstrakcją, ale jest żywą siłą; i to siłą nie działającą w próżni, ale w realnych warunkach społecznych; współgrająca z całym splotem sił. Jest wypadkową instynktu, ambicji, próżności, interesu, intelektu. Rzetelne odmierzenie tych sił sprawia, że prawdziwą heroiną romansu okazuje się nie osiemnastoletnia dziewczyna, jak chciał konwens powieściowy, ale trzydziestoletnia mężatka i taką też na długo zostaje heroina pobalzakowskiej powieści.

Ale nie tylko pod tym względem powieść ta jest rewelacją. Zważmy sam jej początek: zadzierżgnięcie romansu Julii i Wiktora. Cóż widzimy? Młodą dziewczynę i napoleońskiego junaka, coś niby Mickiewiczowską Zosię i Tadeusza, tę idealną parę wyciętą jak z winiety. Jak odnosiła się do takiej pary powieść? Z chwilą, gdy młodzi się pobiorą, był koniec powieści; któż troszczył się o to, jak popłynie pożycie Zosi z Tadeuszem albo Anieli z Gustawem ze *Ślubów Panieńskich*? Otóż Balzac zauważył rzecz tak prostą jak jajko Kolumba: mianowicie, że tam, gdzie powieść się zazwyczaj kończy, tam życie się dopiero zaczyna; zwłaszcza dla kobiety. Ogarnął swą koncepcją wieloplanowość życia, różność człowieka zależnie od warunków, w jakich się znajdzie, i od żądań, jakie mu życie stawia. Ten, kto byłby bohaterem w bitwie, może być szubrawcem jak Filip Bridau albo durniem jak Wiktor d'Aiglemont. Dalej jeszcze jedno odkrycie. Kiedy pobrało się dwoje młodych ludzi, pięknych, bogatych, coż może stać na przeszkodzie ich szczęściu? Chyba jakieś wielkie katastrofy. Otóż Balzac poddaje analizie życie codzienne, potoczne, to, którym powieść nie raczyła się zajmować. Ukazuje, jakie dramaty może stworzyć samo życie, prostym faktem gry swoich sił. Ukazuje, jak ciężką próbą jest małżeństwo samo w sobie, nawet przy najbardziej sprzyjających zewnętrznych warunkach. Pierwszy raz może spowiada kobiety — jak owa stara ciotka — z ich najtajniejszych, najwstydliwiej ukrywanych niedoli i zawodów. Wprowadza, on pierwszy, moment życia *fizycznego*, które wprzód, o ile bywało brane w rachubę, to jedynie w najbanalniejszym problemie „młodej żony przy starym mężu” i służyło raczej za temat do konceptów. Słowem, on pierwszy odsłania całą zawilłość, całą dramatyczność powszedniego życia.

Zarazem ta powieść jest dokumentem *feminizmu* Balzaca. Zanim George Sand zaczęła walczyć o wolność kobiety, tutaj, u Balzaca, pada już to ciężkie, brutalne słowo: „małżeństwo takie, jak dziś istnieje, jest legalną prostytutką”. Namiętna tyrada, którą wyrzuca z siebie w rozmowie z proboszczem wiejskim hrabina Julia, jakimż echem musiała

się rozlegać w sercach kobiet całej Europy! Balzac był jednym z pierwszych szermierzy walczących o tę przyszłość kobiety, która dopiero w naszych oczach staje się rzeczywistością.

Balzakowskie jest to ogarnianie życia na szerokiej przestrzeni i to wiązanie odległych na pozór jego zjawisk. Odślania nam kompleks walk, zawodów, zawiedzionych marzeń, dramatów, które później dla publiczności streszczały się w jednym słowie: „Pani X. ma kochanka”.

Dziś życie kobiety jest sferą, w której stosunki od czasów Balzaca przeobraziły się może najistotniej. Ale może gdzieś, „w jakim cichym dworze”, daleko od połączeń kolejowych lub na zapadłej prowincji tłucze i dziś jeszcze głową o ścianę swojej klatki jakaś „kobieta trzydziestoletnia”. Dla niej ta książka będzie żywym słowem. Dla innych kobiet, jakże cudownie wolnych w porównaniu z życiem ich babek, będzie wzruszającym dokumentem doli kobiecej.

I ta powieść, jak niedawno wydana po polsku *Historia trzynastu*, nosi obok balzakowskiego realizmu piętno epoki, z której powstała. To owa domieszka romantyzmu. Korsarz! Życie wolne, życie buntu, swobody, przeciwstawione dusznemu gmachowi społecznemu i tu znajduje swój wyraz pełen uroczych dzieciństw. Kontrasty te, które mogłyby przyprowadzić o wzruszenie ramion przygodnego czytelnika *Kobiety trzydziestoletniej*, dodadzą książce tej wdzięku w oczach tych, którzy — mam nadzieję — nauczyli się czytać, rozumieć i podziwiać Balzaca.

Warszawa, w czerwcu 1926.

## I. PIERWSZE BŁĘDY

Było to w początku kwietnia roku 1813, w niedzielę. Ranek wróżył jeden z owych pięknych dni, w których paryżanie pierwszy raz w roku widzą bruk bez błota i niebo bez chmur. Przed południem wykwintny kabriolet zaprzężony w parę rączych koników skręcił w ulicę Rivoli z ulicy Castiglione i zatrzymał się za kilkoma pojazdami u tarasy des Feuillants. Lekki ten pojazd prowadził człowiek o wyglądzie stroskanym i chorowitym. Siwiejące włosy, niedostatecznie okrywające żółtą czaszkę, postarzały go przedwcześnie. Rzucił lejce konnemu lokajowi jadącemu z tyłu, aby pomóc wysiąść młodej dziewczynie, której subtelna uroda ściągnęła uwagę przechodniów.

Mała osóбка, znalazłszy się na stopniu, pozwoliła się ująć wpół i okoliła ramionami szyję swego opiekuna, który ją postawił na chodniku, nie zmiąwszy falbanek zielonej rypsowej sukienki. Kochanek nie byłby tak uważny. Nieznajomy musiał być ojcem tej dziewczynki, która nie dziękując, ujęła go poufale pod ramię i pociągnęła do ogrodu. Stary ojciec zauważył zachwycone spojrzenia paru młodych ludzi; smutek na jego twarzy pierzchnął na chwilę. Mimo iż od dawna doszedł wieku, w którym mężczyznom trzeba się zadowolić zwodnymi uciechami próżności, uśmiechnął się.

— Biorą cię za moją żonę — szepnął do młodej osóбки, prostując się i krocząc powoli, ku jej rozpaczy.

Widocznie dumny był z córki i bardziej może od niej cieszył się spojrzeniami, jakimi ciekawi obejmowali jej brązowe; prunelowe ciżemki, rozkoszną kibić pod lekką sukienką oraz świeżą szyjkę wychylającą się z haftowanego kołnierzyka. Żywszy ruch podnosił niekiedy suknię dziewczyny i pozwalał oglądać ponad ciżemkami zgrabną nóżkę w gładkiej ażurowej pończoszce. Toteż niejednen przechodzień wyprzedził tę parę, aby ujrzeć raz jeszcze młodą twarzyczkę, dokoła której igrały ciemne pukle. Białość jej i rumieniec podnosił jeszcze odbłask różowego atlasu, którym podbity był wykwintny kapturek; a niemniej pragnienie i niecierpliwosć iskrzące się w rysach ładnej osóбки. Niewinny spryt błyszczał w czarnych oczach, wyciętych w migdał, strojnych ładnym łukiem brwi, długimi rzęsami, oczach wilgotnych i lśniących. Życie i młodość roztaczały swoje skarby na tej figlarnej twarzyczce i na biuście<sup>2</sup> powabnym, mimo paska umieszczonego ówczesną modą pod samymi piersiami.

<sup>2</sup>biust (daw.) — tu ogólnie: górna część tułowia; popiersie. [przypis edytorski]

Nieczuła na holdy, dziewczyna patrzyła z wyraźnym niepokojem na pałac Tuillerii, będący widocznie celem jej niecierplivej przechadzki. Było trzy kwadransy na dwunastą<sup>3</sup>. Mimo że godzina była wczesna, wiele kobiet, wyraźnie postrojonych, wracało z pałacu, odwracając głowę z dąsem, jakby nierade, że się spóźniły na upragnione widowisko. Kilka słów niezadowolenia, jakie piękna nieznajoma pochwyciła na ustach strojnych kobiet, zaniepokoiło ją widocznie. Starzec śledził okiem bardziej ciekawym niż drwiącym oznaki niecierpliwości i lęku malujące się na uroczej twarzy towarzyszki; a przyglądał się jej zbyt bacznie, aby pod tym spojrzeniem nie kryła się jakaś myśl ojcowska.

Była to trzynasta niedziela roku 1813. Za dwa dni Napoleon miał ruszyć na ową nieszczęsną kampanię, w której miał stracić kolejno Bessieres'a i Duroca, wygrać pamiętne bitwy pod Lützen i Bautzen, patrzeć na zdradę Austrii, Saksonii, Bawarii i Bernadotte'a i stoczyć straszliwy bój pod Lipskiem. Wspaniała parada zarządzona przez cesarza miała być ostatnią z parad, które tak długo budziły podziw paryżan i cudzoziemców. Stara gwardia gotowała się po raz ostatni wykonać uczone obroty, których dokładność zdumiewała niekiedy samego olbrzyma gotującego się do pojedynku z Europą. Smutne uczucie przywiodło do Tuillerii świetną i ciekawą publiczność. Każdy niejako odgadywał przyszłość i przeczuwał może, iż nieraz wyobraźnia będzie musiała odtworzyć sobie obraz tej sceny, kiedy ta heroiczna epoka Francji nabędzie, jak dziś, odcienia niemal bajki.

— Prędej, prędej, ojczu — przymilała się panienka, ciągnąc za sobą starca. — Słyszę bębny.

— To wojsko wchodzi do Tuillerii — odparł ojciec.

— Albo defiluje, wszyscy wracają! — odparła z dziecinną goryczą, która sprawiła, że starzec się uśmiechnął.

— Parada zaczyna się dopiero o wpół do pierwszej — rzekł ojciec, ledwie mogąc nadążyć porywczej dziewczynie.

Idąc, machała prawą ręką, jak gdyby sobie pomagała w biegu. Mała jej rączka w obcisłej rękawiczce gniotła niecierpliwie chusteczkę, podobna wiosłu prującym fale. Starzec uśmiechał się, ale chwilami wyraz troski osmucał<sup>4</sup> jego wyschlą twarz. Miłość do tego ślicznego stworzenia sprawiała, iż zarówno cieszył się teraźniejszością, co lękał się przyszłości. Mówił niejako sam do siebie:

„Jest szczęśliwa dzisiaj, czy będzie nią zawsze?”

Bo starcy skłonni są darzyć własnymi cierpieniami przyszłość młodych. Kiedy ojciec z córką dotarli do pawilonu, z którego powiewała trójbarwna chorągiew i którą przechodzi się z Tuillerii na plac Karuzeli, warty ozwały się surowo: „Już nie wolno!”

Dziewczyna wspięła się na palcach i ujrzała tłum strojnych kobiet po obu stronach marmurowej arkady, przez którą miał wyjść cesarz.

— Widzisz, ojczu, wyszliśmy za późno.

Strapiona minka zdradzała, jak bardzo zależało jej na tym, aby być na rewii.

— A więc, Julciu, chodźmy; nie lubisz tłoku.

— Zostanemy, papo. Stąd mogę choć widzieć cesarza; gdyby zginął w tej kampanii, nigdy bym go nie widziała.

Ojciec zadrzał, słysząc te samolubne słowa, bo córka miała łzy w oczach. Spojrzał na nią, spostrzegł pod przymkniętą powieką parę łez, wyciśniętych nie tyle zawodem, ile jednym z owych pierwszych zmartwień, których tajemnicę nietrudno odgadnąć staremu ojcu. Naraz Julia zarumieniła się i wydała lekki krzyk, którego nie zrozumiał ani sztyldwach, ani starzec. Na ten krzyk oficer, który biegł ku schodom, odwrócił się, zbliżył się do arkady, poznał młodą osobę zasłoniętą przez grenadierskie bermyce i natychmiast uchylił dla tej pary wydany przez siebie zakaz. Następnie nie troszcząc się o szemranie wykwińskiego tłumu oblegającego arkadę, przyciągnął z lekka ku sobie uszczęśliwioną dziewczę.

— Nie dziwi mnie już jej gniew ani pośpiech, skoro ty jesteś na służbie — rzekł starzec wpół drwiąco do oficera.

<sup>3</sup>trzy kwadransy na dwunastą (daw.) — za kwadrans dwunasta; jedenasta czterdzieści pięć. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>osmucać — dziś: zasmucać. [przypis edytorski]

— Drogi panie — odparł młodzieniec — jeżeli państwo chcecie mieć dobre miejsce, nie traćmy czasu na gawędę. Cesarz nie lubi czekać, a marszałek posyła mnie, aby go uprzedzić.

To mówiąc, ujął dość poufale rękę Julii i pociągnął ją w stronę Karuzelu. Julia spostrzegła ze zdumieniem tłum cisnący się między szarymi murami pałacu a łańcuchem okalającym wielki, piaskiem wysypany dziedziniec. Kordon ustawiony, aby zabezpieczyć miejsce dla cesarza i sztabu, z trudnością bronił się naciskowi tłumowi brzęczącego jak rój pszczół.

— To będzie bardzo ładnie? — spytała Julia z uśmiechem.

— Niechże pani uważa! — wykrzyknął oficer, ujmując Julię wpół i unosząc ją zręcznie, aby ją postawić tuż koło kolumny.

Gdyby nie ten energiczny gest, ciekawą jego kuzynkę byłby potrafił biały koń w aksamitnym złoto-zielonym rzędzie. Mameluk Napoleona trzymał go za uzdę, prawie pod arkadą, o dziesięć kroków za innymi końmi czekającymi na świtę cesarza. Młody człowiek umieścił ojca i córkę koło słupa, przed tłumem i skinieniem głowy polecił ich dwóm starym grenadierom. Kiedy oficer wracał do pałacu, wyraz radości i szczęścia zajął na jego twarzy miejsce lęku spowodowanego nagłym ruchem konia: Julia ścisnęła mu tajemnie rękę, aby podziękować za tę drobną usługę, czy aby rzec: „Zobaczę pana nareszcie!”. Skinęła nawet główką w odpowiedzi na pełen szacunku ukłon, jaki oficer złożył, zanim znikł szybko.

Starzec, który jak gdyby umyślnie zostawił młodych, stał poważnie za córką, ale przyglądał się jej ukradkiem, udając — aby jej nie spłoszyć — że pochłonięty jest wspaniałym widowiskiem, jakie przedstawiał w tej chwili Karuzel. Kiedy Julia zwróciła na ojca wzrok niespokojnego uczniaka, starzec odpowiedział łagodnym i wesołym uśmiechem; ale bystre jego oko biegło za oficerem aż do arkady i żaden szczegół tej krótkiej sceny nie uszedł jego baczności.

— Co za piękny widok — szepnęła Julia, ściskając ojca za rękę.

Wspaniała, malowniczy obraz, jaki przedstawiał w tej chwili Karuzel<sup>5</sup>, wydarł ten okrzyk tysiącom widzów. Wszystkie twarze były olśnione. Drugi rząd publiczności, równie stłoczony jak ten, w którym znajdował się starzec z córką, zajmował równoległe do pałacu szczupłą przestrzeń wzdłuż kraty. Barwne stroje kobiet uwydatniały olbrzymi czworobok, jaki tworzą zabudowania Tuillerii oraz świeżo wówczas założone sztachety. Pułki starej gwardii, które miały odbyć rewię, wypełniały to obszerne pole, tworząc na wprost pałacu imponujące błękitne linie grube na dziesięć szeregów. Poza tą przestrzenią i w samym Karuzelu znajdowały się równoległe ustawione pułki piechoty i kawalerii gotujące się do defilady pod łukiem tryumfalnym, na którego szczycie widniały w owej epoce wspaniałe weneckie konie. Muzyka wojskowa, umieszczona pod galeriami Luwru, zakryta była przez pełniących służbę polskich lansjerów. Większa część wysypanego piaskiem czworoboku była pusta niby arena przygotowana dla poruszeń owych niemych ciał, których masy, rozmieszczone z całą symetrią sztuki wojennej, odbijały promienie słońca w trójgraniastych zwierciadłach dziesięciu tysięcy bagnetów. Wiatr, poruszając kitki żołnierskie, kołysał nimi jak lasem gnącym się pod naporem wichru. Te stare pułki, błyszczące i nieme, uderzały tysięcznymi kontrastami barw, zrodzonymi z różnorodnością mundurów, wyłogów, broni i akselbantów.

Ten olbrzymi obraz, miniatura pola bitwy przed walką, znalazł bogatą i poetyczną ramę w majestatycznych budynkach, których nieruchomość naśladowali niejako wodzowie i żołnierze. Widz mimo woli porównywał te mury ludzi z murami z kamienia. Wiosenne słońce, zalewające swym blaskiem po równi ściany wzniesione wczoraj jak stare odwieczne mury, oświecało w całej pełni niezliczone ogorzałe twarze opowiadające o niebezpieczeństwach minionych i oczekujące poważnie niebezpieczeństw przyszłych. Jedyne pułkownicy krążyli poza frontem utworzonym przez tych bohaterskich ludzi. Dalej, za masą owych wojsk upstrzonych srebrem, błękitem, purpurą i złotem, ciekawi mogli ujrzeć trójbarwne chorągiewki sześciu niezmordowanych jeźdźców polskich, którzy podobni psom prowadzącym trzodę uganiaли wciąż między wojskiem a publicznością, aby ciekawym nie dać przekroczyć szczupłego miejsca, jakie im wyznaczono przy kracie. Gdyby

<sup>5</sup>Karuzel — spolszczona nazwa od: Le Place du Carrousel. [przypis edytorski]

nie ten ruch, można by mniemać, że się jest w pałacu śpiącej królowej. Wietrzyk wiosenny, który wiał przez bermyce grenadierów, uwydatniał nieruchomość żołnierzy, jak głuchy szmer tłumy pogłębiał ich milczenie. Czasami tylko odgłos bębna lub mimowolne potrącenie wielkiego bębna powtórzone przez echa pałacu przypominały odległy grzmot zwiastujący burzę.

Nieopisany zapal czuło się w oczekującym tłumie. Francja miała się pożegnać z Napoleonem w przededniu kampanii, której niebezpieczeństwa rozumiał najlichszy z mieszkańców. Tym razem chodziło dla cesarstwa o kwestię bytu. Ta myśl ożywiała zarówno cywilną ludność, jak armię, które cisnęły się jednakowo milczące na placu, gdzie władza orły i geniusz Napoleona.

Ci żołnierze, nadzieja Francji, ci żołnierze, ostatnia kropla jej krwi, również byli przedmiotem niespokojnej ciekawości widzów. Między większością obecnych a wojskowymi odbywały się pożegnania, może na wieki; ale wszystkie serca, nawet najbardziej wrogie cesarzowi, słały do nieba modły za chwałę ojczyzny. Ludzie najbardziej zmęczeni walką między Europą a Francją odłożyli swoje nienawiści, przechodząc pod łukiem tryumfalnym, pojmując, że w dniu niebezpieczeństwa Napoleon to cała Francja.

Zegar pałacowy wydzwonił w pół. W tej chwili szmer tłumy ucichł; cisza stała się tak głęboka, że usłyszaloby się głos dziecka. Starzec i jego córka, którzy zdawali się żyć jedynie wzrokiem, usłyszeli dźwięk ostróg oraz szcęk szabel rozlegający się pod przysionkiem pałacu.

Mały człowiek, dość otyły, ubrany w zielony mundur, w białych spodniach, w butach ze sztylpami, ukazał się nagle. Na głowie miał trójgraniasty kapelusz mający tyleż uroku, co i sam człowiek; szeroka wstęga Legii Honorowej bujała mu na piersi; niewielka szpada u boku. Człowieka tego spostrzegły wszystkie oczy naraz, ze wszystkich punktów. Natychmiast ozwały się bębny, dwie orkiestry uderzyły akord, którego wojenny ton podjęły wszystkie instrumenty od najsłodsze fletu aż do wielkiego bębna. Na tę męską pobudkę serca zadrżały, chorągwie pochylały się, żołnierze sprezentowali broń jednomyślnym i regularnym ruchem, który wstrząsnął wszystkie fuzje od pierwszego do ostatniego szeregu. Komenda przebiegała od szeregu do szeregu jak echo. Rozentuzjowany tłum wydawał okrzyki: „Niech żyje cesarz!”. Wszystko zaczęło drżeć, poruszać się, chwiać. Napoleon wszedł na konia. Gest ten nadał życie tym milczącym masom, dał głos instrumentom, rozmach orłom i sztandarom, wzruszenie twarzom. Wyniosłe mury starego pałacu zdawały się krzyknąć również: „Niech żyje cesarz!”. To było już coś nadludzkiego, to był czar, wizja potęgi bożej lub raczej przelotny obraz tego tak przelotnego panowania. Człowiek otoczony taką miłością, entuzjazmem, poświęceniem, życzeniami, człowiek, dla którego słońce spędziło chmury z nieba, siedział na koniu, o trzy kroki przed złocistą świtą, mając Wielkiego Marszałka po lewej ręce, a marszałka służbowego po prawej. Wśród tylu wrażeń, jakie budził, żaden rys jego twarzy nie drgnął.

— Och, tak. Pod Wagram w największym ogniu, pod Moskwą pośród trupów ON zawsze jest jednak spokojny!

Taką odpowiedź dał na liczne pytania grenadier, który znajdował się koło młodej dziewczyny. Julia utonęła na chwilę w tej twarzy, której spokój świadczył o pewności i mocy. Cesarz spostrzegł pannę de Chatillonest i pochylał się do Duroca, aby mu szepnąć coś, co wywołało uśmiech Wielkiego Marszałka. Zaczęły się manewry. Jeśli dotychczas młoda osobka dzieliła swą uwagę między niewzruszoną twarz Napoleona a błękitne, zielone i czerwone linie wojska, w tej chwili, wśród szybkich i regularnych poruszeń starych żołnierzy, zajęła się prawie wyłącznie młodym oficerem, który uwijał się między szeregami i wracał niestrudzenie do grupy, na której czele błyszczała skromna postać Napoleona. Oficer ten, siedzący na pysznym karym koniu, wyróżniał się w pstrym tłumie błękitnym mundurem ordynansów cesarza. Hafty błyszczały w słońcu tak jasno, a smułka kitka na czaku migotała tak żywym blaskiem, że widzowie mimo woli przyrównywali go do błękitnego ognika, do niewidzialnej duszy, której cesarz kazał ożywiać i prowadzić bataliony. Broń migotała ogniem, kiedy na znak dany jedynie jego oczami szeregi łamały się, skupiały, przewalały się niby odmet móż lub przepływały przed nim niby długie, proste i wysokie fale, jakimi rozgniewany ocean ciska o brzegi.

Kiedy manewry się skończyły, oficer ordynansowy nadjechał pędem i zatrzymał się przed cesarzem, czekając rozkazów. W tej chwili był o dwadzieścia kroków od Julii, na

Przywódca, Żołnierz

wprost grupy cesarskiej, w postawie dość podobnej do tej, jaką Gerard dał generałowi Rapp w obrazie przedstawiającym bitwę pod Austerlitz. Dziewczyna mogła wówczas podziwiać swego wybrańca w całym jego marsowym blasku.

Pułkownik Wiktor d'Aiglemont, liczący ledwie trzydzieści lat, był wysoki, smukły, dobrze zbudowany, a przymioty te uwydatniały się najlepiej wówczas, kiedy powodował koniem; kształtny grzbiet zwierzęcia gwał się niejako pod jego ręką. Męska i smągła twarz posiadała ów niewytłumaczony czar, jaki daje młodym ludziom doskonała regularność rysów. Czoło miał szerokie i wyniosłe. Płomiennie oczy, ocienione gęstymi brwiami i okolone długimi rzęsami, rysowały się białym owalem między tymi dwiema czarnymi liniami. Nos był zgrabny jak łuk orlego dzioba. Czerwień ust lśniła pod obowiązującym czarnym wąsikiem. Szerokie i rumiane policzki barwiły się ciemniejszymi tonami, świadczącymi o niepospolitej sile. Cała twarz, nosząca piętno dzielności i odwagi, przedstawiała typ, jakiego szuka dziś artysta, kiedy chce przedstawić bohatera cesarskiej Francji. Koń zlany potem, niecierpliwie kręcący głową, zaryty przednimi nogami w ziemię machał długim i obfitym ogonem, a posłuszeństwo jego było żywym obrazem posłuszeństwa jego pana wobec cesarza. Widząc swego ukochanego tak chciwie chwytającego spojrzenia Napoleona, Julia uczuła drgnienie zazdrości na myśl, że on jeszcze na nią nie spojrział.

Naraz, na jedno słowo wyrzeczone przez władcę, Wiktor spina konia i puszcza się galopem; ale cień kolumny padający na piasek przeraża konia, który się płoszy, cofa, staje dęba. Julia wydaje krzyk, blednie, wszyscy patrzą na nią ciekawie, ona nie widzi nikogo; oczy jej wpiły się w zbyt ognistego konia, którego oficer karci, spiesząc z rozkazem Napoleona. Wzruszenia te tak pochłonęły Julię, że bezwiednie uczepliła się ręki ojca, zdradzając mu mimo woli swoje myśli drżeniem palców. Kiedy Wiktor omal nie runął z koniem, uczepliła się ojca jeszcze silniej, jak gdyby jej samej groził upadek. Starzec spoglądał z posępnym niepokojem na rozjaśnioną twarz córki; litość, zazdrość, nawet żal odbiły się w jego zmarszczkach. Ale kiedy niezwykle blask ócz Julii, kiedy jej krzyk oraz konwulsyjny skurcz palców zdradziły mu do reszty tajemną jej miłość, musiał ujrzeć zapewne jakąś smutną wizję przyszłości, bo twarz jego przybrała złowrogi wyraz. W tej chwili dusza Julii jak gdyby przeszła w duszę oficera. Myśl okrutniejsza od wszystkich tych, które gnębiły go dotąd, ściągnęła zboliałą twarz starca, kiedy ujrzał, jak d'Aiglemont, mijając ich, wymienił spojrzenie z Julią, której oczy były wilgotne, a policzki zarumieniły się żywo. Pociągnął żywo córkę do ogrodu.

— Ależ ojciec — rzekła — są jeszcze na placu pułki, które będą manewrować.

— Nie, dziecko, cała armia defiluje.

— Mnie się zdaje, papo, że ty się mylisz. Pan d'Aiglemont właśnie dał rozkaz...

— Moje dziecko, jestem cierpiący i nie mogę zostać.

Julia bez trudu uwierzyła ojcu, kiedy spojrzała na jego twarz, która pod wpływem rodzicielskich niepokojów przybrała wyraz znękaną.

— Bardzo cierpisz? — pytała obojętnie, tak dalece myśl jej była gdzie indziej.

— Czyż każdy dzień nie jest mi darowany? — odparł starzec.

— Znowu mnie chcesz martwić, mówiąc mi o śmierci. Byłam tak wesoła! Zaraz proszę mi wypędzić te czarne myśli.

— Ach — westchnął ojciec — zepsute dziecko. Najlepsze serca bywają bardzo okrutne. Oddać wam życie, myśleć jedynie o was, pracować na wasz dobrobyt, poświęcić waszym kaprysom istnienie, ubóstwiać was, oddać nawet krew, więc to nic? Ach, tak, wszystko przyjmujecie niedbale. Aby wciąż zdobywać wasze uśmiechy i waszą łaskawą miłość, trzeba by mieć potęgę Boga. A potem w końcu przychodzi inny! Kochanek, mąż i wydzierają nam wasze serca.

Julia spojrzała zdziwiona na ojca, który szedł wolno i patrzył na nią blado.

— Kryjcie się nawet przed nami — ciągnął — ale może i przed sobą...

— Co ty mówisz, ojciec?

— Myślę, Julio, że ty masz jakąś tajemnicę. Ty kochasz — podjął żywo starzec, widząc rumieniec córki. — Och! ludziłem się, że pozostaniesz wierna staremu ojcu aż do jego śmierci, spodziewałem się zachować cię przy sobie, szczęśliwą i świetną, podziwiać cię taką, jaką byłaś dotąd. Nie znając twego losu, mógłbym roić dla ciebie spokojną przyszłość; ale obecnie niepodobna mi wierzyć w twoje szczęście, bo ty bardziej jeszcze kochasz w nim pułkownika niż kuzyna. To dla mnie jasne.



— A czemuż nie byłoby mi wolno kochać go? — spytała z żywą ciekawością.

— Ach, Julio, nie rozumiałabyś mnie — odparł ojciec z westchnieniem.

— Powiedz i tak, ojczulku — odrzekła figlarnie.

— A więc, dziecko, posłuchaj mnie. Młode dziewczyny tworzą sobie często szlachetne i urocze obrazy, idealne postacie, mają fantastyczne pojęcia o ludziach, o uczuciach, o świecie; stroją niewinnie kogoś w te wymarzone przez siebie doskonałości i wierzą w nie. Kochają w wybranym urojoną istotę; ale później, kiedy już nie pora się ratować, ten zwodny<sup>6</sup> pozór, to pierwsze ich bożyszczce, zmienia się we wstrętny szkielet. Julio, wolałbym, abyś pokochała starca niż właśnie pułkownika. Ach, gdybym mógł ci pokazać życie na dziesięć lat naprzód, przyznałabyś słuszność memu doświadczeniu. Znam Wiktora: wesołość jego jest tępa, żołdacka; on sam jest bez zdolności, a rozrzutny. To jeden z ludzi, których niebo stworzyło, aby jedli i trawili cztery razy dziennie, spali, kochali pierwszą lepszą i bili się. Nie rozumie życia. Jego dobre serce, bo on ma dobre serce, sprawi, że odda czasem sakiewkę biedakowi, koledze; ale jest gruboskórny, nie posiada owej delikatności serca, która każe nam się poświęcić szczęściu kobiety; jest nieuk, samolub... Ma dużo *ale*.

— Jednak, ojcze, musi mieć rozum i zdolności, skoro został pułkownikiem...

— Moje dziecko, Wiktor zostanie całe życie pułkownikiem. Nie spotkałem jeszcze nikogo, kto by mi się wydał godny ciebie — ciągnął starzec w podnieceniu.

Zatrzymał się chwilę, przypatrzył się córce i dodał:

— Ale, moja biedna Julciu, ty jesteś za młoda, za wątła, za delikatna, aby znosić przykrości i utrapienia małżeństwa. Wiktora psuli rodzice tak samo jak ciebie psuliśmy oboje z matką. Jakim cudem was dwoje, upartych, samowolnych, zgodziłoby się z sobą? Będziesz albo ofiarą albo tyranem. Jedno i drugie jest nieszczęściem dla kobiety. Ale ty jesteś łagodna i skromna; pierwsza się ugniesz. Przy tym ty masz — rzekł zmienionym głosem — wdzięk uczuć, którego on nie oceni, a wówczas...

Nie dokończył, lzy go dławily.

— Wiktor — dodał po pauzie — urazi wszystkie naiwne przymioty twojej młodej duszy. Znam wojskowych, moja Julciu, żyłem wśród nich w armii. Rzadko serce tych ludzi zwycięża nawyki zrodzone z niedoli lub z przygód ich awanturniczego życia.

— Chcesz zatem, ojcze — odparła Julia wpół żartem — pogwałcić moje uczucia, wydać mnie za męża dla siebie, nie dla mnie?

— Dla siebie! — wykrzyknął ojciec zdumiony. — Dla siebie! Ależ, dziecko, niedługo już będziesz słyszała mój głos gderający na ciebie przyjaźnie. Dzieci zawsze przypisują poświęcenia rodziców ich osobistym pobudkom. Idź za Wiktora, Julio. Kiedyś gorzko będziesz opłakiwała jego nicość, nieporządek, egoizm, jego niedelikatność, gruboskórność i tysiące zgryzot, których zaznasz przez niego. Wówczas przypomnij sobie, że pod tymi drzewami proroczy głos starego ojca próżno przemawiał do ciebie!

Starzec zamilkł, widząc, że córka filuternie potrząsa głową. Doszli do bramy, przy której stał powóz. Przez tę chwilę panienska śledziła ukradkiem twarz ojca, powoli zniknął dąs z jej twarzy. Głęboki ból wryty na tym pochylonym czole sprawił na niej wrażenie.

— Przyrzekam ci, ojcze — rzekła łagodnym i wzruszonym głosem — nie wspomnieć ci o Wiktorze, póki się nie rozproszą twoje uprzedzenia.

Starzec popatrzył na córkę zdziwiony. Łzy zakręciły mu się w oczach i spłynęły po policzkach. Nie mógł ucałować Julii wobec otaczającego tłumu, ale uścisnął czule jej rękę. Kiedy wsiadł do powozu, smutne myśli, które nagromadziły się na jego czole, pierzchły zupełnie. Lekki smutek córki niepokoił go o wiele mniej niż niewinna radość, której tajemnica wymknęła się Julii podczas rewii.

W pierwszych dniach marca roku 1814, w niespełna rok po tej cesarskiej rewii, kolaska toczyła się z Amboise do Tours. Wyjechawszy spod zieleni pod którą kryje się urząd pocztowy we Frillière, powóz pomknął tak chyżo, że w jednej chwili przybył na most na Cize w miejscu, gdzie ta rzeka wpada do Loary. Tu zatrzymał się. Rzemień zerwał się od gwałtownego pędu, jakim na rozkaz swego pana młody pocztylion popędził cztery najsilniejsze konie. W ten sposób dzięki przypadkowi dwie osoby znajdujące się w kolasce, zbudzone nagle, miały sposobność ujrzeć jeden z najpiękniejszych widoków, jakimi czarują oko

<sup>6</sup>zwodny — dziś: zwodniczy. [przypis edytorski]

urocze brzegi Loary. Na prawo podróżny ogarnia jednym spojrzeniem wszystkie zakręty Cize, która jak srebrny wąż wije się wśród łąk połyskujących szmaragdem wczesnej wiosny. Na lewo — Loara w całej swej wspaniałości. Fale marszczone zimnym wiatrem porannym toczą się szeroką, majestatyczną płaszczyzną. Tu i ówdzie zielenią się wyspy wylaniające się z wody, podobne ogniowom szmaragdowego naszyjnika. Z drugiej strony rzeki najpiękniejsze wioski Turenii roztaczają jak okiem sięgnąć swoje skarby. W oddali oko zatrzymuje się aż na wzgórzach Cher, których wierzchołki rysowały się w tej chwili błyszczącą linią na czystym lazurze. W głębi obrazu, hen, poza młodą zielonością wysp, Tours wynurza się niby Wenecja z wód. Wieżycy starej katedry strzelają w niebo, stapiając się z fantastycznymi konturami obłoków. Za mostem, na którym powóz się zatrzymał, podróżny ujrzał przed sobą, od Loary aż do Tours, łańcuch skał rzucony jakby umyślnie przez kaprys przyrody, aby okuć tę rzekę, której fale nieustannie podmywają kamień. Widok ten zawsze budzi zdumienie podróżnych. Wioska Vouvray znajduje się tam jakby wtłoczona w gardziel i wyrwy tych skał, które tworzą luk tuż przed mostem na Cize. Następnie od Vouvray do Tours krzesanice tego poszarpanego wzgórza zamieszkałe są przez ludność hodującą wino. Gdziekolwiek znajdują się trzypiętrowe domy wyźłobione w skale i połączone niebezpiecznymi schodami również wykutymi w kamieniu. Szczytem dachu młoda dziewczyna w czerwonej spódnicy biegnie do swego ogrodu. Dym komina wznosi się między szczepami i młodymi pędami wina. Rolnicy orzą prostopadłe pola. Staruszka, siedząc spokojnie na złomie podmytej skały, kręci swój kołowrotek pod kwitnącym migdałem, spoglądając na przejeżdżających u jej stóp podróżnych i uśmiecha się z ich przerażenia. Równie mało troszczy się o rozpadliny ziemne, co o wiszące szczątki starego muru, którego podstawę utwierdzają jedynie korzenie pnącego się bluszczu. Pod młotem bednarzy rozbrzmiewają sklepienia napowietrznych piwnic. Ziemia jest wszędzie uprawna i wszędzie żyzna tam, gdzie natura odmówiła ziemi ludzkiemu przemysłowi. To też nic nad całą Loarą nie da się porównać z panoramą, jaką Turenia nastrecza oczom podróżnego. Troisty obraz, któryśmy tu ledwie zaznaczyli, budzi w duszy wrażenie na zawsze odciskające się w pamięci; a kiedy sycił się nim poeta, w marzeniach swoich często będzie wskrzeszał te romantyczne, do bajki podobne widoki.

W chwili gdy powóz wjeżdżał na most, kilka białych żagli zamajaczyło między wyspami Loary, dając nowy wdzięk uroczemu obrazowi. Zapachy nadbrzeżnych wierzb przepajały wnikliwą wonią wilgotny powiew. Głosy ptaków spływały się w bogaty koncert; jednotonny śpiew koziarza dawał mu akcent melancholii, okrzyki zaś marynarzy przypominały o dalekim życiu. Miękkie mgły, kapryśnie czepiając się drzew, przydawały jeszcze harmonii temu pejzażowi. Była to Turenia w całej swej chwale, wiosna w całym przepychu. Ta część Francji, której wojska nieprzyjacielskie nie miały zamącić, była w tej chwili jedyną, gdzie panował spokój; można by rzec, iż urągała najazdowi.

Głowa okryta wojskową czapczką wychyliła się z powozu, skoro się zatrzymał. Niebawem niecierpliw wojskowy sam otworzył drzwiczki i wyskoczył, aby połać pocztyliona. Inteligencja, z jaką Tureńczyk naprawiał zerwany rzemień, uspokoiła pułkownika d'Aiglemont, który wrócił do powozu, przeciągając się dla rozprężenia zdrętwiałych członków; ziewnął, spojrzął na krajobraz i dotknął ramienia kobiety starannie otulonej w futra.

— Julio — rzekł schrypłym głosem — obudź się i patrz! Wspaniale!

Julia wysunęła głowę. Miała na głowie kapturek podbity łasicą, a futro, w które się zawinęła, tak szczelnie okryło jej kształty, że można było widzieć tylko twarz. Julia d'Aiglemont nie była już podobna do młodej dziewczyny, która tak radośnie biegła ongi na rewię. Twarz jej, zawsze delikatna, straciła rumieńce, które dawały jej niegdyś tyle blasku. Ciemne pukle, rozfryzowane od nocnej wilgoci, uwydatniały matową błądź główek, której dawna żywość zdawała się uspiona. Oczy błyszczały wprawdzie nienaturalnym ogniem, pod powiekami sinawe plamy znaczyły się na zmęczonych licach. Powiodła obojętnym wzrokiem po brzegach Loary, po czym, nie patrząc na uroczą dolinę Cize, cofnęła się w głąb i rzekła głosem, który na powietrzu zdawał się jeszcze słabszy.

— Tak, cudowne.

Widzimy, iż na swoje nieszczęście pokonała opór ojca.

— Julio, nie chciałabyś mieszkać tutaj?

— Och! Tu czy gdzie indziej... — rzekła obojętnie.

— Czyś cierpiąca? — spytał pułkownik.

— Nie, nie — odparła młoda kobieta z chwilowym ożywieniem. Popatrzyła na męża z uśmiechem i dodała — Spać mi się chce.

W tej chwili rozległ się galop. Wiktor d'Aiglemont puścił rękę żony i obrócił głowę ku zakrętowi, jaki droga czyniła w tym miejscu. Z chwilą gdy Julia przestała czuć oko męża, wesołość, w jaką oblekła bladą twarz, znikła tak, jakby zgasło jakieś światło. Nieciekawa ani widoków, ani tego, kim był jeździec galopujący tak wściekle, wtuliła się w głąb powozu i patrzyła przed siebie wzrokiem niezdradzającym żadnego uczucia. Miała minę tak bezmyślną, jak chłop bretoński słuchający kazania.

Młody człowiek na rasowym koniu wynurzył się nagle z kępki topoli i kwitnącej tarniny.

— To Anglik — rzekł pułkownik.

— Tak, panie generale — odparł pocztylion. — To jeden z tych, co to (gadają ludzie) chcą polknąć całą Francję.

Nieznajomy był z liczby podróżników, którzy znaleźli się na kontynencie, w chwili gdy Napoleon zatrzymał wszystkich Anglików w odwet za pogwałcenie prawa narodów popełnione przez gabinet Saint-Jamesa po zerwaniu traktatu w Amiens. Kaprys cesarza nie zostawił jeńców w miejscowościach, gdzie ich pojmano, ani w tych, które zrazu pozwolono im sobie wybrać. Tych, którzy przebywali w tej chwili w Turenii, przeniesiono tam z różnych punktów cesarstwa, gdzie pobyt ich zagrażał jakoby polityce kontynentalnej. Młody jeńiec, który w tej chwili rozpraszał poranną nudę, był ofiarą biurokracji. Od dwóch lat rozkaz wydany przez ministerstwo spraw zagranicznych wyrwał go z Montpellier, gdzie zerwanie pokoju przerwało mu kurację: był chory na piersi.

Skoro tylko młody człowiek poznał w osobie hrabiego d'Aiglemont wojskowego, starał się uniknąć jego wzroku, odwracając dość nagle głowę ku brzegom Cize.

— Wszyscy ci Anglicy są impertynenci, jakby świat do nich należał! — mruknął pułkownik. — Szczęściem Soult da im nauczkę.

Mijając kolaskę, jeńiec zapuścił wzrok w jej wnętrze. Mimo że spojrzenie było przelotne, podchwycił nim melancholię, która dawała fizjonomii hrabiny nieokreślony urok. Są mężczyźni, których wzrusza sam widok cierpienia kobiety: boleść zda się im obietnicą stałości lub miłości. Julia, z oczami utkwionymi w poduszki przedniego siedzenia, nie zwróciła uwagi na konia ani na jeźdźca.

Rzemień naprawiono mocno i szybko. Hrabia wsiadł do powozu. Pocztylion starał się nadrobić czas i pomknął drogą okoloną urwiskami, w których łonie dojrzewa wino Vouvray, gdzie wznosi się tyle ładnych domów i gdzie w oddali widać ruiny sławnego opactwa Marmoutiers, schronienia świętego Marcina.

— Czego chce od nas ten przeźroczysty milordzik? — wykrzyknął pułkownik, obracając głowę, aby się upewnić, że jeździec, który od mostu jechał za powozem, jest tym samym młodym Anglikiem.

Ponieważ nieznajomy, jadąc groblą, nie naruszał żadnego z praw grzeczności, pułkownik cofnął się w głąb karety, zmierzyszy Anglika groźnym spojrzeniem. Ale mimo swej mimowolnej niechęci nie mógł nie zauważyć urody konia i wdzięku jeźdźcy. Młody człowiek miał ów angielski typ, o cerze tak delikatnej, o skórze tak białej i gładkiej, że nie powstydziliby się jej delikatne ciało dziewczyny. Włosy miał blond, był wysoki i szczupły; ubrany wytwornie i schludnie, jak przystało elegantowi z wstydlivej Anglii. Można by rzec, iż na widok hrabiny zarumienił się raczej ze wstydu niż z przyjemności. Raz jeden Julia podniosła oczy na cudzoziemca; ale zmusił ją do tego poniekąd mąż, który kazał jej podziwiać nogi rasowego konia. Oczy Julii spotkały się z oczami nieśmiałego Anglika. Od tej chwili jeździec zamiast obok kolaski jechał o parę kroków w tyle.

Hrabina zaledwie spojrzała na nieznajomego. Nie dostrzegła żadnej z ludzkich i końskich zalet, jakie jej wskazywano; wtuliła się w głąb, drgnieniem brwi potwierdziwszy zdanie męża. Pułkownik zasnął. Małżonkowie dojechali do Tours, nie zamieniwszy słowa: ani razu cudowne widoki zmieniającego się wciąż krajobrazu nie ściągnęły uwagi Julii. Gdy mąż drzemał, pani d'Aiglemont spojrzała nań kilka razy. Przy ostatnim spojrzeniu wstrząs powozu rzucił na kolana młodej kobiety medalion wiszący na jej szyi na żalobnym łańcuszku: ujrzała portret ojca. Na ten widok wstrzymywane łzy popłynęły z jej oczu.

Anglik ujrzał może wilgotne ślady tych łez, które błyszcząły chwilę na licach hrabiny, ale rychło obeschły.

Wysłany przez cesarza z rozkazami dla marszałka Soult, mającego bronić Francji przeciw inwazji angielskiej w Béarn, pułkownik d'Aiglemont skorzystał ze swej misji, aby uchronić żonę od niebezpieczeństw grożących Paryżowi. Wiózł ją do Tours, do starej krewnej. Niebawem powóz potoczył się po bruku Tours, po moście i zatrzymał się przed starożytnym pałacem, gdzie mieszkała osoba będąca przed rewolucją hrabiną de Listomère-Landon.

Hrabina de Listomère była to jedna z owych pięknych staruszek o bladej cerze, białych włosach i sprytnym uśmiechu. Suknie ich zawsze robią wrażenie robronu, na głowie noszą czepeczek nieznaną już mody. Te kobiety, siedemdziesięcioletnie portrety epoki Ludwika XV, mają zwykle coś pieszczotliwego, jakby jeszcze kochały. Są nie tyle pobożne, ile dewotki, a mniej dewotki, niż na to wyglądają, zawsze pachnące pudrem *à la marechale*, dobrze opowiadają, rozmawiają jeszcze lepiej i śmieją się łatwiej ze wspomnienia niż z konceptu. Nie lubią współczesności.

Kiedy stara pokojówka przyszła oznajmić *hrabinie* (miała niedługo odzyskać tytuł) odwiedziny siostrzeńca, którego nie widziała od wojny hiszpańskiej, zdjęła skwapliwie okulary, zamknęła *Galerię dawnego dworu*, ulubioną swoją książkę, po czym odzyskała dawną zwinność, aby przybyć na ganek w chwili, gdy młoda para wchodziła na schody.

Ciotka i siostrzenica zmierzyły się spojrzeniem.

— Dzień dobry, ciotciu — wykrzyknął pułkownik, obejmując staruszkę i całując ją serdecznie. — Przywożę ci tę młodą osobkę. Słowem, powierzam ci mój skarb. Moja Julcia nie jest ani zalotna, ani zazdrosna, słodka jest jak anioł... Ale mam nadzieję, że się tu nie zepsuje — wtrącił.

— Nicponiu! — odparła hrabina, odpowiadając mu szelmowskim spojrzeniem.

I pierwsza pochyliła się z wdziękiem, aby uściskać Julię, która stała zamyślona, wyraźnie bardziej zakłopotana niż ciekawa.

— Zatem poznamy się, drogie serce? — rzekła hrabina. — Nie bój się mnie zanadto, staram się nigdy nie być stara z młodymi.

Prowincjonalnym zwyczajem, nim doszła do salonu, hrabina już zarządziła śniadanie dla swoich gości: ale Wiktor powstrzymał wymowę ciotki, oświadczając, że nie może jej poświęcić więcej czasu, niż wymaga zmiana koni pocztowych. Przeszli tedy do salonu, gdzie pułkownik zaledwie miał czas opowiedzieć ciotecznej babce polityczne i wojenne wypadki, które kazały mu prosić o schronienie dla młodej żony. W czasie tego opowiadania ciotka spoglądała kolejno na siostrzeńca mówiącego bez przerwy i na siostrzenicę, której bladość i smutek zdawały się płynąć z tej przymusowej rozłąki. Widocznie powiadała sobie:

„Ba, ba, ci młodzi się kochają”.

W tej chwili trzask z bicza rozległ się w cichym dziedzińcu, gdzie kamienie były porzerastane kępkami trawy. Wiktor uściskał znów hrabinę i wypadł z pokoju.

— Bądź zdrowa, dziecko — rzekł, ściskając żonę, która odprowadziła go do powozu.

— Och! Wiktorze, pozwól mi odwieźć się dalej jeszcze — rzekła z pieszczotą — nie chciałybyśmy się z tobą rozstać...

— Co za pomysł!

— A więc — rzekła Julia — bądź zdrow, skoro taka twoja wola.

Powóz znikł.

— Kochasz tedy mego poczciwego Wiktora — rzekła hrabina, przenikając siostrzenicę owym bystrym spojrzeniem, jakim stare kobiety umieją przejrzeć młode.

— Ach, pani — rzekła Julia — czyż nie trzeba bardzo kochać mężczyznę, aby wyjść za niego?

To ostatnie zdanie wyrzekła z naiwnością, która zdradzała albo serce bardzo czyste, albo głęboką tajemnicę. Otóż trudno było kobiecie, która była niegdyś przyjaciółką Duclosa i marszałka de Richelieu, nie starać się przeniknąć sekretu młodego małżeństwa. Ciotka i siostrzenica stały w tej chwili w bramie i patrzyły za znikającą kareta. Oczy Julii nie wyrażały miłości takiej, jak ją rozumiała hrabina. Zaczynała być Prowansalką i miała niegdyś żywe namiętności.

— Dalaś się tedy złapać temu hultajowi? — spytała siostrzenicy.

Julia zdrzała mimo woli, bo akcent i spojrzenie starej kokietki świadczyły, że charakter Wiktora lepiej może niż własna żona.

Zaniepokojona, opancerzyła się niezręcznym udaniem, ucieczką naiwnych i cierpiących serc. Pani de Listomère zadowolili się odpowiedziami Julii; ale pomyślała z przyjemnością, że jakiś sekret miłosny urozmaici jej samotnię. Siostrzenica robiła na niej wrażenie osoby, która musi mieć jakąś zajmującą tajemnicę.

Kiedy pani d'Aiglemont znalazła się w wielkim salonie obitym starą materią oprawną w złożone listewki, kiedy usiadła przy dobrym ogniu, zasłonięta od szczelin w drzwiach chińskim parawanem, smutek jej nie rozproszył się. Trudno było, aby wesołość urodziła się pod tym starym obiciem, wśród tych wiekowych mebli. Mimo to młoda paryżanka czuła się dobrze w tej samotności, w tej uroczystej ciszy. Wymieniwszy kilka słów z ciotką, do której napisała niegdyś list poślubny, siedziała w milczeniu, jak gdyby słuchała muzyki w Operze. Dopiero po dwóch godzinach klasztornej ciszy spostrzegła, jak niegrzecznie postępuje wobec ciotki, przypomniała sobie swoje zimne odpowiedzi. Staruszka uszanowała kaprys siostrzenicy z pełnym wdzięku instynktem, jaki cechuje owych ludzi starej daty. Robiła robótkę na drutach. Co prawda kilka razy wysunęła się, aby się zająć pewnym *zielonym* pokojem, gdzie miała spać młoda hrabina i dokąd służba zносиła rzeczy; ale w tej chwili wróciła na swoje miejsce w wielkim fotelu i spoglądała ukradkiem na młodą kobietę. Zawstydzona, że się poddała nieodpartej zadumie, Julia usiłowała przeprosić ciotkę, żartując z siebie samej.

— Moje drogie dziecko, wiemy, co to smutek wdowy — odparła ciotka.

Trzeba było mieć czterdzieści lat, aby zrozumieć ironię, jaką drgały wargi starej kobiety. Nazajutrz hrabina miała się znacznie lepiej, rozmawiała. Pani de Listomère nie wątpiła już, że zdoła oblaskawić młodą mężatkę, którą zrazu pomówiła o głupotę i dzikość; opowiadała jej o miejscowych przyjemnościach, o balach i o domach, gdzie mogą być. Wszystkie pytania margrabin były pułapkami, które z dawnego dworskiego nawyku zastawiała siostrzenicy, aby przejrzeć jej charakter.

Julia oparła się kilka dni wszelkim naleganiom ciotki nakłaniającej ją do jakiejś rozrywki. Toteż mimo chęci pochwalenia się ładną siostrzenicą, starsza pani wyrzekła się w końcu zamiaru wprowadzenia jej w świat. Julia umiała upozorować swą samotność i swój smutek śmiercią ojca, po którym była jeszcze w żałobie. Po tygodniu pani de Listomère podziwiała anielską łagodność, słodycz, wdzięk, wrodzoną pobłażliwość Julii; z tą chwilą zainteresowała się szczerze tajemną melancholią żrącą to młode serce. Julia była jedną z kobiet stworzonych, aby ją kochano, i wnoszących z sobą szczęście. Towarzystwo jej stało się pani de Listomère tak miłe i szacowne, że rozkochała się w siostrzenicy; byłaby chciała nigdy się z nią nie rozstawać. Miesiąc wystarczył, aby stworzyć między nimi wiekiustą przyjaźń. Staruszka zauważyła nie bez zdziwienia zmiany w fizjonomii pani d'Aiglemont. Żywy jej koloryt gasł z wolna, a twarz robiła się matowa i blada. Tracąc dawne rumieńce, Julia stawała się mniej smutna. Czasami ciotka przywoziła młodą krewniaczkę do wybuchów wesołości lub szalonego śmiechu, niebawem spłoszonych jakąś natrętną myślą. Odgadła, że ani żal po ojcu, ani nieobecność Wiktora nie są przyczyną melancholii, która rzucała cień na życie siostrzenicy. Nastęczało się tyle podejrzeń, że trudno jej było zgadnąć prawdziwą przyczynę złego; prawdę zawsze może znajduje się przypadkiem. Wreszcie jednego dnia Julia błysnęła przed oczami zdziwionej ciotki zupełnym zapomnieniem małżeństwa, dziewczęcą pustotą, niewinnością, dzieciństwem, a zarazem całą ową delikatną, a niekiedy tak głęboką inteligencją, jaka cechuje młode kobiety we Francji. Pani de Listomère postanowiła wówczas zgłębić tajemnicę tej duszy, której pełna naturalność była równie trudna do przejrzania, co nieprzenikniona obluda. Noc zbliżała się, panie siedziały przy oknie wychodzącym na ulicę. Julia zdawała się zamyślona. Człowiek jakiś przejechał konno.

— Oto jedna z twoich ofiar — rzekła ciotka.

Pani d'Aiglemont spozrzała na ciotkę wzrokiem, w którym zdziwienie łączyło się z niepokojem.

— To młody Anglik, szlachcic, Artur Ormond, starszy syn lorda Grenville. Dzieje jego są ciekawe. Przybył do Montpellier w roku 1802 w nadziei, że klimat tych stron, gdzie go wysłali lekarze, wyleczy go z groźnej choroby piersiowej. Jak wszystkich jego ziomek, tak i jego uwięził Bonaparte z wybuchem wojny, bo ten potwór nie może żyć

bez wojowania. Dla rozrywki młody Anglik zaczął studiować swoją chorobę, którą uważano za śmiertelną. Nieznacznie nabrał zamiłowania do anatomii, do medycyny, zapalił się do tych nauk; rzecz dość szczególna dla człowieka z naszej sfery, ale wszak Regent bawił się chemią! Krótko mówiąc, pan Artur zrobił nadzwyczajne postępy, nawet jak na profesorów w Montpellier; nauka pocieszyła go w niewoli, równocześnie zaś zupełnie wyzdrowiał. Utrzymują, że spędził dwa lata nic nie mówiąc, oddychał wolno, leżał w oborze, pił mleko od krowy sprowadzonej ze Szwajcarii i żył rzeżuchą. Od czasu jak jest w Tours, nie był u nikogo, dumny jest jak paw, ale tyś go z pewnością podbiła, bo nie dla mnie przejeżdża tu pod oknami dwa razy dziennie, od czasu jak jesteś tutaj... Oczywiście kocha się w tobie.

Te ostatnie słowa obudziły Julię jakby czarami. Gest jej, uśmiech, zdumiały staruszkę. Obce owemu instynktownemu zadowoleniu, jakiego doznaje najsurowsza nawet kobieta na wiadomość, że kogoś unieszczęśliwiła, spojrzenie Julii stało się martwe i zimne. Twarz jej zdradzała odrazę, niemal wstręt. To nie była owa wyłączość, z jaką kochająca kobieta gardzi światem dla jednej jedynej istoty; wówczas umie śmiać się i żartować; nie, Julia wyglądała jak osoba, w której wspomnienie zbyt bliskiego jeszcze niebezpieczeństwa rodzi uczucie bólu. Ciotka, święcie przekonana, że siostrzenica jej nie kocha męża, zdumiała się, pojmując, że ona nie kocha nikogo. Zadrżała, że może znajdzie w Julii zranione serce, kobietę, której doświadczenie jednego dnia — jednej nocy — wystarczyło może, aby jej zdradzić całą nicość Wiktora.

„Jeżeli go przejrzała, wszystko przepadło — pomyślała — siostrzeniec mój pozna niebawem niedole małżeństwa”.

Postanawiała sobie tedy nawrócić Julię na monarchiczne poglądy epoki Ludwika XV: ale w kilka godzin później poznała, a raczej odgadła owo dość częste położenie, które było przyczyną melancholii hrabiny. Julia popadła nagle w zadumę i udała się do siebie wcześniej niż zwykle. Kiedy pokojówka rozebrała ją i zostawiła wtuloną w wielki, żółty, aksamitny fotel, staroświecki mebel równie poręczny dla ludzi strapionych, co dla ludzi szczęśliwych, splakała się, westchnęła, zamyśliła się, po czym przysunęła mały stoliczek, poszukała papieru i zaczęła pisać. Godziny mijały szybko, zwierzenia, jakie Julia czyniła w tym liście, musiały ją wiele kosztować, każde zdanie splatało się z długim marzeniem; nagle młoda kobieta załapała się łzami i przerwała. W tej chwili zegary wydzwoniły drugą. Głowa jej, ciężka jak głowa umierającej, pochyliła się na piersi. Kiedy ją podniosła, Julia ujrzała nagle ciotkę, niby figurę, która zstąpiła z dywanu pokrywającego ściany.

— Co tobie, mała? — spytała ciotka. — Czemu siedzisz tak późno w noc, a zwłaszcza czemu płaczesz tak samotnie, w twoim wieku?

Bez ceremonii siadła przy siostrzenicy, pochłaniając oczami zaczęty list.

— Pisałaś do męża?

— Alboż ja wiem, gdzie on jest? — odparła Julia.

Ciotka wzięła papier i przeczytała. Przyniosła okulary, widać przyszła tu z zamiarem. Niewinna istota pozwoliła wziąć list bez słowa protestu. Nie brak godności ani poczucie tajemnej winy odejmowały jej wszelką energię. Nie; tylko że ciotka znalazła się tam w jednym z owych krytycznych momentów, gdy dusza jest złamana, gdy wszystko jest obojętne, złe czy dobre, milczenie czy wyznanie. Podobna cnotliwej młodej dziewczynie, która odpycha kochankę, ale która wieczorem czuje się tak smutna, tak opuszczona, że go pragnie i woła serca, w które by mogła przelać swe cierpienia, Julia pozwoliła bez słowa naruszyć pieczęć, którą delikatność zamyka otwarty list, i trwała w zadumie, gdy margrabina czytała.

„Moja droga Ludwiko, czemu dopominasz się tyle razy spełnienia niedorzecznej obietnicy dwóch naiwnych dziewcząt? Piszesz mi, iż zapytujesz często samej siebie, czemu nie odpowiedziałam od pół roku na twoje pytania. Jeśliś nie zrozumiała mego milczenia, dziś może zrozumiesz jego przyczynę, skoro poznasz tajemnice, które ci zdradzę. Byłabym je na zawsze pogrzebała w sercu, gdybyś mnie nie uprzedziła o twym bliskim zamęściu. Idziesz za męża, Ludwiko. Ta myśl przejmuję mnie dreszczem. Biedne dziecko, idź za męża; potem, za kilka miesięcy najdotkliwszym żalem stanie ci się wspomnienie tego, czym byliśmy niegdyś, kiedy pewnego wieczora w Ecoen, znalazłszy się pod dębem na wzgórzu, spoglądałyśmy na dolinę u naszych stóp i podziwowały promienie zachodzącego słońca, spowite w jego blaski. Siadłyśmy na złomie skały i utonęłyśmy w zachwycie, którego

miejsce zajęła najsłodsza melancholia. Ty pierwsza zauważyłaś, że to zachodzące słońce mówi nam o przyszłości. Byłyśmy wówczas bardzo ciekawe i bardzo niemądre! Pamiętasz nasze szaleństwa? Ścisaliśmy się — mówiłyśmy — jak para kochanków. Przysięgałyśmy, że pierwsza, która wyjdzie za mąż, opowie sumiennie drugiej owe tajemnice małżeństwa, owe rozkosze, które nasze dziecięce dusze wyobrażały sobie czymś tak słodkim.

Ten wieczór stanie się twoim nieszczęściem, Ludwiko. Wówczas byłaś młoda, piękna, wolna od trosk, jeżeli nie szczęśliwa; otóż, mąż uczyni cię w kilka dni tym, czym ja już jestem, brzydką, schorowaną i starą. Byłoby szaleństwem chcieć ci opisać, jaka byłam dumna, jaka pyszna, jaka szczęśliwa, że wychodzę za pułkownika Wiktora d'Aiglemont! I jakże ci to opisywać? Już sama siebie nie pamiętam. W kilka chwil dziecięstwo moje stało się snem.

Zachowanie się moje w uroczystym dniu, którego doniosłości nie rozumiałam, nie było wolne od wyrzutu. Ojciec niejednokrotnie starał się powściągnąć mą wesołość; radość moja wydawała się nieprzyzwoita, a słowa trąciły zepsuciem właśnie dlatego, że były tak niewinne. Wyprawiałam tysiące dzieciństw z welonem ślubnym, z suknią ślubną, z kwiatami. Wieczorem, kiedy zostałam sama w pokoju, do którego mnie uroczystość wprowadzono, obmyślałam jakiegoś figla, aby zaintrygować Wiktora; czekając, aż przyjdzie, czułam bicie serca, podobne jak niegdyś, w wigilię Nowego Roku, kiedy nieopstrzeżenie wsuwałam się do salonu, gdzie były podarki. Kiedy mąż wszedł, kiedy mnie szukał, stłumiony mój śmiech spod muślinów był odbłaskiem niewinnego wesela, które ożywiało igraszki naszego dziecięctwa...”

Kiedy stara dama dokończyła listu, który po takim początku musiał zawierać wiele smutnych doświadczeń, zdjęła z wolna okulary, położyła na nich list i utkwiała w siostrzenicy zielone oczy, których blasku nie osłabił jeszcze wiek.

— Moje dziecko — rzekła — mężatce nie wypada pisać w ten sposób do młodej panienki...

— I ja tak myślałam — odparła Julia — toteż wstydiłam się sama siebie, gdy ciocia czytała ten list.

— Kiedy przy stole nie smakuje jakaś potrawa, nie potrzeba jej obrzydzać nikomu, moje dziecko — ciągnęła dobrodusznie stara — zwłaszcza że od czasów Ewy małżeństwo uchodziło zawsze za rzecz tak wyborną... Ty nie masz matki? — spytała.

Hrabina zadrżała; podniosła łagodnie głowę i rzekła:

— Niejeden raz od roku żałowałam, że nie mam matki; ale źle zrobiłam, że nie słuchałam ojca, który nie życzył sobie Wiktora.

Spojrzała na ciotkę; dreszcz radości osuszył jej łzy, kiedy ujrziała wyraz dobroci na sędziwej twarzy. Wyciągnęła rękę do hrabiny, która widocznie czekała na to, a kiedy ich dłonie się uściśniły, dwie kobiety zrozumiały się zupełnie.

— Biedna sieroto! — rzekła margrabina.

To był ostatni błysk światła dla Julii. Zdawało się jej, że słyszy proroczy głos ojca.

— Jakie ty masz rozpalone ręce! Czy zawsze tak? — pytała staruszka.

— Dopiero tydzień, jak nie mam gorączki — odparła.

— Miałaś gorączkę i kryłaś się przede mną?

— Mam ją od roku — rzekła Julia z odcieniem wstydlivego lęku.

— Zatem, aniołku — podjęła ciotka — małżeństwo było dla ciebie jedynie długim cierpieniem?

Młoda kobieta nie śmiała odpowiedzieć; ale twierdzący gest zdradził jej niedole.

— Jesteś więc nieszczęśliwa?

— Och, nie, ciociu. Wiktor kocha mnie do szaleństwa, a ja go ubóstwiam, on taki dobry!

— Tak, kochasz go, ale uciekasz przed nim, nieprawdaż?

— Tak, czasami... odwiedza mnie zbyt często...

— Czy kiedy jesteś sama, nie dręczy cię obawa, aby on nie zamącił tej samotności?

— Tak, ciociu. Ale kocham go bardzo, upewniam.

— Czy nie winisz w duchu siebie, że nie umiesz czy nie możesz podzielać jego rozkoszy? Czy nie przychodzi ci na myśl, że miłość małżeńska jest cięższa do udźwignięcia, niżby mogła nią być miłość występna?

— O tak, tak — rzekła, płacząc. — Zgadujesz wszystko, gdy dla mnie wszystko jest zagadką. Zmysły moje są odrętwiałe, nie mam żadnej myśli w głowie, ledwie że żyję. Duszę moją dławi nieokreślony lęk, który ścina moje uczucia i pogrąża mnie w martwocie. Nie mam głosu do skargi, nie mam słów na wyrażenie swego cierpienia. Cierpię, a wstyd mi cierpieć, kiedy widzę, że Wiktor jest szczęśliwy tym, co mnie zabija.

— Dzieciństwo, głupstwo wszystko! — wykrzyknęła ciotka, której wyschła twarz ożywiła się nagle wesołym uśmiechem, odbłaskiem rozkoszy młodych lat.

— I ciocia też się śmieje! — rzekła z rozpaczą młoda kobieta.

— I ja byłem taka — odparła szybko hrabina. — A teraz, kiedy Wiktor zostawił cię samą, czyż nie stałaś się z powrotem młodą dziewczynką, spokojną, bez rozkoszy, ale i bez cierpień?

Julia otwarła szeroko zdumione oczy.

— Słowem, aniołku, ubóstwiasz Wiktora, nieprawdaż, ale wolałabyś być jego siostrą niż żoną. Małżeństwo ci nie służy.

— Ach, tak, ciociu. Ale czemu ciocia się uśmiecha?

— Masz słuszność, biedne dziecko. Nie ma w tym nic tak wesołego. Twoja przyszłość kryłaby w sobie niejedno nieszczęście, gdybym cię nie wzięła pod opiekę i gdyby moje stare doświadczenie nie odgadło bardzo niewinnej przyczyny twoich zgrzyot. Siostrzeniec mój nie zasługiwał na swoje szczęście, cymbał! Za naszego ukochanego króla Ludwika XV młoda kobieta w twoim położeniu rychło ukarałaby męża, że się zachowuje jak huzar. Samolub! Żołdacy tego cesarskiego tyrana są wszyscy ciemne chamy. Biorą brutalstwo za galanterię, tak samo nie znają kobiet, jak nie umieją kochać. Myślą, że to, iż jutro idą na śmierć, zwalnia ich wobec nas od względów i delikatności. Dawniej umiano i kochać, i umierać w porę. Moje dziecko, ja ci go wychowam. Zakończę to smutne nieporozumienie, dość naturalne zresztą, które doprowadziłoby do tego, żebyście się znenawidzili wzajem, żebyście wzdychali do rozwodu, o ile byś w ogóle nie umarła, nimbyś doszła do ostatecznej rozpacz.

Julia słuchała ciotki ze zdumieniem. Niespodzianką były dla niej te słowa, których mądrość raczej mogła przeczuć niż zrozumieć. Przerażało ją, iż w ustach doświadczonej krewniaczki odnajduje, mimo że w łagodniejszej formie, sąd, jaki ojciec wydał o Wiktorze. Może miała jasnovidzenie swej przyszłości, może uczuła brzemień nieszczęść, które ją miały przywalić, bo wybuchnęła płaczem i rzuciła się w ramiona staruszki, mówiąc:

— Ciociu, bądź moją matką!

Ciotka nie płakała, bo Rewolucja niewiele łez zostawiła kobietom dawnej monarchii. Niegdyś miłość, a później terror oswoiły je z najgwałtowniejszymi wzruszeniami, tak iż zachowują one w próbach życia spokojną godność, przywiązanie szczere, ale nieskłonne do wylewów, zawsze utrzymane w granicach etykiety i szlachetnej dystynkcji, których dzisiejsze obyczaje wyzbyły się bardzo niepotrzebnie.

Staruszka wzięła młodą kobietę w ramiona, pocałowała ją w czoło z tkliwością i wdziękiem, częściej u owych kobiet płynącym z przyzwyczajenia i manier niż z serca, utuliła siostrzenicę, przyrzekła jej szczęśliwą przyszłość, ukołysała ją obietnicami miłości, układając ją do snu niby własną córkę, ukochaną córkę, której nadzieje i smutki obchodzą ją jak własne. Widziała samą siebie, młodą, niedoświadczoną i ładną jak jej siostrzenicę. Julia usnęła szczęśliwa, że znalazła przyjaciółkę, matkę, której odtąd może wszystko powiedzieć.

Nazajutrz rano, w chwili gdy obie kobiety ścisnęły się z ową porozumiewawczą serdecznością, która świadczy o postępie uczuć, o zlaniu się dusz, usłyszały tętent konia. Równocześnie obróciły głowy i ujrzały młodego Anglika, który przejeżdżał z wolna jak zwykle. Musiał mieć jakieś wiadomości o trybie dwóch samotnych kobiet, zjawiał się bowiem zawsze w porze śniadania lub obiadu. Koń zwalniał kroku sam z siebie, Artur zaś, mijając okna jadalni, rzucał melancholijne spojrzenie, na które Julia zazwyczaj nie zwracała uwagi. Hrabina za to, nawykła do owej prowincjonalnej ciekawości, która czepia się lada drobiazgów, aby nimi urozmaicić życie, i której z trudem zdołają się ustrzec nawet ludzie wyżsi, bawiła się tą nieśmiałą i poważną miłością, wyrażającą się tak niemo. Przywykła do owej codziennej sceny i za każdym razem oznajmiała Artura jakimś nowym żarcikiem.



Siadając do stołu, obie kobiety spojrzały równocześnie na wyspiarza. Oczy Julii i Artura spotkały się tym razem: z taką wymową uczucia, że młoda kobieta zarumieniła się. Natychmiast Anglik spał konia i odjechał galopem.

— Ciociu — rzekła Julia — co ja mam począć? Ludzie, którzy widują tu co dzień tego Anglika, muszą myśleć, że ja...

— Oczywiście — przerwała jej ciotka.

— Czy nie byłoby tedy sposobu powiedzieć mu, aby tędy nie przejeżdżał?

— Czyżby to nie znaczyło dać mu do zrozumienia, że jest niebezpieczny? A przy tym, czy można zabronić komuś jeździć, gdzie mu się podoba? Jutro nie będziemy jadły w tym pokoju: kiedy nas tu nie zobaczy, przestanie się w tobie kochać przez okno. Oto, drogie dziecko, jak postępuje kobieta znająca życie.

Ale nieszczęście Julii miało być zupełne. Ledwie panie wstały od stołu, przybył nagle służący Wiktora. Pędził co koń wyskoczy z Bourges i przywoził hrabinie list od męża. Wiktor, który porzucił cesarza, oznajmił żonie upadek rządu, wzięcie Paryża, zapal dla Burbonów w całej Francji. Nie wiedząc, jak dostać się do Tours, prosił, aby przybyła najspieszniej do Orleanu, gdzie miał czekać na nią z paszportami. Lokaj jego, dawny żołnierz, miał towarzyszyć Julii do Orleanu, gdyż Wiktor sądził, że droga jest jeszcze wolna.

— Nie ma chwili do stracenia — mówił służący. — Prusacy, Austriacy i Anglicy mają się połączyć w Blois albo w Orleanie.

W kilka godzin młoda kobieta była gotowa i ruszyła w starej podróźnej karecie ciotki.

— Czemu ciocia nie miałyby jechać z nami do Paryża — rzekła, ściskając ją. — Teraz, kiedy Burboni wracają, znalazłabyś tam...

— I bez tego niespodzianego powrotu pojechałabym, moje biedne dziecko. Rady moje są zbyt potrzebne i Wiktorowi, i tobie, toteż przygotuję wszystko, aby podążyć za wami.

Julia puściła się w drogę w towarzystwie panny służącej i starego żołnierza, który galopował obok karety, czuwając nad bezpieczeństwem swej pani. W nocy, na jedną stację przed Blois, Julia zaniepokojona turkotem powozu, który jechał za nią od Amboise, wychyliła się, aby zobaczyć, co ma za towarzyszyów podróży. Księżyc pozwolił jej ujrzeć Artura; stał o trzy kroki z oczami wlepionymi w karecę. Spojrzenia ich spotkały się. Hrabina cofnęła się żywo w głąb, ale z uczuciem lęku, od którego serce jej zabiło. Jak większość szczerze niewinnych i nieświadomych młodych kobiet czuła się winna miłości zbudzonej mimo woli. Czuła bezwiedny lęk, może w poczuciu własnej słabości wobec tak zuchwałego ataku. Najsilniejszą bronią mężczyzny jest owa groźna możliwość zaprzątania sobą kobiety, której wrażliwą wyobraźnię przeraża lub obraża taki pościg.

Przypomniała sobie rady ciotki i postanowiła przez całą podróż nie opuszczać karety. Ale na każdej stacji słyszała Anglika przechadzającego się koło dwóch powozów; w drodze natrętny turkot jego karety rozlegał się nieustannie w uszach Julii. Pomyślała, iż skoro raz znajdzie się przy mężu, Wiktor potrafi ją obronić od tego prześladowania.

— Ale jeśli ten młody człowiek nie kocha się we mnie?

Była to ostatnia jej refleksja. Za przybyciem do Orleanu karecę jej zatrzymali Prusacy, zatoczyli w podwórze gospody i oddali pod straż. Opór był niemożliwy. Cudzoziemcy wytłumaczyli trojgu podróżnych na migi, że nie wolno im nikogo wypuścić z karety. Hrabina spędziła tak blisko dwie godziny we łzach, uwięziona wśród żołnierzy, którzy palili, śmiali się, a niekiedy przyglądali się jej zuchwale. W końcu ujrzała, jak rozstępują się z szacunkiem, słysząc tętent koni. Niebawem grupa cudzoziemskich oficerów z austriackim generałem na czele otoczyła karecę.

— Pani — rzekł generał — racz nam wybaczyć. Zaszła pomyłka. Może pani jechać bez obawy: oto paszport, który jej oszczędzi wszelkich przykrości...

Hrabina wzięła papier cała drżąca i wyjąkała kilka słów. Obok generała w kostiumie angielskiego oficera stał Artur, któremu zapewne zawdzięczała rychłe oswobodzenie. Radosny i melancholijny zarazem, młody Anglik odwrócił głowę i ledwie ukradkiem śmiało spojrzeć na Julię.

Dzięki paszportowi pani d'Aiglemont przybyła do Paryża bez trudności. Zastała tam męża, który, zwolniony od przysięgi danej cesarzowi, znalazł najpochlebniejsze przyjęcie u hrabiego d'Artois, mianowanego naczelnym wodzem przez brata swego, Ludwika

XVIII. Wiktor zajął w przybocznej gwardii wybitne stanowisko, które dawało mu rangę generała. Ale wśród zabaw, którymi obchodzono powrót Burbonów, spadło na Julię nieszczęście, które miało wpłynąć na jej życie: straciła margrabinę de Listomère-Landon. Staruszka umarła z radości i z podagry: dostała ataku sercowego, skoro ujrzała w Tours księcia Angoulême. Tak więc, osoba, która z tytułu swego wieku miała prawo oświecić Wiktora i która doświadczonymi radami mogła ocalić ten związek, umarła! Julia uczuła całą doniosłość tej straty. Znalazła się samotna wobec męża. Ale młode i nieśmiałe stworzenie wolało cierpieć niż się skarżyć. Dobroć charakteru nie pozwalała jej uchylać się od obowiązków, ani dochodzić przyczyny swych cierpień. Uniknąć ich byłoby rzeczą zbyt drażliwą: Julia lękałaby się narazić swą dziewczęcą skromność.

Słówko o kolejach pana d'Aiglemont za Restauracji.

Czyż nie spotyka się wielu ludzi, których zupełna nicość jest tajemnicą dla ich otoczenia? Stanowisko, urodzenie, urząd, ogłada, ostrożność w postępowaniu, a wreszcie urok majątku są dla nich niby tarcza, która nie pozwala krytyce docierać zbyt blisko. Ci ludzie podobni są królom, których istotnej miary, charakteru i obyczajów nie może nikt nigdy dobrze znać ani ocenić, gdyż widzi się ich zawsze albo z nazbyt daleka albo z nazbyt blisko. Osoby takie o samozwańczej wartości pytają zamiast mówić, wprawiają w ruch innych, aby uniknąć ich obserwacji. Szczęśliwie i zręcznie ciągną każdego za nitkę namiętności lub interesów; igrając w ten sposób z ludźmi, którzy ich w istocie przerażają, robią z nich marionetki i uważają ich za małych, ponieważ ściągnęli ich do siebie. Jest to naturalny tryumf myśli mizernej, ale ciąglej nad żywą ruchliwością talentu. Toteż, aby osądzić te puste głowy i zważyć ich negatywne wartości, obserwator musi posiadać więcej sprytu niż głębi, więcej cierpliwości niż polotu, więcej dyplomacji niż geniuszu. Mimo całej zręczności, z jaką ci uzurpatorowie bronią swoich słabych stron, trudno im oszukać własną żonę, matkę, dzieci lub przyjaciela domu; te osoby dochowują im prawie zawsze sekretu w rzeczy tyczącej niejako wspólnego honoru, często nawet pomagają im w omamieniu świata. Jeżeli dzięki tej milczącej zмовie wielu głupców uchodzi za ludzi rozumnych, wyrównywa to liczbę rozumnych, którzy uchodzą za głupców: tak więc społeczeństwo posiada zawsze tę samą liczbę uznanych zdolności.

Wyobraźcie sobie teraz rolę, jaką musi grać przy takim mężu kobieta z głową i z sercem! Czyż to nie będzie egzystencja pełna bólów i poświęceń, za którą nic na ziemi nie zdoła wynagrodzić tkliwej i kochającej duszy? Niech się znajdzie w tym okropnym położeniu kobieta silna, a wyjdzie z niego przez zbrodnię, jak zrobiła Katarzyna II, zwana mimo to *Wielką*. Że jednak nie wszystkie kobiety są na tronie, padają one po największej części ofiarą nieszczęść domowych, które, mimo że nieznanne, są straszne. Te, które szukają na ziemi doraźnej pociechy, zmieniają jedynie katusze, jeśli chcą zostać wierne swoim obowiązkom, lub popełniają błędy, gdy gwałcą prawa na rzecz swoich namiętności.

Wszystkie te refleksje mieszczą się w tajemnych dziejach Julii. Póki Napoleon był przy władzy, hrabia d'Aiglemont, pułkownik jak tyłu innych, dobry oficer ordynansowy, wyborny do jakiejś ryzykownej misji, ale niezdolny do samodzielnego dowództwa, nie budził żadnej zazdrości. Uchodził za jednego z owych zuchów, których faworyzował cesarz: typ, który w wojsku nazywa się *dobrym chłopem*. Restauracja, która wróciła mu tytuł margrabiego, nie zawiodła się na nim: pośpieszył za Burbonami do Gandawy. Ta konsekwencja i wierność zadały kłam przepowiedni teścia, który utrzymywał niegdyś, że jego zięć zostanie wiecznym pułkownikiem. Za drugim powrotem pan d'Aiglemont, mianowany generał-porucznikiem i znowuż margrabią, zapłonął ambicją parostwa. Przejął się zasadami i polityką *konserwatysty*; otoczył się tajemniczością, która nie kryła nic, stał się poważny, pytający, małowówny i uchodził za człowieka głębokiego. Opancerzył się w formy grzeczności, zaopatrzył się w formułki, miał w zanadrzu owe gotowe frazesy, które wybijają się w Paryżu, aby w drobnej monecie dać głupcom sens wielkich myśli lub faktów. Dzięki temu zyskał opinię człowieka smaku i wiedzy. Zacieklszy się w przekonaniach arystokratycznych, uchodził za niezłomny charakter. Jeżeli przypadkiem stał się na chwilę lekkomyślny i wesół jak niegdyś, wówczas błahość i nicość jego powiedzeń nabierały wagi dyplomatycznych niedomówień.

„Och, on mówi tylko to, co chce powiedzieć” — myśleli bardzo zacni ludzie.

Wspomagały go równie dobrze jego zalety, co wady. Odwaga jego zyskała mu wysoką opinię wojskową, której nic nie podawało w wątpliwość, bo nigdy nie posiadał naczel-

nego dowództwa. Jego męska i szlachetna twarz wyrażała podniosłe myśli: fizjonomia ta była szalbierstwem jedynie dla żony. Słyszac, jak wszyscy wielbia jego mniemane talenty, margrabia nabral sam w koncu przeświadczenia, że jest jednym z najwybitniejszych ludzi na dworze, gdzie dzięki swej powierzchowności umiał się podobać i gdzie walory jego przyjęto bez protestu.

Mimo to pan d'Aiglemont w domu był skromny. Czuł instynktownie wyższość żony mimo jej młodości. Z tego mimowolnego szacunku wynikła tajemna władza, której ciężar margrabina musiała przyjąć mimo wszystkich wysiłków, aby uchylić to brzemię. Jako doradczyni męża kierowała jego czynami i majątkiem. Ta nienaturalna sytuacja była dla niej upokorzeniem oraz źródłem wielu zgryzot, które kryła w głębi serca. Po pierwsze, subtelny instynkt kobiecy mówił jej, że o wiele piękniej jest być posłuszną człowiekowi zdolnemu, niż prowadzić głupca; że młoda żona zmuszona myśleć i działać jak mężczyzna nie jest ani mężczyzną, ani kobietą, wyrzeka się całego wdzięku swej płci, wyrzekając się jej niedoli, a nie nabywa żadnego z przywilejów, które prawa nasze przyznały silniejszemu.

Życie jej było okrutną ironią. Czyż nie musiała czcić pustego bożka, opiekować się swoim opiekunem, mizernym człowiekiem, który w odpłatę nieustannego poświęcenia rzucał jej ochłap samolubnej miłości małżeńskiej, widział w niej tylko kobietę i nie raczył, czy nie umiał — zniewaga równie dotkliwa! — zatroszczyć się o jej przyjemności ani o to, skąd pochodzi jej smutek i wyniszczenie? Jak większość mężów czujących ucisk wyższej inteligencji margrabia ratował swoją miłość własną, wnosząc z fizycznej słabości Julii o jej słabości umysłowej. Ubolewał nad nią, wdychając zarazem nad swym losem, że go pokarał chorowitą żoną. Słowem, czynił z siebie ofiarę, gdy był katem. Margrabina, dźwigając wszystkie niedole tej smętnej egzystencji, musiała się jeszcze uśmiechać do swego niezdarnego władcy, stroić kwiatami dom żaloby i oblekać szczęściem twarz pobladłą od tajemnych mąk. Ta chlubna odpowiedzialność, to szczytne zaparcie się siebie, dały nieznacznie młodej margrabinie godność kobiecą oraz poczucie cnoty, które stały się jej tarczą przeciw niebezpieczeństwom świata. Przy tym — jeżeli mamy już do dna zgłębić to serce — owo ukryte i tajemne nieszczęście, które pognębiło jej pierwszą i naiwną miłość dziewczęcą, przejęło ją może wstrętem do miłości; może nie rozumiała ani jej potęgi, ani jej rozkoszy nieprawych, ale upajających, dla których tyle kobiet zapomina rozsądku i cnoty, będących podstawą społeczeństwa. Wyrzekłszy się niby snu owych słodczy, owej tkliwej harmonii, którą przyrzekło jej stare doświadczenie pani de Listomère-Landon, czekała z rezygnacją końca swych udręczeń, spodziewając się umrzeć młodo.

Od powrotu z Turenii zdrowie jej podupadało z każdym dniem, życie jej mierzyło się tylko cierpieniem. Cierpienie to było zresztą wytworne, choroba niemal rozkoszna na pozór, mogąca w oczach powierzchownych ludzi uchodzić za kaprysy wykwintnisi. Lekarze kazali margrabinie leżeć na kanapie, gdzie gasła wśród kwiatów, które ją otaczały, więdnąc jak one. Osłabienie nie pozwalało jej chodzić ani zażywać powietrza; wyjeżdżała jedynie zamkniętym powozem. Otoczona cudami zbytku i nowoczesnego przemysłu, podobna była raczej do rozpieszczonej królowny niż do chorej. Kilku przyjaciół, rozkochanych może w jej nieszczęściu i słabości, pewnych, że zawsze ją zastaną w domu, może zresztą spekulując na jej powrót do zdrowia, zносиło jej nowiny oraz relacje o owym tysiącu drobnych wydarzeń, które czynią paryską egzystencję tak urozmaiconą. Melancholia jej, mimo że głęboka i poważna, była tedy melancholią zbytku. Margrabina d'Aiglemont podobna była do pięknego kwiatu, którego korzeń podgryza czarny robak.

Bywała niekiedy w świecie, nie dla przyjemności, ale aby dopełnić obowiązków pozycji, do której wdychał jej mąż. Głos jej i sztuka śpiewacza pozwalały jej zbierać oklaski, które prawie zawsze pochlebiają młodej kobiecie. Ale cóż jej było z tryumfów, które nie wiązały się ani z uczuciem, ani z nadzieją? Mąż jej nie lubił muzyki. Zresztą czuła się nieswojo w salonach, gdzie uroda jej ściągała wiele interesownych hołdów. Położenie jej budziło okrutne współczucie, smutną ciekawość. Dotknięta była zapaleniem, dość często śmiertelnym, które kobiety zwierżają sobie na ucho, a dla którego nasz nowy słownik nie znalazł jeszcze nazwy. Mimo ciszy, w jakiej upływało jej życie, przyczyna jej cierpienia nie była tajemnicą dla nikogo. Zawsze dziewczica pomimo małżeństwa, wstydzila się każdego spojrzenia. Toteż, aby nie musieć się rumienić, udawała fałszywą wesołość, mówiła, że się ma doskonale lub uprzedzała pytania o zdrowie wstydliwymi kłamstewkami.

Mąż, Żona, Kobieta,  
Mężczyzna, Władza,  
Obyczaje

Melancholia, Robak

Jednakże w roku 1817 zaszedł wypadek, który znacznie przyczynił się do zmiany opłakanego stanu Julii. Miała córkę i postanowiła ją sama karmić. Przez dwa lata radości i niepokoje macierzyństwa uczyniły jej życie mniej nieszczęśliwym. Z konieczności żyła dalej od męża. Lekarze wróżyli jej zdrowie, ale margrabina nie wierzyła tym wątpliwym wróżbom. Jak wszyscy, dla których życie nie ma już uroku, widziała może w śmierci szczęśliwe rozwiązanie.

Z początkiem roku 1819 życie jej było okrutniejsze niż kiedykolwiek. W chwili gdy się cieszyła negatywnym szczęściem, jakie umiała zdobyć, ujrzała przepaść: mąż stopniowo odzwyczaił się od niej. Owo ostudzenie już i tak letniego i samolubnego przywiązania mogło się stać przyczyną niejednego nieszczęścia, które subtelny jej takt i przezorność pozwalały odgadnąć. Pewna, iż zawsze zachowa wpływ na męża i że zdobyła jego szacunek na zawsze, lękała się wszakże miłostek dla człowieka tak marnego i tak szalenie próżnego. Często przyjaciele zastawali Julię w głębokiej zadumie. Najmniej domyślni pytali ją żartobliwie o jej sekret, jakby młoda kobieta mogła myśleć jedynie o błahostkach, jak gdyby troski matki rodziny nie kryły prawie zawsze głębokiej myśli! Niekiedy, bawiąc się z Helenką, Julia patrzyła na nią posępnie. Nie odpowiadając na owe dziecięce pytania tak rozkoszne dla matek, zastanawiała się nad swym obecnym i przyszłym losem. Czasem wspomnienie przywodziło jej na myśl rewie w Tuilleriach i oczy jej zachodziły łzami. Prorocze słowa ojca brzmiały jej w uszach, sumienie wyrzucało jej, że nie umiała ocenić ich mądrości. Z tej nieopatrznej samowoli wynikły wszystkie jej cierpienia, a często nie wiedziała, które z nich jest najcięższe. Nie tylko słodkie skarby jej duszy pozostały nieznanne, ale nie mogła się porozumieć z mężem nawet w najpowszedniejszych sprawach. W miarę jak zdolność kochania rozwijała się w niej silniej i czynniej, miłość dozwolona, małżeńska, zamierała pośród dotkliwych fizycznych i moralnych cierpień. Miała przy tym dla męża owo bliskie wzgardy politowanie, które z czasem niweczy wszystko. Gdyby wreszcie rozmowy z przyjaciółmi, gdyby przykłady lub jakieś skandaliki światowe nie mówiły jej, że miłość daje olbrzymie szczęście, własne rany pozwoliłyby jej odgadnąć głębokie i czyste słodycze, jakie muszą zespalać bratnie dusze. W obrazach, jakie pamięć jej wywołała z przeszłości, szlachetna postać Artura rysowała się z każdym dniem piękniej i czystiej. Ale znikła szybko. Julia nie śmiała zatrzymywać się przy tym wspomnieniu. Cicha i nieśmiała miłość młodego Anglika, to było jedyne wydarzenie, które od czasu małżeństwa zostawiło jakiś miły ślad w tym posępnym i samotnym sercu. Może wszystkie zawiedzione nadzieje, wszystkie poronione pragnienia, które stopniowo osmucaly<sup>7</sup> duszę Julii, skupiały się naturalną grą wyobraźni na tym człowieku, którego wzięcie<sup>8</sup>, uczucia i charakter tyle miały podobieństwa z jej uczuciami. Ale ta myśl pojawiała się zawsze jak kaprys, jak sen. Po tym nieziszczalnym marzeniu, zawsze kończącym się westchnieniem, Julia budziła się jeszcze nieszczęśliwsza; jeszcze dotkliwiej czuła swe istotne cierpienia, skoro je uspiła pod skrzydłami urojonego szczęścia.

Czasami żale jej stawały się zuchwałę, szalone: chciała rozkoszy za wszelką cenę. Ale częściej jeszcze stawała się pastwą odrętwienia. Słuchała, nie rozumiejąc, lub też myśli jej były tak mętne, tak nieokreślone, że nie znalazłaby słów na ich oddanie. Zraniona w swych najtajniejszych chęciach, w snach, które niegdyś snuła jako młoda dziewczynka, musiała połykać łzy. Komuż się skarżyć? Kto by ją zrozumiał? Miała przy tym ową nadzwyczajną kobiecą delikatność, ową czarującą wstydlivość uczuć, która każe zdławić daremną skargę i rzec się wygranej, kiedy tryumf musiałby upokorzyć i zwycięzcę, i zwyciężonego.

Julia próbowała dać własne zdolności i własne przymioty panu Aiglemont i chlubiła się szczęściem, którego jej brakło. Cały kobiecy spryt zużywała daremnie na oszczędzanie człowieka, który tego nie odczuwał i którego utwierdzało to jedynie w despotyzmie. Chwilami była pijana nieszczęściem, bez myśli, bez hamulca; ale na szczęście prawdziwa pobożność sprowadzała ją zawsze do ostatecznej nadziei: chroniła się w przyszłe życie, a ta cudowna wiara pozwalała jej na nowo podejmować bolesny ciężar. Te straszliwe walki, te wewnętrzne rozdarcia były bez sławy, te długie smutki były nieznanne: nikt nie widział jej rozpaczliwych spojrzeń, jej gorzkich łez wylewanych w samotności.

<sup>7</sup>osmucac — dziś: zasmucac. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>wzięcie (daw.) — zachowanie, sposób bycia. [przypis edytorski]

Niebezpieczeństwa krytycznego położenia, do jakiego Julia musiała dojść nieznacznie, objawiły się jej nagle w całej grozie pewnego styczniowego wieczora roku 1820. Kiedy małżonkowie znają się doskonale i od dawna przywykli już do siebie, kiedy kobieta umie sobie wytłumaczyć najdrobniejszy gest mężczyzny i wnikać w uczucia lub sprawy, które on jej ukrywa, wówczas światło rozbłyska nagle po uprzednich refleksjach lub spostrzeżeniach wynikłych z przypadku lub czynionych zrazu bezmyślnie. Często kobieta budzi się nagle nad brzegiem lub też na dnie przepaści. Toteż Julia, szczęśliwa, że jest od kilku dni sama, zrozumiała nagle przyczynę tej samotności. Niestaly czy znudzony, wspaniałomyślny czy wiedziony współczuciem, mąż jej nie należał już do niej. W tej chwili nie myślała już o sobie, o swoich cierpieniach, o swoich ofiarach. Była tylko matką; widziała majątek, przyszłość, szczęście swojej córki, jedynej istoty, która jej dawała trochę szczęścia; Helenki, jedyne skarbu, który ją wiązał do życia. Teraz Julia chciała żyć, aby uchronić swoje dziecko od straszliwego jarzma, pod którym macocha mogłaby zdławić życie drogiej istoty. To nowe widmo złowrogiej przyszłości pogrążyło ją w owej palącej zadumie, której płomień pożera całe lata. Odtąd między nią a mężem wyrosły całe światy myśli, których ciężar miała dźwigać tylko ona sama. Dotąd, pewna miłości Wiktora, o ile on był zdolny kochać, poświęcała się dla szczęścia, którego nie podzielała; dziś, nie mając już tej świadomości, że lzy jej tworzą szczęście męża, sama na świecie, miała jedynie wybór nieszczęścia. W chwili tego zniechęcenia, które w ciszy i pustce nocy odprężyło wszystkie jej siły, w chwili gdy wstając z kanapy od wygasłego prawie ognia, miała przy blasku lampy spojrzeć suchym okiem na córkę, wrócił pan d'Aiglemont w doskonałym humorze. Julia ukazała mu z zachwytem śpiącą Helenkę, ale on przyjął entuzjazm żony zdawkową uwagą:

— W tym wieku — rzekł — wszystkie dzieci są ładne.

Po czym ucałowawszy niedbale czoło córki, spojrzął na Julię, ujął jej rękę i przyciągnął ją do siebie na tę kanapę, na której zbudziło się w niej tyle bolesnych myśli.

— Piękna jesteś dziś, pani margrabino! — wykrzyknął z ową niecierpliwą wesołością, której pustkę Julia znała tak dobrze.

— Gdzie byłeś wieczór? — spytała obojętnie na pozór.

— U pani de Sérizy.

Wziął z kominka ekranik i przyglądał mu się pod światło, nie spostrzegłszy śladu łez wylanych przez żonę. Julia zadrżała. Słowa nie starczą na wyrażenie potoku myśli, który trysnął z jej serca i który musiała powściągnąć.

— Pani de Sérizy daje koncert w przyszły poniedziałek i marzy o tym, żebyś przyszła. Dawno nie pokazywałaś się nigdzie, to wystarczy, aby cię chciała mieć u siebie. To dobra kobieta i bardzo cię lubi. Zrobisz mi tę przyjemność i pójdziesz, już prawie obiecałem za ciebie...

— Pójdę — odpowiedziała Julia.

Głos, akcent i spojrzenie miały coś tak przejmującego, tak niezwykłego, że mimo swej nieuwagi Wiktor spojrzął na żonę zdziwiony. To było wszystko. Julia odgadła, że pani de Sérizy jest kobietą, która zabrała jej serce męża. Utonęła w rozpaczliwej zadumie, na pozór bardzo zajęta wpatrywaniem się w ogień. Wiktor obracał ekranik w palcach, ze znudzoną miną człowieka, który używszy szczęścia gdzie indziej, przynosi do domu znużenie. Ziewnąwszy kilka razy, wziął jedną ręką świecę, a drugą objął leniwie szyję żony, chcąc ją ucałować. Ale Julia schyliła się, podała mu czoło i tak przyjęła wieczorny pocałunek, ów machinalny pocałunek bez miłości, który wydał się jej niemal wstrętny.

Kiedy Wiktor zamknął drzwi, margrabina upadła na krzesło, nogi ugięły się pod nią, wybuchnęła płaczem. Trzeba przeżyć mękę podobnej sceny, aby zrozumieć wszystkie cierpienia, jakie kryje, by odgadnąć długie i straszliwe dramaty, jakie rodzi. Te proste i bezmyślne słowa, to milczenie między małżonkami, gesty, spojrzenia, sposób, w jaki mąż usiadł przy ogniu, sposób, w jaki chciał ją pocałować, wszystko to uczyniło z tej godziny tragiczne rozwiązanie samotnego i bolesnego życia Julii. W szaleństwie swoim uklękała przy kanapie, utopiła w niej głowę, aby nic nie widzieć, i zaczęła się modlić. Zwykłe słowa modlitwy miały przejmujący akcent i nowy wyraz, który byłby rozdarł serce męża, gdyby mógł je słyszeć.

Tydzień dumiała nad przyszłością, pochłonięta swoim nieszczęściem. Rozważała, w jaki sposób nie skłamać swemu sercu, odzyskać władzę nad mężem i żyć dość długo, aby

czuwać nad szczęściem córki. Postanowiła walczyć z rywalką, znów pokazać się w świecie, zabłysnąć; kłamać mężowi miłość, której już nie czuła, zwiść go, a potem, skoro swymi sztuczkami odzyska władzę, być z nim zalotną jak kapryśna kochanka, która dla przyjemności dręczy swoich niewolników. Ten wstrętny manewr był jedynym możliwym lekarstwem. W ten sposób stałaby się panią swoich mąż, uregulowałaby je wedle ochoty i uczyniłaby je rzadszymi, opanowując męża i trzymając go w swym jarzmie. To, że jemu uczyni życie ciężkim, nie budziło w niej żadnej zgryzoty. Jednym rzutem pograżała się w zimnych rachubach. Aby ocalić córkę, przeniknęła w jednej chwili przewrotność, kłamstwa istot, które nie kochają, sztuczki ich zalotności oraz te piekielne wyrafinowania, rodzące tak straszliwą nienawiść do kobiety, w której mężczyzna podejrzewa wrodzone zepsucie. Ambicja kobieca, interes i mgliste pragnienie zemsty skojarzyły się bezwiednie z miłością macierzyńską, aby pchnąć Julię na drogę, gdzie czekały ją nowe cierpienia. Ale miała duszę zbyt piękną, umysł zbyt subtelny, a zwłaszcza była zbyt szczerą, aby długo oszukiwać samą siebie. Nawykła czytać w sobie samej; toteż za pierwszym krokiem na drodze zepsucia (bo to było zepsucie), krzyk jej sumienia miał zdławić głos namiętności i egoizmu. U młodej kobiety, której serce jest jeszcze czyste i której miłość pozostała dziewiczą, nawet poczucie macierzyństwa podlega głosowi wstydu. Czyż wstyd to nie jest cała kobieta? Ale Julia nie chciała dostrzec żadnego niebezpieczeństwa, żadnego błędu w swoim nowym życiu. Poszła do pani de Sérizy. Rywalka jej spodziewała się ujrzyć kobietę bladą, cierpiącą; margrabina uróżowała się i wystąpiła w stroju, który podniósł jeszcze jej piękność.

Hrabina de Sérizy<sup>9</sup> była jedną z owych kobiet, które chcą w Paryżu królować nad modą i światem. Dyktowała wyroki przyjmowane przez kółko, w którym panowała, będąc dla niej całym światem. Miała pretensję do dowcipu, lubiła zwłaszcza wydawać sądy. Literatura, polityka, mężczyźni, kobiety, wszystko przechodziło jej cenzurę; ona zaś sama wyzywała sądy drugich. Dom jej był pod każdym względem wzorem dobrego smaku. W tych salonach rojących się od wykwintnych i pięknych kobiet, Julia odniosła tryumf nad hrabiną. Dowcipna, żywa, pełna werwy, skupiła najwybitniejszych gości. Ku rozpaczy kobiet tualeta jej była bez zarzutu, wszystkie zazdrościły jej kroju sukni, fasonu stanika, który przypisywały talentom jakiejś nieznannej modystki. Kobiety wolą wierzyć we wszechmoc szmatek niż we wdzięk i doskonałość tych, które umieją je nosić. Kiedy Julia wstała i podeszła do klawikordu, aby zaśpiewać romancę Desdemony, mężczyźni zbiegli się ze wszystkich salonów, chcąc usłyszeć ten sławny głos, od tak dawna oniemiały. Zrobiła się cisza. Julia doznała żywego wzruszenia, widząc głowy cisnące się we drzwiach i wszystkie te wpatrzone w nią spojrzenia. Poszukała wzrokiem męża, rzuciła mu zalotne spojrzenie i ujrzała z przyjemnością, że polectała jego miłość własną. Szczęśliwa z tego tryumfu, oczarowała zebranie pierwszą częścią *Al pie d'un salice*. Nigdy Malibran ani Pasta nie zdobyły się na śpiew tak doskonały uczuciem i intonacją. Ale w chwili gdy miała przejść do drugiej części, spojrzała po otaczających i spostrzegła Artura, który nie spuszczał z niej oczu. Zadrżała, głos jej się zmienił. Pani de Sérizy podbiegła.

— Co tobie, drogie dziecko? Och, biedna mała, taka cierpiąca. Drżałam, widząc, jak podejmuję rzecz na siły...

Julia przerwała. Nie miała już odwagi śpiewać dalej i musiała znieść obłudne współczucie rywalki. Kobiety zaczęły szeptać; odgadły walkę rozpoczętą między margrabiną a panią de Sérizy, której nie oszczędziły w swoich komentarzach. Dziwne przeczucia, które tak często dręczyły Julię, ziściły się nagle. Myśląc o Arturze, lubiła marzyć, że ten człowiek, z pozoru tak łagodny i delikatny, został wierny pierwszemu uczuciu. Czasami była szczęśliwa, że jest przedmiotem tej pięknej miłości, czystej i szczerzej miłości młodzińca, którego wszystkie myśli należą do ukochanej, wszystkie chwile są jej poświęcone, który nie zna żadnych wykrętów, który rumieńcem odpowiada na wszystko, co przyprawia o rumieniec kobietę, który czuje jak kobieta, nie sprzeniewierza się jej ani na chwilę i oddaje się jej cały, nie myśląc o ambicji, sławie ani majątku. Często w chwili szaleństwa lub dla ogłuszenia się marzyła o Arturze i nagle zdało jej się, że marzenie się spełniło. Wyczytała na kobiecej niemal twarzy Anglika też same głębokie myśli, łagodne smutki i bolesne rezygnacje, których ona była ofiarą. Poznała w nim siebie samą. Nieszczęście

<sup>9</sup>hrabina de Sérizy — [por. Balzaca:] *Ostatnie wcielenie Vautrina, Falszywa kochanka*, etc. [przypis tłumacza]

i melancholia są najwymowniejszymi tłumaczeniami miłości i pośredniczą między dwój-  
giem cierpiących istot niewiarygodnie szybko. Porozumienie dusz, bliskość uczuć i myśli  
są u nich zupełne i ścisłe. Toteż gwałtowny wstrząs, jakiego doznała margrabina, objawił  
jej wszystkie przyszłe niebezpieczeństwa. Szczęśliwa, iż zwykły jej stan usprawiedliwia to  
pomieszczenie, chętnie dała się pognębić udanemu współczuciu pani de Sérizy. Ta przerwa-  
na romanca była wydarzeniem, o którym wyrażano się dość rozmaicie. Jedni ubolewali  
nad losem Julii i żalowali, że tak niepospolita kobieta stracona jest dla świata: drudzy  
chcieli przeniknąć powód jej cierpienia i samotności.

— No i cóż, drogi Ronquerolles<sup>10</sup> — mówił margrabia do brata pani de Sérizy —  
zazdrościłeś mi szczęścia, kiedyś poznał moją żonę; wyrzucałeś mi, że jestem jej niewier-  
ny? Wierzaj, mój los wcale nie wydalby ci się godzien zazdrości, gdybyś jak ja żył rok lub  
dwa obok ładnej kobiety, nie śmiejąc jej ucałować ręki z obawy, aby jej nie połamać. Nie  
bierz nigdy takiego delikatnego cacka, to dobre chyba po to, aby postawić za szkłem. Tak  
kosztowne, a tak drogie, że wymaga ciągłego szanowania. Czy często dosiadasz swego  
pięknego konia, dla którego, jak mi mówiono, obawiasz się ulewy i śniegu? Oto mo-  
je dzieje. To prawda, jestem pewien cnoty mojej żony; ale małżeństwo to zbytek; jeśli  
myślisz, że ja jestem żonaty, mylisz się. Toteż moja niewierność jest do pewnego stopnia  
uprawniona. Ciekawym, co wy byście zrobili na moim miejscu, panowie żartownisie?  
Wielu mężów nie cackałoby się z żoną jak ja. Jestem pewny — dodał po cichu — że  
ona się niczego nie domyśla. Toteż nie mam prawa się skarżyć, jestem bardzo szczęśli-  
wy... Tylko że nie ma nic przykrzejszego dla człowieka z sercem, jak patrzeć na cierpienia  
biednej istoty, do której jest przywiązany...

— Jesteś tedy bardzo sercowy — odparł pan Ronquerolles — bo rzadko siedzisz  
w domu.

Ten przyjacielski żart obudził śmiech słuchaczy, jedynie Artur pozostał zimny i nie-  
wzruszony, jak przystało na gentlemana, którego zasadą jest powaga. Szczególne zwie-  
rzenia tego męża obudziły zapewne w młodym Angliku jakieś nadzieje; czekał cierpliwie  
chwili, gdy znajdzie się sam na sam z panem d'Aiglemont. Sposobność nastęrczyła się  
niebawem.

— Proszę pana — rzekł — z przykrością patrzę na stan pani margrabiny. Gdyby pan  
wiedział, że dla braku właściwego postępowania czeka ją nędzna śmierć, nie żartowałby  
pan z jej cierpienia. Jeśli przemawiam do pana w ten sposób, uprawniam mnie poniekąd to,  
że potrafiłbym ocalić pańską żonę i wrócić jej radość życia. Rzadko zdarza się, aby człowiek  
mego stanu był lekarzem; mimo to trafił zrzędził, że studiowałem medycynę. Otóż nudzę się  
na tyle — rzekł z miną zimnego egoisty dostrojona do jego zamiarów — że gotów jestem  
obrócić swój czas i swoje podróże na rzecz cierpiącej istoty, zamiast je trawić na jakieś  
niedorzeczne fantazje. Kuracje takich chorób są rzadkie, wymagają wiele starań, czasu  
i cierpliwości. Trzeba zwłaszcza mieć majątek, podróżować i wypełniać pilnie przepisy,  
niedotkliwe zresztą, ale zmieniające się co dzień. Jesteśmy dwaj gentlemeni — rzekł, dając  
temu słowu angielskie znaczenie — możemy się porozumieć. Uprzedzam pana, że jeśli  
pan przyjmie moją propozycję, będzie pan w każdej chwili sędzią mego postępowania. Nie  
podejmę nic bez pańskiej rady i kontroli i ręczę za skutek, jeżeli pan zechce mnie słuchać.  
I jeśli pan się zgodzi nie być przez dłuższy czas mężem pani d'Aiglemont — szepnęła do  
ucha margrabiemu.

— To pewna, milordzie — rzekł margrabia, śmiejąc się — że tylko Anglik mógł mi  
zrobić tak osobliwą propozycję. Pozwoli pan, że ani ją odrzucę, ani przyjmę; pomyślę nad  
nią. A przy tym przede wszystkim trzeba ją przedstawić mojej żonie.

W tej chwili Julia znów zjawiła się przy fortepianie. Odśpiewała arię Semiramidy: *Son  
regina, son guerriera*. Oklaski jednogłosne, ale stłumione, owe grzeczne arystokratyczne  
oklaski wyraziły zachwyt.

Kiedy d'Aiglemont odwiedził żonę do domu, Julia ujrzała z odcieniem niepokoju i przy-  
jemności rychły skutek swej próby. Mąż, podniecony jej sukcesem, zaszczycił ją swoim  
kaprysem, zapalił się do niej niby do aktorki. Julię zabawiło to; ona, kobieta uczciwa,  
mężatka, próbowała igrzać ze swą władzą. W tej pierwszej utarczce, dobroć jej sprawiła, że  
uległa jeszcze raz; ale była to najstrasliwsza ze wszystkich lekcji, jakie jej dał los. Około

<sup>10</sup>Ronquerolles — [por. Balzac:] *Ferragus, Księżna de Langeais*, etc. [przypis tłumacza]

trzeciej rano, posępna i zadumana siedziała w małżeńskim łóżku; słaby błysk lampy oświecał pokój, panowała najgłębsza cisza. Od godziny blisko margrabina, szarpana dotkliwymi wyrzutami, wylewała łzy, których gorycz mogą zrozumieć jedynie te, które znalazły się kiedy w tym położeniu. Trzeba było mieć duszę Julii, aby czuć, jak ona ohydę wyrachowanej pieszczoty, aby się czuć równie skalaną zimnym pocałunkiem: przeniewierstwo serca, obciążone bolesną prostytutką! Gardziła sobą, przeklinała małżeństwo, chciałaby umrzeć; gdyby nie krzyk córki, rzuciłaby się może z okna na bruk. Pan d'Aiglemont spał spokojnie obok, nieobudzony gorącymi łzami, które żona na niego roniła.

Nazajutrz Julia potrafiła być wesołą. Znalazła siły, aby udawać szczęśliwą i ukryć już nie melancholię, ale nieopisany wstręt. Od tego dnia nie uważała się już za kobietę bez skazy. Czyż nie skłamała samej sobie, czyż nie była zdolna do udania, czyż nie miała później rozwinąć zdumiewającej przewrotności w zdradzie? Małżeństwo jej było przyczyną owego zepsucia *a priori*, dotąd działającego w próżni. Już wszakże zadawała sobie pytanie, czemu się opierać kochankowi, którego kocha, skoro się oddaje wbrew sercu, wbrew naturze mężowi, którego już nie kocha. Wszystkie błędy, wszystkie zbrodnie płyną może z błędnego rozumowania lub z przewagi egoizmu. Społeczeństwo może istnieć jedynie tylko siłą indywidualnych wyrzeczeń, jakich wymagają prawa. Przyjmując jego dobrodziejstwa, czyż nie zobowiązujemy się dochowywać warunków, którymi istnieje<sup>11</sup>? Otóż nędzarze bez chleba, zmuszeni szanować prawo własności nie mniej są godni współczucia niż kobiety zranione w swoich uczuciach i swej delikatności.

W kilka dni po tej scenie, której tajemnice zostały pogrzebane w łożu małżeńskim, d'Aiglemont przedstawił żonie lorda Grenville. Julia przyjęła Artura z zimną grzecznością, która przyniosła zaszczyt jej obludzie. Nakazała milczenie sercu, zgasła spojrzenia, opanowała drżenie głosu, w ten sposób zdołała być panią swej przyszłości. Następnie, poznawszy dzięki tym środkom, wrodzonym niejako kobiecie, siłę miłości, jaką obudziła, pani d'Aiglemont uśmiechnęła się do nadziei rychłego ozdrowienia. Nie stawiała oporu woli męża, który nalegał, aby przyjęła opiekę młodego lekarza. Jednakże nie wprzód zawierzyła się lordowi Grenville, aż zgłębiwszy jego słowa i myśli, upewniła się, iż będzie na tyle szlachetnym, aby cierpieć w milczeniu. Posiadała nad nim absolutną władzę i już jej nadużywała: czyż nie była kobietą?

Montcontour jest to starożytny zamek położony na skale, u stóp której płynie Loara, niedaleko miejsca, gdzie zatrzymała się Julia w roku 1814. Jest to mały zameczek w Turenii, biały, ładny, z rzeźbionymi wieżyczkami, haftowanymi jak malińskie koronki; śliczny zameczek przeglądający się w rzece wraz ze swymi bukietami morw, winnicami, krzągankami, balustradami, piwnicami kutymi w skale, płaszczem bluszczu i szkarpami. Dachy Montcontour iskrzą się w promieniach słońca, wszystko tam płonie. Tysiące śladów Hiszpanii dodają poezji owej czarującej siedzibie; złote gencjany, dzwoneczki, przepajają wonią atmosferę; wietrzyk jest pieściwy, ziemia uśmiecha się, słodki czar spowija duszę, wprawia ją w omdlenie, czyni ją leniwą, miłosną, rozmarza ją i kołysze. Ta piękna i słodka miejscowość usypia cierpienia i rodzi żądze. Nikt nie może zostać zimny pod tym czystym niebem, wobec tych polyskujących wód. Tam obumiera niejedna ambicja, tam zasypia człowiek na łonie spokojnego szczęścia, jak co wieczór słońce układa się w pieluchach z purpury i lazuru.

W słodki sierpniowy wieczór roku 1821 dwie osoby pięły się kamienistą drogą wijącą się w skałach, na których wznosi się zamek. Kierowały się ku wyżynom, zapewne aby podziwiać piękne widoki. Te dwie osoby to była Julia i lord Grenville: ale Julia wydawała się nową kobietą. Tryskała rumieńcem zdrowia. Oczy jej ożywione płodną siłą lśniły przez wilgotną mgłę, podobną wilgoci, która daje spojrzeniu dziecka jego nieodparty urok. Uśmiechała się jasno, była szczęśliwa że żyje i rozumiała życie. Ze sposobu, w jaki stawiała drobne nóżki, łatwo było poznać, że żadne cierpienie nie pęta jak niegdyś jej najłżejszych ruchów, nie wątpi jej spojrzeń ani słów, ani gestów. Pod białą, jedwabną parasolką, która ją ochraniała od gorących promieni, podobna była pannie młodej w ślubnym welonie, dziewczycy dojrzałej do słodczy miłosnych. Artur prowadził ją z troskliwością kochanka;

<sup>11</sup>warunków, którymi istnieje — dziś popr.: warunków, dzięki którym istnieje. [przypis edytorski]



prowadził ją tak, jak prowadzi się dziecko; wybierał najlepszą drogę, omijał kamienie, wskazywał widoki lub też wiódł ją do jakiegoś kwiatu, wciąż natchniony uczuciem dobroci, delikatną intencją, idealną znajomością warunków szczęścia tej kobiety. Uczucia te zdawały się w nim wrodzone; tyleż, i bardziej może, co odruchy potrzebne do własnego istnienia.

Chora i jej lekarz szli jednym krokiem, niezdziwieni tą harmonią, która musiała istnieć między nimi od pierwszego dnia. Byli posłuszni jednej woli, zatrzymywali się pod wspólnym wrażeniem, spojrzenia ich, słowa, odpowiadały wspólnym myślom. Skoro zaszli na szczyt winnicy, chcieli spocząć na jednym z owych długich białych kamieni, jakie wydobywa się przy drażeniu piwnic w skale. Zanim Julia usiadła, spojrzała na krajobraz.

— Piękna okolica! — wykrzyknęła. — Rozbijmy namiot i żyjmy tutaj. Wiktorze — krzyknęła — chodź, chodźże.

Pan d'Aiglemont odpowiedział z dołu myśliwskim okrzykiem, ale nie przyspieszył kroku: patrzył tylko na żonę od czasu do czasu, skoro zakręty ścieżki pozwalały na to. Julia z przyjemnością wdychała powietrze, podnosząc głowę, rzucając Arturowi owo subtelne spojrzenie, którym inteligentna kobieta umie wyrazić swoją myśl.

— Och — dodała — chciałabym zawsze zostać tutaj. Czy można dość podziwiać tę piękną dolinę? Zna pan nazwę tej ślicznej rzeczki, milordzie?

— To Cize.

— Cize — powtórzyła. — A tam, przed nami, co to jest?

— Wzgórza Cher — odparł.

— A po prawej? A, to Tours. Niech pan patrzy, jak pięknie błyszczą wieżycy katedry.

Zamilkła i rękę wyciągniętą ku miastu opuściła na dłoń Artura. Oboje podziwiali w milczeniu krajobraz i piękności tej cudnej przyrody. Szmer wód, czyste powietrze i niebo, wszystko harmonizowało z myślami, które tłumnie napływały do ich młodych i kochających serc.

— Och, Boże, jak ja kocham te strony — powtarzała Julia z naiwnym zachwytem. — Czy długo pan tu mieszkał? — dodała po chwili.

Na te słowa lord Grenville zadrżał.

— To tam — odparł smętnie, wskazując orzechowy gaik przy drodze — tam jako jeniec ujrzałem panią po raz pierwszy...

— Tak, ale byłam wówczas bardzo smutna: ta natura zdała mi się dzika, a teraz...

Urwała: lord Grenville nie śmiał na nią spojrzeć.

— To panu — rzekła wreszcie Julia po długim milczeniu — zawdzięczam tę przyjemność. Czyż nie byłam jak umarła? Pan mi dał więcej niż zdrowie, nauczył mnie pan czuć jego wartość...

Kobiety mają niezrównany talent wyrażenia swych uczuć bez mocnych słów. Wymowa ich jest zwłaszcza w akcencie, w geście, w ruchu i spojrzeniu. Lord Grenville ukrył głowę w dłoniach, łzy kręciły mu się w oczach. To było pierwsze podziękowanie Julii od wyjazdu z Paryża. Cały rok pielęgnował margrabinę z pełnym oddaniem. Wraz z panem d'Aiglemont zawiózł ją do wód w Aix, potem nad morze do La Rochelle. Wciąż śledząc zmiany, jakie jego umiejętnie, a proste przepisy powodowały w wycieńczonym ustroju, pielęgnował Julię tak, jak zapalony ogrodnik może pielęgnować rzadki kwiat. Margrabina przyjmowała inteligentne starania Artura z całym egoizmem paryżanki nawykłej do hołdów lub z obojętnością kurtyzany nieznającej wartości rzeczy ani ludzi i szacującej ich wedle ich pożytku.

Wpływ, jaki miejsce wywiera na duszę, godny jest uwagi. O ile nad brzegiem wód ogarnia nas niechybnie melancholia, o tyle inne prawo naszej wrażliwości sprawia, iż w górach uczucia nasze oczyszczają się. Namietność zyskuje na głębi to, co traci na pozór na żywość. Widok szerokiego koryta Loary, położenie wzgórze, na którym siedzieli kochankowie, zrodziły może ich luby spokój. Pierwszy raz kosztowali szczęścia, jakiego się doznaje, odgadując ogrom uczucia pod nieznaczącymi na pozór słowami. Gdy Julia kończyła zdanie, które tak silnie wzruszyło lorda, pieściwy wietrzyk poruszył wierzchołki drzew, niosąc chłód od rzeki; lekkie chmury przysłoniły słońce, a miękkie cienie uwydatniły jeszcze piękność tej uroczej przyrody. Julia odwróciła głowę, aby ukryć przed młodym lordem łzy, które zdołała powstrzymać i osuszyć; wzruszenie Artura udzieliło się jej. Nie śmiała podnieść nań oczu z obawy, by nie ujrzał nadmiaru szczęścia w tym

Morze, Góry

spojrzeniu. Instykt kobiecy mówił jej, iż w tej niebezpiecznej godzinie winna zagrzebać swą miłość na dnie serca. Ale milczenie mogło być równie niebezpieczne. Widząc, że lord Grenville niezdolny jest wymówić słowa, Julia podjęła łagodnie:

— Jesteś wzruszony tym, co powiedziałam, milordzie. Może w ten sposób pańska szlachetna i zacna dusza stara się naprawić fałszywy sąd o mnie. Brał mnie pan za niewdzięcznicę, widząc mnie chłodną i obojętną albo drwiącą i nieczułą w czasie tej podróży, która na szczęście niebawem się skończy. Nie byłabym godna pańskich starań, gdybym nie umiała ich ocenić. Milordzie, ja niczego nie zapomniałam. Niestety, nie zapomnę niczego; ani troskliwości, z jaką pan czuł nad mną jak matka nad dzieckiem, ani jawności naszych braterskich rozmów, ani pańskiej delikatności... Wobec tych pokus jesteśmy zawsze bezbronni. Milordzie, nie jest w mojej mocy wynagrodzić pana...

Przy tych słowach Julia oddaliła się szybko. Lord Grenville nie uczynił ani jednego ruchu, aby ją zatrzymać. Margrabina udała się na pobliską skałę i stała nieruchoma. Wzruszenia ich były tajemnicą dla nich samych, zapewne płakali w milczeniu. Śpiew ptaków, tak wesoły, tak tkliwy o zachodzie słońca, musiał pomnażać gwałtowne wzruszenie, które kazało im się rozłączyć. Natura wyrażała za nich miłość, o której sami nie śmieli mówić.

— A więc, milordzie — podjęła Julia, stając przed nim w pełnej godności postawie, która pozwoliła jej ująć rękę Artura — poproszę pana, abys zostawił czystym i świętym to życie, któreś mi przywrócił. Wiem — dodała, widząc, że lord Grenville blednie — że za cenę pańskiego oddania wymagam od pana ofiary jeszcze większej niż te, których wielkość powinna bym lepiej ocenić... Ale tak trzeba... Nie zostanie pan we Francji. Żądać tego, czyż nie znaczy dać panu prawa, które pozostaną święte? — dodała, kładąc rękę młodzieńca na swym bijącym sercu.

— Tak — rzekł Artur, wstając.

Równocześnie wskazał pana d'Aiglemont, który trzymał w objęciach córkę i pojawił się po drugiej stronie rozdołu na ganku zamkowym. Wdrapał się tam, aby się dać wyskakać Helence.

— Julio, nie będę ci mówił o mej miłości; dusze nasze rozumieją się zbyt dobrze. Mimo że rozkosze mego serca były bardzo głębokie i bardzo tajemne, podzieliłaś je wszystkie. Czuję to, wiem, widzę. Obecnie zyskuję rozkoszny dowód stałej sympatii naszych serc, ale ucieknę... Wiele razy zbyt spokojnie obliczałem środki zgładzenia tego człowieka, abym się mógł zawsze temu oprzeć, zostając w pobliżu ciebie.

— Miałam tę samą myśl — rzekła z bolesnym zdumieniem na zmieszanej twarzy.

Ale w akcencie i geście, które wydarły się Julii, tyle było cnoty, tyle pewności samej siebie i tyle tajemnych zwycięstw nad miłością, że lord Grenville oniemiał z podziwu. Nawet cień zbrodni pierzchnął z tej szlachetnej duszy. Uczucie religijne błyszczące na tym pięknym czole miało zeń zawsze spędzać mimowolne złe myśli, które rodzi nasza ułomna natura, a które świadczą zarazem o wielkości i niebezpieczeństwach naszej doli.

— Wówczas — dodała — stałabym się przedmiotem twej wzdargy i to by mnie ocaliło — dodała, spuszczaając oczy. — Stracić twój szacunek czyż to nie znaczy umrzeć?

Bohaterscy kochankowie trwali chwilę w milczeniu, pochłonięci swoim szczęściem. Złe czy dobre, myśli ich były ściśle te same; rozumieli się równie dobrze w swych tajemnych upojeniach, jak w swoich najskrytszych męczarniach.

— Nie wolno mi szemrać, nieszczęście mego życia jest moim dziełem — dodała, wznosząc ku niebu oczy pełne łez.

— Milordzie — krzyknął ze swego miejsca generał, wskazując ręką — tutaj spotkał się pierwszy raz. Nie przypomina pan już sobie może. O, tam, koło tych topoli.

Anglik odpowiedział nerwowym skinieniem głowy.

— Miałam umrzeć młoda i nieszczęśliwa — ciągnęła Julia. — Tak, nie sądz, abym żyła. Zgryzota będzie równie śmiertelna, co straszliwa choroba, z której mnie pan uleczył. Nie czuję się winna. Nie, uczucia moje dla ciebie są nieodparte, wieczne, ale bardzo mimowolne, i chcę pozostać cnotliwą. Ale pozostanę wierną wraz memu sumieniu żony, obowiązkom matki i ślubom mego serca. Słuchaj — rzekła zmienionym głosem — nie będę już nigdy należała do tego człowieka.

Tu gestem przerażającym swym wstrętem i szczerością Julia wskazała męża.

— Prawa świata — ciągnęła — nakazują, abym mu dała szczęście. Będę im posłuszną: stanę się jego służebnicą; moje poświęcenie dlań będzie bez granic; ale od dziś jestem wdową. Nie chcę być prostytutką ani we własnych oczach, ani w oczach świata. Nie będę należała do pana d'Aiglemont, ale nie będę należała nigdy do innego. Będziesz miał ze mnie tylko to, co mi wydarłeś. Oto wyrok, jaki wydałam na siebie — rzekła, spoglądając na Artura z dumą. — Wyrok nieodwołalny, milordzie. A teraz wiedz, że gdybyś uległ tej zbrodniczej myśli, wdowa po panu d'Aiglemont wstąpiłaby do klasztoru we Włoszech lub w Hiszpanii. Nieszczęście chciało, żeśmy zeszli na drogę wyznań. Były one może nieuniknione, ale niech to będzie ostatni spazm naszych serc. Jutro udasz, żeś otrzymał list, który cię wzywa do Anglii; rozstaniemy się, aby się już nigdy nie ujrzeć.

Ale wyczerpana tym wysiłkiem, Julia uczuła, że kolana się pod nią uginają, chwyciła ją śmiertelne zimno. Wiedzioną kobiecym instynktem usiadła, aby nie paść w ramiona Artura.

— Julio! — wykrzyknął lord Grenville.

Ten przesywający krzyk rozległ się jak grzmot. Rozdzierający głos wyraził wszystko, czego kochanek, dotąd niemy, nie mógł powiedzieć.

— Co tam takiego? — spytał generał.

Słyszając ten krzyk, margrabia przyśpieszył kroku i znalazł się nagle między kochankami.

— To nic — rzekła Julia z owym cudownym spokojem, na który dzięki wrodzonemu sprytowi kobiety często umieją się zdobyć w ważnych momentach życia. — Chłodny cień tego orzecha omal nie przyprawił mnie o omdlenie: mój lekarz musiał się przerazić. Czyż nie jestem dlań dziełem sztuki jeszcze niewykończonym? Zadrżał może, że grozi dziełu zagłada...

Ujęła śmiało ramię lorda Grenville, uśmiechnęła się do męża, rzuciła jeszcze okiem na krajobraz i pociągnęła swego towarzysza.

— To najpiękniejszy widok, jakiśmy oglądali — rzekła — nie zapomnę go nigdy. Spójrz, Wiktorze, co za przestrzeń, co za rozmaitość. Tu można zrozumieć miłość.

Śmiejąc się niemal konwulsyjnie, ale tak, że mąż niczego nie spostrzegł, skoczyła wesoło w wąwóz i znikła.

— Jak to, więc już tak prędko?... — rzekła, znalazłszy się daleko od pana d'Aiglemont. — Ach, tak, drogi mój, za chwilę nie będziemy mogli być i nie będziemy już nigdy sobą; czyli nie będziemy już żyć...

— Chodźmy powoli — rzekł lord Grenville — powozy są jeszcze daleko. Będziemy szli razem, a jeśli wolno nam będzie przelać słowa w nasze spojrzenia, serca nasze będą żyły chwilę dłużej...

Przechadzali się nad wodą, przy ostatnich blaskach wieczoru, prawie w milczeniu, szepcząc bezładne słowa, łagodne jak szmer Loary, ale przenikające duszę. Zachodzące słońce, nim znikło, spowiło ich czerwonym blaskiem niby melancholijny obraz tej nieszczęsnej miłości.

Bardzo niespokojny, że nie znajduje powozu w oznaczonym miejscu, generał szedł za kochankami lub wyprzedzał ich, nie mieszając się do rozmowy. Szlachetne i delikatne postępowanie Anglika w czasie tej podróży rozproszyło jego podejrzenia: od jakiegoś czasu zostawiał żonie swobodę, ufając punickiej wierze lorda-doktora. Artur i Julia szli wciąż w smutnej i bolesnej harmonii swych udręczonych serc. Niedawno, wstępując na szkarpy Montcontour, mieli oboje mgliste nadzieje, niepokój szczęścia, z którego nie śmieli sobie zdać sprawy; ale idąc brzegiem rzeki, zwalili wątlą budowę rojeń, nad którą nie śmieli oddychać, jak dzieci przewidujące upadek swego pałacu z kart. Byli bez nadziei.

Tegoż wieczora lord Grenville wyjechał. Ostatnie spojrzenie, jakim objął Julię, dowiodło niestety, że od chwili, gdy sympatia zdradziła im siłę ich namiętności, miał słusność, nie ufając sobie.

Kiedy nazajutrz państwo d'Aiglemont znaleźli się w powozie bez towarzysza podróży, przebiegając szybko drogę, którą w roku 1814 odbyła margrabina, wówczas nieświadoma miłości i niemal przeklinająca jej stałość, Julia odnalazła tysiąc zapomnianych wrażeń. Serce ma swoją pamięć. Niejedna kobieta, niezdolna sobie przypomnieć najdonioślejszych wydarzeń, będzie pamiętała całe życie to, co wiąże się z jej uczuciami. Julia pamięć-

tała doskonale rzeczy nawet blade; poznała z radością najdrobniejsze przygody pierwszej podróży; nawet myśli własne w pewnych momentach. Wiktor, namiętnie rozkochany w żonie od czasu gdy odzyskała młodość i krasę, przycisnął się do niej czule. Kiedy próbował wziąć ją w ramiona, uwolniła się lekko i znalazła jakiś pozór, aby uniknąć tej niewinnej pieśczoły. Niebawem bliskość Wiktora, udzielające się ciepło jego ciała obudziło w niej wstręt. Chciała usiąść sama na przedzie, ale miał na tyle względów, że zostawił ją na tylnym siedzeniu. Podziękowała mu westchnieniem, które źle zrozumiał. Ex-uwodziciel garnizonowy, tłumacząc sobie na swój sposób melancholię żony, zmusił ją wieczór do stanowczych wyjaśnień.

— Mój drogi — rzekła — już raz omal mnie nie zabiłeś, wiesz o tym. Gdybym była jeszcze nieświadomą dziewczyną, mogłabym na nowo poświęcić ci życie; ale jestem matką, mam córkę, mam tyleż obowiązków wobec niej, co wobec ciebie. Poddajmy się nieszczęściu, które nas jednak dotyczy. Ty jesteś mniej godny współczucia. Wszak umiałeś sobie znaleźć pociechy, których mnie wzbrania mój obowiązek, nasz wspólny honor i bardziej od wszystkiego natura. Masz — dodała — zapomniałeś przez roztargnienie trzy listy pani de Sérizy, oto są. Moje milczenie dowodzi, że masz we mnie żonę pobłażliwą, niewymagającą od ciebie poświęceń, na które ją skazuje prawo. Dostyc się zastanawiałam nad tym, aby pojąć, że nasze role nie są jednakie i że jedynie kobieta skazana jest na nieszczęście. Moja cnota wspiera się na niewzruszonych zasadach. Będę umiała żyć bez skazy, ale pozwól mi żyć.

Oszołomiony logiką, jakiej kobiety umieją nabyć przy blasku miłości, margrabia uczuł się bezbronny w obliczu tej godności, również wrodzonej kobietom w owych doniosłych chwilach. Instynktowny wstręt Julii do wszystkiego, co urażało jej miłość i chęci jej serca, jest jedną z najpiękniejszych rzeczy w kobiecie i płynie może z wrodzonej cnoty, której ani prawo, ani cywilizacja nie zdołają zagłuszyć. Ale kto by śmiał potępić kobiety? Kiedy nakażą milczenie uczuciu wyłączności, które nie pozwala im należeć do dwóch mężczyzn, czyż nie są niby ksiądz bez wiary? O ile niejeden surowy człowiek potępi ten kompromis zawarty przez Julię między miłością a obowiązkami, namiętne dusze poczytają go jej za zbrodnię. Ta ogólna przygana świadczy albo o nieszczęściu, jakie czeka istoty nieposłuszne prawom, albo o smutnej ułomności urządzeń, na których wspiera się nasze społeczeństwo.

Minęły dwa lata, przez które państwo d'Aiglemont prowadzili życie światowe, bywając każde na swoją rękę, spotykając się częściej w salonach niż w domu. Był to wykwinny rozwód, jakim kończy się wiele małżeństw w wielkim świecie. Pewnego wieczora osobliwym zbiegiem małżonkowie znaleźli się razem w salonie. Pani d'Aiglemont miała na obiedzie przyjaciółkę. Generał, który zawsze jadał gdzieś w mieście, został tego dnia w domu.

— Będziesz szczęśliwa — rzekł d'Aiglemont, stawiając na stole filiżankę po czarnej kawie.

Spojrzał pół figlarnie, pół smutno na panią de Wimphen i dodał do żony:

— Jadę z Wielkim Łowczym na długie polowanie. Będziesz co najmniej tydzień wdową, a to jest twój ideał, jak sądzę...

— Wilhelmie — rzekł do służącego, który przyszedł zabrać filiżanki — każ zaprzęgać.

Pani de Wimphen, była to owa Ludwika, którą pani d'Aiglemont chciała niegdyś odmawiać od małżeństwa. Dwie kobiety wymieniły porozumiewawcze spojrzenie, które dowodziło, że Julia znalazła w przyjaciółce powiernicę swoich niedoli: powiernicę cenną i współczującą, bo pani de Wimphen była bardzo szczęśliwa w małżeństwie. W tym nierównym położeniu szczęście jej było może rękojmią oddania. W takich wypadkach odmiennosc losu jest zawsze silnym węzłem przyjaźni.

— Czy to czas polowania? — spytała Julia obojętnie.

Był to koniec marca.

— Moje dziecko, Wielki Łowczy poluje, kiedy chce i gdzie chce. Jedziemy do królewskich lasów na dziki.

— Uważaj, żeby ci się nie zdarzył jaki wypadek.

— Nieszczęście zawsze jest nieprzewidziane — odparł z uśmiechem.

— Powóz jasnie pana czeka — rzekł Wilhelm.

Generał wstał, ucałował rękę pani de Wimphen, po czym zwrócił się do Julii.

— Pani, gdybym miał zginąć od dzika! — rzekł błagalnie.

— Co to znaczy? — spytała pani de Wimphen.

— No, chodź — rzekła pani d'Aiglemont do Wiktora. Po czym uśmiechnęła się, jakby mówiąc Ludwice: „Zobaczysz”.

Julia podała szyję mężowi, który podszedł, aby ją ucałować, ale Margrabina schyliła się w ten sposób, że pocałunek małżeński ześlizgnął się po koronkach.

— Zaświadczy pani przed Bogiem — rzekł margrabia, zwracając się do pani de Wimphen — że trzeba mi firmanu, aby uzyskać tę drobną łaskę. Oto jak moja żona rozumie miłość. Doprowadziła mnie do tego sam nie wiem jakim podstępem. Miłej zabawy!

— Ależ twój biedny mąż naprawdę jest bardzo dobry — wykrzyknęła Ludwika, kiedy zostały same. — On cię kocha.

— Och, nie dodawaj ani słowa. Nazwisko, które noszę, jest mi wstrętne...

— Ależ Wiktor ulega ci we wszystkim — rzekła Ludwika.

— Uległość jego — odparła Julia — polega w znacznej części na szacunku, do którego go zmusiłam. Jestem kobietą bardzo cnotliwą wedle praw; umiłam mu dom, zamykam oczy na jego miłostki, nie biorę nic z jego majątku, może trwonić dochody, jak mu się podoba, staram się tylko ocalić kapitał. Za tę cenę mam spokój. On nie rozumie lub nie chce rozumieć mego życia. Ale jeśli prowadzę tak na pasku męża, to nie znaczy, abym się nie lękała jego wybryków. Jestem jak pogromca niedźwiedzia, który drży, aby się któregoś dnia kaganiec nie zerwał. Gdyby Wiktor przypuszczał, że ma prawo mnie nie szanować, nie śmiem przewidywać, co by się mogło zdarzyć: bo on jest gwałtowny, ambitny, a zwłaszcza próżny. Nie ma na tyle inteligencji, aby zachować rozsądek w drażliwej okoliczności, która by wystawiła na próbę jego złe instynkty; jest słaby. Zabiłby mnie może w pierwszej chwili, choćby na drugi dzień miał umrzeć ze zmartwienia. Ale nie obawiam się tego nieszczęsnego szczęścia...

Nastała chwila ciszy, myśli obu przyjaciółek zwróciły się ku tajemnej przyczynie tego położenia.

— Usłuchano mnie bardzo okrutnie — rzekła Julia, spoglądając wymownie na Ludwikę. — A wszak nie zabroniłam mu pisać... Och, zapomniał o mnie i miał słusność. To byłoby za wiele, gdyby jego życie miało być złamane; czyż nie dość mego? Czy uwierzysz, droga, że ja czytuję dzienniki angielskie jedynie w tej nadziei, że ujrzę tam jego nazwisko. I wiesz, dotąd nie pojawił się w Izbie Lordów.

— Więc umiesz po angielsku?

— Nie mówiłam ci? Nauczyłam się.

— Biedne dziecko — wykrzyknęła Ludwika, ściskając dłoń Julii — jak ty możesz żyć jeszcze?

— To tajemnica — odparła margrabina z gestem dziecięcej niemal naiwności. — Słuchaj. Biorę opium. Historia księżnej N. w Londynie poddała mi tę myśl. Wiesz, Malthurin zrobił z tego romans. Moje krople laudanum są bardzo słabe. Śpię. Żyję ledwie siedem godzin na jawie i te oddaję córce...

Ludwika spoglądała na ogień, nie śmiejąc popatrzeć na przyjaciółkę, której niedolę ogarniała po raz pierwszy.

— Ludwiko, nie zdradzaj mnie — rzekła Julia po chwili milczenia.

Naraz wszedł służący i podał margrabinie list.

— Och! — krzyknęła, blednąc.

— Nie pytam od kogo — rzekła pani de Wimphen.

Margrabina czytała i nie słyszała już nic. Najżywsze uczucia, najniebezpieczniejsze podniecenie malowały się na twarzy pani d'Aiglemont; bladła i czerwieniła się na przemian. W końcu rzuciła list w ogień.

— Ten list to płomień! Och, dławię się.

Wstała, przeszła kilka kroków, oczy jej pałały.

— On nie wyjechał z Paryża! — wykrzyknęła.

Bezładne zdania, których pani de Wimphen nie śmiała przerywać, przeplatane były straszliwymi pauzami. Po każdej takiej przerwie, zdania wydierały się z głębszym jeszcze akcentem. Ostatnie słowa miały coś przerażającego.

— Wciąż widywał mnie bez mej wiedzy. Jedno moje spojrzenie podchwyczone co dnia pozwala mu żyć. Ty nie wiesz, Ludwiko! On umiera i prosi, aby mnie mógł pożegnać, wie, że mąż wyjechał na kilka dni. Przyjdzie tu za chwilę. Och, ja zginę. Słuchaj, zostań ze mną. Wobec dwóch kobiet nie będzie śmiał... Och, zostań, lękam się samej siebie.

— Ale mój mąż wie, że byłem u ciebie na obiedzie — odparła pani de Wimphen — ma tu wstąpić po mnie.

— A więc nim odejdziesz, wyprawię Artura. Będę katem dla nas obojga. Niestety, będzie myślał, że go już nie kocham. A ten list! Wierzaj, tam były słowa, które widzę wypisane głoskami z płomienia.

Powóz zaturkotał pod bramą.

— Ach — zawołała margrabina z radością — przychodzi jawnie, bez tajemnicy.

Margrabina stała nieruchoma. Na widok Artura bladego, wynędzniałego pierzchła myśl o surowości. Mimo iż lordowi Grenville sprawiło wielką przykrość to, że nie zastał Julii samej, zdawał się spokojny i chłodny. Ale na te dwie kobiety, świadome jego tajemnicy, zachowanie jego, głos, spojrzenie, wszystko to działało hipnotycznie. Margrabina i pani de Wimphen stały odrętwiałe na widok strasznej boleści. Głos lorda Grenville przyprowadził Julię o tak okrutne drżenie, że nie śmiała mu odpowiedzieć, aby nie zdradzić swego stanu. Lord nie śmiał spojrzeć na Julię, tak że pani de Wimphen sama musiała podtrzymywać obojętną rozmowę. Julia podziękowała jej za tę pomoc spojrzeniem. Kochankowie zadali gwałt uczuciom i trzymali się w granicach obowiązku i przyzwoitości.

Niebawem oznajmiono pana de Wimphen: na jego widok przyjaciółki wymieniły spojrzenie i zrozumiały bez słowa nową trudność. Niepodobna było pana de Wimphen wtajemniczać w ten dramat, a Ludwika nie miała racji zostać. Kiedy pani de Wimphen włożyła szal, Julia wstała, jakby chcąc pomóc przyjaciółce i rzekła po cichu:

— Będę mężna. Skoro przyszedł jawnie, czegoż mogę się obawiać? Ale gdyby nie ty, widząc go tak zmienionym, od pierwszej chwili padłabym do jego stóp.

— A więc, Arturze, nie usłuchałeś mnie — rzekła pani d'Aiglemont drżącym głosem, wracając na kozetkę, na której lord Grenville nie śmiał usiąść.

— Nie mogłem oprzeć się dłużej tęsknocie za twoim głosem, za twą obecnością. To było istne szaleństwo, opętanie. Nie jestem już panem siebie. Zważyłem to dobrze, jestem zbyt słaby. Umrę. Ale umrzeć, nie ujrzawszy cię, nie usłyszawszy szelestu twojej sukni, nie uczuwszy twoich łez na mojej twarzy, cóż za śmierć!

Chciał się oddalić, ale przy tym nagłym ruchu wypadł mu pistolet z kieszeni. Margrabina patrzyła na tę broń wzrokiem, który nie wyrażał już żadnego uczucia ani myśli. Lord Grenville podniósł pistolet, zmieszany tym wydarzeniem, które mogło robić wrażenie sztuczki.

— Arturze! — szepnęła Julia.

— Pani — rzekł, spuszczać oczy — przyszedłem tu w stanie rozpacz, chciałem... Urwał.

— Chciałeś się zabić u mnie — wykrzyknęła.

— Nie sam — odparł łagodnie.

— Kogóż więc, mego męża?

— Nie, nie — wykrzyknął zdławionym głosem. — Ale uspokój się, nieszczęsny mój zamiar rozwiął się. Kiedy wszedłem, kiedy cię ujrzałem, poczułem odwagę, aby milczeć, aby umrzeć sam.

Julia wstała, rzuciła się w ramiona Artura, który mimo szlochów kochanki podchwycił dwa słowa pełne namiętności.

— Poznać szczęście i umrzeć — rzekła. — Więc dobrze!

Całe dzieje Julii mieściły się w tym głębokim krzyku, krzyku natury i miłości, któremu kobiety bez religii ulegają. Artur chwycił ją i zaniósł na kanapę z gwałtownością, jaką daje nieoczekiwane szczęście. Naraz margrabina wyrwała się z ramion kochanka, objęła go spojrzeniem rozpacz, wzięła go za rękę, chwyciła świecznik i pociągnęła go do sypialni: po czym podszedłszy do łóżka, gdzie spała Helenka, odsłoniła ostrożnie franki.

Pokazała mu dziecko, zasłaniając ręką świecę, aby blask nie uraził przeźroczystych i ledwie przymkniętych powiek dziewczynki. Helenka miała rozwarłe ramiona, uśmiechnęła się przez sen. Julia ukazała spojrzeniem swoje dziecko lordowi Grenville. To spojrzenie mówiło wszystko.

„Męża wolno porzucić, choćby nawet kochał. Mężczyzna jest silny, znajdzie sobie pociechy. Wolno nam wzgardzić prawami świata. Ale dziecko bez matki!”

Wszystkie te myśli i tysiąc innych, bardziej jeszcze wzruszających, kryły się w tym spojrzeniu...

— Możemy ją zabrać — szepnął Anglik — ja będę ją kochał...

— Mamusi! — rzekła Helenka, budząc się.

Na ten głos Julia załała się łzami. Lord Grenville usiadł i siedział z założonymi rękami, niemy i posepny.

*Mamusiu!* Ten śliczny, naiwny wykrzyknik obudził tyle szlachetnych i nieprzepartych uczuć, że potężny głos macierzyństwa zdławił na chwilę miłość. Julia nie była już kobietą, była matką. Lord Grenville nie mógł się długo opierać, lzy Julii udzieliły się mu.

W tej chwili drzwi otworzyły się z hałasem. Słowa: „Julio, jesteś tutaj?” rozległy się jak odgłos grzmotu w sercach kochanków. Margrabia wrócił. Nim Julia zdołała ochłonąć, generał już szedł ze swego pokoju do sypialni żony. Dwa te pokoje przylegały do siebie. Szczęściem, Julia dała znak lordowi Grenville, który wpadł do alkierza. Margrabina zatrzasnęła za nim drzwi.

— No i cóż, jestem z powrotem — rzekł Wiktor. — Nie ma polowania. Idę spać.

— Dobranoc — rzekła — ja także. Pozwól mi się rozebrać.

— Jesteś bardzo kwaśna dziś wieczór. Będę ci posłuszny, Julio.

Generał wrócił do swego pokoju. Julia odprowadziła go, by zamknąć drzwi i pobięła uwolnić lorda Grenville. Odzyskała całą przytomność i uświadomiła sobie, że odwiedziny dawnego jej lekarza są zupełnie naturalne: mogła go zostawić w salonie, aby położyć córkę spać, powie mu tedy, aby się tam udał bez szelestu. Ale kiedy otworzyła drzwi od alkierza, wydała straszliwy krzyk. Palce lorda Grenville zostały przycięte i zmiażdżone w drzwiach.

— Co tam takiego? — spytał mąż.

— Nic, nic, ukłułam się — odparła.

Drzwi od pokoju męża otworzyły się nagle. Margrabina myślała, że Wiktor wraca przez wzgląd na nią i przeklinała tę troskliwość, w której serce nie grało żadnej roli. Ledwie miała czas zamknąć drzwi do alkierza, a lord Grenville nie zdołał jeszcze oswobodzić ręki. Generał zjawił się w istocie, ale Julia myliła się, wiodła go osobista troska.

— Czy nie możesz mi pożyczyć fularu? Ten hultaj Karol zostawia mnie bez jednej chustki na głowę. W pierwszych dniach małżeństwa troszczyłaś się o moje rzeczy tak pilnie, że aż mnie tym zanudzałaś. Ale miódowy miesiąc niedługo trwał i dla mnie, i dla moich rzeczy. Obecnie jestem zdany na łaskę służby, która kpi sobie ze mnie.

— Proszę cię, masz fular. Nie byłś w salonie?

— Nie.

— Byłbyś tam może zastał jeszcze lorda Grenville.

— Jest w Paryżu?

— Widocznie.

— Och, idę do niego, pocziwy doktor.

— Ale musiał już wyjść — zawołała Julia.

Margrabia stał w tej chwili na środku sypialni i zawiązywał fular, przeglądając się z upodobaniem w lustrze.

— Nie wiem, gdzie jest cała służba — rzekł. — Dzwoniłem na Karola już trzy razy, nie przyszedł. I ty jesteś bez panny służącej? Zadzwoń na nią, chciałbym, aby mi dała drugą koldrę.

— Paulina wyszła — odparła sucho margrabina.

— O północy? — rzekł generał.

— Pozwoliłam jej iść do Opery.

— To szczególne — odparł mąż, rozbierając się — zdawało mi się, że ją spotkałem na schodach.

— Musiała zatem wrócić — odparła Julia, udając zniecierpliwienie.

Po czym, aby nie budzić podejrzenia, pociągnęła za dzwonek, ale słabo.

Nie wszystkie wypadki tej nocy są dobrze znane, ale musiały być równie proste i równie okrutne jak pospolite i gospodarskie wydarzenia, które je poprzedziły. Nazajutrz pani d'Aiglemont położyła się na kilka dni do łóżka.

— Co się u ciebie stało tak osobliwego, że wszyscy mówią o twojej żonie? — spytał pan de Ronquerolles w kilka dni po tej nieszczęsnej nocy.

— Wierź mi, zostań kawalerem — rzekł d'Aiglemont. — Zapaliły się firanki u łóżka Helenki, żona moja doznała takiego wstrząsu, że znów na rok jest chora, powiada lekarz. Żenisz się z ładną kobietą, brzydnie; żenisz się z młodą dziewczyną tryskającą zdrowiem, robi się chorowita; myślisz, że ma temperament, jest zimna; albo też zimna na pozór, jest w istocie tak gorąca, że albo cię zabije, albo zhańbi. To znów najśłodsza istota okazuje się zgryźliwa, a nigdy na odwrót zgryźliwa nie robi się słodka. To znów dziecko, które wzięłeś głupiutkim i słabym<sup>12</sup>, rozwija przeciw tobie żelazną wolę, piekielną inteligencję. Zmęczony jestem małżeństwem.

— Albo żoną.

— To byłoby trudno. Ale czy pójdziesz ze mną do kościoła św. Tomasza zobaczyć pogrzeb lorda Grenville?

— Szczególna rozrywka. Ale — rzekł Ronquerolles — czy wiadoma jest ostatecznie przyczyna jego śmierci?

— Służący jego twierdzi, że przestał całą noc na gzymsie za oknem, aby ocalić honor kochanki, a mieliśmy w tych dniach wściekle zimno!

— Taka ofiara byłaby godna podziwu u nas, starych wyjadaczy, ale lord Grenville jest młody i Anglik. Ci zawsze chcą się wyróżniać.

— Ba — odparł d'Aiglemont — tego rodzaju bohaterstwa zależą od kobiety, która je budzi. To pewna, że nie dla mojej żony umarł ten biedny Artur!

## II. NIEZNANE CIERPIENIA

Między rzeczką Loing a Sekwaną ciągnie się rozległa równina zamknięta lasem Fontainebleau, miastami Nemours, Moret i Montereau. Ta jałowa okolica posiada jedynie skąpe wzgórza; tu i ówdzie wśród pola parę morgów lasu służy za schronienie zwierzynie; poza tym wszędzie owe bezkresne, żółtawe lub szare linie właściwe okolicom Sologne, Beauce i Berri. Na tej równinie, między Moret i Montereau podróżny widzi stary zamek zwany Saint-Lange, którego otoczeniu nie brak pewnego majestatu. Są tam wspaniałe aleje wiązów, fosy, długie warowne mury, olbrzymie ogrody oraz owe obszerne, pańskie budowle, które aby wystawić, trzeba było mieć przywileje *nadzwyczajnych podatków* albo generalnej dzierżawy, tej uprawnionej grabieży, lub wreszcie owych wielkich arystokratycznych fortun zniweczonych dziś młotem kodeksu.

Jeśli artysta lub marzyciel zabłąka się przypadkiem w tych zapadłych drogach lub w żyznych polach, zapytuje sam siebie, przez jaki kaprys ten poetyczny zamek znalazł się w tym stepie zboża, tej pustyni kredy, marglu i piasku, gdzie wesołość zamiera, gdzie niechybnie rodzi się smutek, gdzie duszę nuży głucha samotność. W zamian ten jednostajny widnokrąg sprzyja cierpieniom, które nie chcą pociechy.

Młoda kobieta, dumna w Paryżu wdziękiem, urodą i dowcipem, pani majątku będącego w harmonii z jej rozgłosem i pozycją, przybyła tu z końcem roku 1820, ku zdziwieniu miasteczka położonego o milę od Saint-Lange. Dzierżawcy ani wieśniacy nie widzieli panów zamku od niepamiętnych czasów. Majątek ten, mimo że przynosił znaczne dochody, zdany był na rzadcę i strzeżony przez stare sługi. Toteż przyjazd pani margrabiny sprawił wrażenie w okolicy.

Sporo ludzi zebrało się na skraju wioski, w dziedzińcu lichej gospody położonej na zbiegu dróg z Nemours i Moret, aby ujrzeć przejeżdżającą. Karetą posuwała się dość wolno, bo margrabina przybyła z Paryża końmi. Na przedzie siedziała panna służąca, trzymając na kolanach małą dziewczynkę, dziwnie zamyśloną i niewesołą. Matka leżała w głębi jak umierający wysłany przez lekarzy na wieś. Znękana fizjonomia wątłej kobiety nie przypadła do smaku wiejskim mądralom, którzy spodziewali się, że przybycie pani do Saint-Lange ożywi nieco miejscowość. Jasne było, iż wszelki ruch musi być przykry tej zbolącej kobiecie.

<sup>12</sup>które wzięłeś głupiutkim i słabym — tu: które miałeś za głupiutkie i słabe. [przypis edytorski]



Najtęższy głowacz z Saint-Lange oświadczył wieczorem w izdebce, gdzie pili dygnitarze, że sądząc ze smutku margrabiny, musi być zrujnowana. W nieobecności męża, który, jak donosiły gazety, towarzyszył księciu d'Angoulême do Hiszpanii, chce zaoszczędzić w Saint-Lange sumy potrzebne na wyrównanie strat poniesionych na giełdzie. Margrabia jest jednym z najgrubszych graczy. Może przyjdzie do parcelacji majątku. Wówczas będzie można robić interesy. Każdy powinien przeliczyć swoje talary, wydobyć je ze schowków, określić swoje zasoby, aby mieć część w rozdrapywaniu Saint-Lange. Przyszłość ta miała tyle powabu, że każdy z tuzów wiejskich, pragnąc co rychlej wiedzieć, o ile jest ścisła, starał się dopytać prawdy przez służbę zamkową. Ale nikt nie umiał objaśnić, co za katastrofa sprowadziła panią z samym początkiem zimy do zamczyska Saint-Lange, gdy posiadała inne majątki słynne z położenia i pięknych ogrodów. Pan mer przyszedł złożyć jaśnie pani uszanowanie, ale go nie przyjęto. Po merze zgłosił się rządcą z nie lepszym skutkiem.

Margrabina wychodziła ze swego pokoju jedynie, gdy sprzątano; przez ten czas przebywała w saloniku, gdzie jadła obiad, jeżeli można nazwać obiadem to, że siadała do stołu, patrzyła ze wstrętem na potrawy i brała tylko tyle, ile trzeba, by nie umrzeć z głodu. Potem wracała natychmiast na staroświecką berżerkę, w której od rana siedziała w jedynym oknie sypialni. Widywała córkę tylko przez tych kilka chwil, które trwał obiad, a i wówczas znosiła ją z widoczną przykrością. Czyż nie trzeba było niesłychanych cierpień, aby zagłuszyć w młodej kobiecie uczucie matki? Nikt ze służby nie miał do niej wstępu. Jedyńą osobą, której obecność znosiła, była panna służąca. Pani wymagała w zamku zupełnej ciszy, córka musiała się bawić daleko. Tak trudno jej było znosić najmniejszy hałas, że wszelki głos ludzki, nawet głos własnego dziecka, sprawiał jej przykrość. Miejscowi ludzie sporo gadali o tych dziwactwach; po czym, kiedy wyczerpano wszystkie domysły, zarówno miasteczko jak chłopcy przestali się zajmować chorą kobietą.

Zostawiona sobie margrabina mogła tedy żyć milcząca wśród milczenia, jakie stworzyła dokoła. Nie miała żadnej przyczyny, aby opuszczać obity dywanami pokój, gdzie umarła jej babka i gdzie ona sama przybyła umierać powoli, bez świadków, bez natrętów, fałszywych objawów maskowanego współczuciem egoizmu, które w miastach podwajają mękę konania. Ta kobieta miała dwadzieścia sześć lat. W tym wieku dusza, jeszcze pełna poetycznych złudzeń, lubi się rozkoszować śmiercią, jeśli ta śmierć ma swoją kokieterię; zbliża się i oddala, pokazuje się i chowa. Ta powolność zniechęca ich do śmierci, a niepewność jutra rzuca ich z powrotem w świat, gdzie spotykają boleść, która, bezlitośniejsza od śmierci, uderza ich nie dając na siebie czekać. Otóż ta kobieta, która wzdragała się żyć, miała doświadczyć w swej samotni gorczy owej zwłoki. W agonii moralnej, której śmierć wzdragała się położyć koniec, miała przebyć straszliwą szkołę egoizmu, zdolnego skazić jej serce i urobić ją na podobieństwo świata.

Ta okrutna i smutna nauka jest zawsze owocem pierwszych naszych cierpień. Margrabina cierpiała naprawdę pierwszy i może jedyny raz w życiu. Czyż nie byłoby błędem sądzić, że uczucia się powtarzają? Skoro raz się rozwijają, czy nie istnieją zawsze na dnie serca? Usypiają i budzą się w miarę wydarzeń, ale trwają tam, a istnienie ich nie może być bez wpływu na duszę. W ten sposób wszelkie uczucie miałoby tylko jeden wielki dzień; krótszy lub dłuższy dzień pierwszej swojej burzy. W ten sposób ból, to najstalsze z naszych uczuć, byłby żywy jedynie przy pierwszym wybuchu; następnie jego ukłucia byłyby coraz słabsze, bądź dzięki przyzwyczajeniu, bądź też przez prawo naszej natury, która, by się utrzymać przy życiu, przeciwstawia tej niszczącej sile siłę równą, ale bierną, czerpaną w rachubach egoizmu. Ale wśród wszystkich cierpień któremu należy się miano bólu? Strata rodziców to zmartwienie, do którego natura przygotowała ludzi; cierpienie fizyczne jest czymś przejściowym, nie dotyka duszy, a jeżeli trwa, to już nie jest cierpienie, to śmierć. Jeśli młoda kobieta straci nowo narodzone dziecko, miłość małżeńska rychło da mu następcę. To zmartwienie jest również przemijające. Słowem, te zgryzoty i wiele podobnych, to są poniekąd ciosy, rany; ale żadne z nich nie niszczy życia w jego istocie. Musiałoby się ich nagromadzić szczególnie wiele, aby zabić uczucie, które nas prze do szukania szczęścia. Wielkim, prawdziwym bólem byłoby tedy cierpienie tak mordercze, że ogarnia zarazem przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, nie zostawia nietkniętej żadnej części życia, kazi na zawsze myśl, ryje się niezatarte w ustach i na czole, łamie lub niszczy sprężynę szczęścia, szczepiąc w duszę wstręt do wszystkiego w świecie. A jeszcze, aby być

Cierpienie

tak olbrzymim, aby tak zaciężyc na duszy i ciele, ból ten musiałby się zjawić w momencie, gdy wszystkie siły ciała i duszy są młode, ugodzić serce w pełni życia. Ból zadaje wówczas wielką ranę; cierpienie jest wielkie; i nikt nie może wyjść z tej choroby bez jakiejś poetycznej odmiany. Albo obiera drogę ku niebu, albo, jeśli zostaje na ziemi, wraca do świata, aby kłamać światu, aby grać komedię; odtąd zna już kulisy, w których można się ukryć, aby obliczać, płakać, żartować. Po tym strasliwym wstrząśnięciu społeczeństwo nie ma już dla tego człowieka tajemnic, osądził je nieodwołalnie. U kobiet w wieku margrabiny, ten pierwszy, najdotkliwszy z bólów ma zawsze jedną przyczynę. Kobieta, a zwłaszcza młoda kobieta, równie szlachetna jak piękna, zawsze pomieści życie swoje tam, gdzie natura, uczucie i społeczeństwo każą się jej rzucić całe. Jeśli jej tego życia braknie i jeśli zostanie na ziemi, doświadcza najokrutniejszych cierpień, z tych samych powodów, które czynią pierwszą miłość najpiękniejszym z uczuć. Czemu to nieszczęście nie miało nigdy malarza ani poety? Ale czyż da się je odmalować, czy da się je wyśpiewać? Nie, cierpienia, jakie rodzi, umykają się analizie i kolorom artysty. Zresztą tych mąk kobieta nigdy nie zwierza: aby ją pocieszyć, trzeba je umieć odgadnąć. Spadają na duszę jak lawina, która, osuwając się w dolinę, niszczy wszystko, nim sobie zrobi miejsce.

Margrabina była pastwą owych cierpień, które długo zostaną nieznane, ponieważ wszystko je potępia, gdy serce pieści się nimi, a sumienie szczerzej kobiety usprawiedliwia je zawsze. Boleści te podobne są owym dzieciom upośledzonym i niezdatnym do życia, a bliższym sercu matki niż inne, dorodniejsze. Nigdy może owa straszliwa katastrofa zabijająca wszystko, co istnieje poza nami, nie była tak żywa, tak pełna, tak boleśnie pogłębiona okolicznościami jak ta, którą przeszła margrabina. Człowiek ukochany, młody i szlachetny, którego pragnień nigdy nie wysłuchiwała, aby zostać posłuszną prawom świata, umarł, aby jej ocalić to, co społeczeństwo zowie *honorem kobiety*. Komu mogłaby powiedzieć: „Cierpię!” . Łzy jej były obrazą dla męża, istotnego sprawcy nieszczęścia. Prawo, obyczaj potępiały jej skargi; przyjaciółka cieszyłaby się nimi, mężczyzna starałby się je wyzyskać. Nie, ta nieszczęśliwa istota mogła wypłakać się jedynie na pustyni, mogła tam pożreć swoje cierpienie lub dać się jemu pożreć, umrzeć lub zabić coś w sobie: może sumienie.

Od kilku dni siedziała z oczami wlepionymi w płaski krajobraz, w którym jak w jej życiu nie było czego szukać, nie było czego się spodziewać, gdzie wszystko ogarniało się jednym rzutem oka. Widziała w nim obraz zimnej rozpacz, która szarpała jej serce. Mgliste poranki, wyblakłe niebo, chmury włóczące się przy ziemi, pod szarym sklepieniem, odpowiadały okresom jej choroby moralnej. Serce jej nie ścisnęło się, nie czuło już bólu; nie, jej świeża i rozkwitła natura kamieniała pod powolnym działaniem nieznośnej, bo bezcelowej boleści. Cierpiała w sobie i dla siebie. Cierpieć tak, czyż nie znaczy wejść w sferę egoizmu? Toteż straszliwe myśli leżały się w jej sumieniu, raniąc je. Czytała szczerze w sobie i widziała w sobie rozterkę. Była w niej kobieta, która cierpiała, i kobieta, która nie chciała już cierpieć. Wspominała uciechy swego dzieciństwa, które minęło, nim zdołała uświadomić sobie jego szczęście. Te jasne obrazy cisnęły się tłumnie, jak gdyby chcąc jej uprzytomnić rozczarowania małżeństwa, wzorowego w oczach ludzi, ohydneho w rzeczywistości. Na co jej się zdała urocza wstydlivość młodzieńcza, na co zdławione rozkosze i poświęcenia uczynione światu? Mimo iż wszystko w niej oddychało miłością, czekało miłości, pytała samą siebie, po co jej teraz gibkość ruchów, uśmiech i wdzięk? Własna świeżość i powab drażniły ją tak, jak drażni dźwięk powtarzany bez celu. Własna uroda nawet była jej nieznośna, jak rzecz bez pożytku. Widziała z przerażeniem, że odtąd nie może być już pełną istotą. Czyż jej wewnętrzne *ja* nie straciło owej świeżości wrażeń, która daje życiu tyle krasy? Odtąd większość jej uczuć skazana jest na rychłą śmierć; to, co byłoby ją wzruszyło niegdyś, stanie się jej obojętne. Po dziecięctwie człowieka przychodzi dziecięctwo serca. Otóż kochanek jej zabrał do grobu to drugie dziecięctwo. Młoda jeszcze pragnieniami, nie miała już owej młodości duszy, która daje życiu wartość i sens. Czyż nie miała nosić w sobie pierwiastka smutku, nieufności, odbierających wzruszeniom ich krzepkość i poryw? Nic nie mogło już wrócić szczęścia, którego się spodziewała, które marzyła tak pięknym. Pierwsze prawdziwe łzy ugasiły ów niebiański ogień, który oświeca pierwsze drgnienia serca; miała na zawsze cierpieć, że nie jest tym, czym mogła być.

Z tego przeświadczenia rodzi się gorzki wstręt, który każe odwrócić głowę, kiedy się nastreczy nowe szczęście. Sądziła obecne życie jak starzec, który je ma opuścić. Mimo

Kobieta, Obyczaje,  
Cierpienie, Honor

iż czuła się młoda, brzemień bezradosnych dni padało jej na duszę, miażdżyło ją, postarzało przed czasem. Pytała z krzykiem rozpacz, co świat jej da w zamian za miłość, która pomagała jej żyć i którą straciła. Pytała sama siebie, czy w minionej miłości, tak czystej, nieskalanej, myśl nie była występniejsza niż uczynki. Z rozkoszą mnożyła swoje winy, aby urągać światu i aby się pocieszyć, że z tym, którego oplakiwała, nie zaznała owego pełnego zespolenia, które, stapiając dusze z sobą, łagodzi boleść tej, co została przy życiu, pewnością, że zakosztowała najwyższego szczęścia, że umiała dać je w całej pełni i zachowała w sobie odcisk duszy, która odeszła. Była niezadowolona z siebie jak aktorka, która chybiła rolę; ten ból żarł wszystkie jej fibry, głowę i serce. Jeżeli natura była zduszona w swych najtajniejszych pragnieniach, próżność nie mniej była zraniona niż dobroć, która pcha kobietę do poświęceń. Rozważając te kwestie, poruszając sprężyny rozmaitych istnień, jakie w nas stwarza natura społeczna, moralna i fizyczna, Julia zużywała tak doszczętnie siły duszy, że w zamęcie najsprzecznějších refleksji nic już nie umiała rozróżnić. Toteż czasami, kiedy opadała mgła, otwierała okno i patrzyła w nie bez myśli, wdychając machinalnie wilgotny zapach ziemi, stojąc bez ruchu, jakby ogłupiała, gdyż szum boleści czynił ją równie głuchą na harmonię przyrody, co na uroki myśli.

Pewnego dnia, około południa, w chwili gdy słońce rozjaśniło horyzont panna służąca weszła niewołana i rzekła:

— Już czwarty raz ksiądz proboszcz żąda widzieć panią margrabinę i nalega tak stanowczo, że nie wiemy, co odpowiedzieć.

— Pewno chce pieniędzy dla biednych; weź dwadzieścia pięć ludwików i zanieś ode mnie.

— Proszę pani — rzekła panna służąca, wracając — ksiądz nie chce wziąć, chce mówić z samą panią.

— Niechże wejdzie! — odparła margrabina z niechętnym gestem zwiastującym nieszczególne przyjęcie księdza, od którego chciała się zapewne uwolnić krótkim i szczerym wyjaśnieniem.

Margrabina straciła matkę dzieckiem. Na wychowanie jej musiał oddziaływać zamęt, jaki w czasie Rewolucji rozluźnił węzły religijne we Francji. Pobożność to cnota kobieca, którą jedynie kobiety umieją sobie przekazywać; margrabina zaś była dzieckiem osiemnastego wieku, którego filozoficzne wierzenia wyznawał jej ojciec. Nie pełniła żadnych praktyk. Dla niej ksiądz to był urzędnik i to wątpliwej użyteczności. W obecnym stanie jej duszy głos religii mógł jedynie zaognić jej cierpienia; przy tym nie miała zbyt dużego zaufania do wiejskich księży ani do ich inteligencji. Postanowiła tedy załatwić się spokojnie ze swym proboszczem i pozbyć się go obyczajem bogaczy, pieniędzmi.

Wszedł proboszcz, a widok jego nie zmienił poglądów margrabiny. Ujrzała małego człeczynę z wydatnym brzuszkiem, z czerwoną, ale pomarszczoną twarzą. Silił się na uśmiech, ale czynił to niezręcznie. Łysa czaszka, poorana poprzecznymi zmarszczkami, przygniatała twarz i pomniejszała ją; rzadkie siwe włosy spadały na kark i na uszy. Mimo to fizjonomia księdza zdradzała wrodzoną wesołość. Grube wargi, lekko zadarty nos, podwójny fałd podbródka, wszystko to świadczyło o szczęśliwym usposobieniu. Margrabina spostrzegła zrazu tylko te główne rysy; ale za pierwszym słowem księdza uderzyła ją słodycz tego głosu. Spojrzała uważnie; spostrzegła pod siwiejącymi brwiami oczy, które musiały płakać, a rysy widziane z profilu dawały mu tak dostojny wyraz cierpienia, że margrabina ujrzała w tym księdzu człowieka.

— Pani margrabino, bogaci należą do nas jedynie wtedy, gdy cierpią, a cierpienia kobiety zamężnej, młodej, pięknej, bogatej, która nie straciła ani dzieci, ani rodziców, łatwo odgadnąć. Są rany, które złagodzić może jedynie religia. Twoja dusza, pani, jest w niebezpieczeństwie. Nie mówię pani w tej chwili o przyszłym życiu, które nas czeka. Nie, nie jestem w konfesjonale. Ale czyż nie jest moim obowiązkiem oświecić pani jej przyszłość tu, na ziemi? Wybacz pani tedy starcowi natręctwo, którego celem jest twoje szczęście.

— Szczęście! Nie ma już dla mnie szczęścia. Będę wkrótce należeć do księdza, jak ksiądz powiada, ale na zawsze.

— Nie, pani, nie umrze pani z cierpienia, które cię gnębi i które się odbija w twoich rysach. Gdybyś pani miała umrzeć, nie byłabyś w Saint-Lange. Giniemy nie tyle z żalu, co z zawiedzionych nadziei. Znałem dotkliwsze, straszliwsze bóle, które nie zadały śmierci.

Margrabina uczyniła gest niedowierzania.

— Pani, znam człowieka, którego nieszczęście było tak wielkie, że w porównaniu z jego cierpieniem własne zdałoby ci się niczym.

Czy że długa samotność zaczynała jej ciążyć, czy że błysła jej nadzieja przelania w przyjazne serce bolesnych myśli, margrabina spojrzała na księdza pytającym i wymownym wzrokiem.

— Pani — ciągnął ksiądz — ten człowiek, to był ojciec, któremu z licznej niegdyś rodziny zostało tylko troje dzieci. Stracił kolejno rodziców, potem córkę i żonę, obie gorąco kochane. Pozostał sam w zapadłym kącie, w folwarczku, gdzie był tak długo szczęśliwy. Trzej synowie byli w wojsku, każdy w stopniu odpowiednim do czasu służby. W czasie *Stu Dni* najstarszy poszedł do Gwardii i został pułkownikiem; młodszy był majorem artylerii; najmłodszy rotmistrzem dragonów. Ci trzej synowie kochali ojca tak, jak on ich. Gdyby pani знаła obojętność młodych, którzy zajęci swym życiem nie mają nigdy czasu dla rodziny, zrozumiałaby pani z jednego faktu przywiązanie ich do samotnego starca, który żył już tylko nimi i dla nich. Nie minął tydzień, aby nie dostał listu od którego z synów. Ale też nie był dla nich nigdy ani słaby, co zmniejsza szacunek dzieci, ani niesprawiedliwie surowy, co je zraża, ani też skąpy w poświęceniu, co je oddala. Nie, on był dla nich więcej niż ojcem, stał się ich przyjacielem, bratem. Przybył pożegnać się z nimi, gdy mieli ruszyć do Belgii; chciał zobaczyć, czy mają dobre konie, czy im niczego nie zbywa. Pojechali, ojciec wrócił do domu. Wojna się zaczyna, dostaje listy z Fleurs, z Ligny, wszystko szło dobrze. Przychodzi Waterloo, zna pani wynik. Z dnia na dzień cała Francja okryła się żałobą. Wszystkie rodziny ogarnął śmiertelny lęk. On, rozumie pani, czekał; nie miał wychnienia ani spokoju. Czytał gazety, chodził co dzień na pocztę. Jednego wieczora oznajmiają mu ordynansa syna jego, pułkownika. Widzi, że siedzi na koniu swego pana: nie potrzebuje go pytać o nic: pułkownik padł przecięty kulą armatnią na dwoje. Pod wieczór przybywa służący najmłodszego: umarł nazajutrz po bitwie. Wreszcie o północy artylerzysta przybył oznajmić mu śmierć trzeciego dziecka, na którego głowie w tak krótkim czasie złożył wszystkie swe nadzieje. Tak, pani, padli wszyscy!

Po krótkiej przerwie ksiądz, pokonawszy wzruszenie, dodał łagodnie:

— A ojciec został przy życiu, pani. Zrozumiał, że skoro Bóg go zostawił na ziemi, powinien dalej cierpieć tutaj, i cierpi: ale schronił się na łono religii. Czym mógł zostać?

Margrabina spojrzała na twarz księdza, wzniosła w tej chwili smutkiem i rezygnacją, i czekała tego słowa, które wycisnęło jej łzy z oczu:

— Księdzem! Tak; wyświęcili go łzy, zanim go wyświęcono u stóp ołtarzy.

Na chwilę zapanowało milczenie. Margrabina i proboszcz spoglądali przez okno na mglisty horyzont, jak gdyby mogli w nim dostrzec tych, których już nie było.

— Nie księdzem w mieście, ale zwykłym wiejskim proboszczem — dodał.

— W Saint-Lange — rzekła, ocierając oczy.

— Tak, pani.

Nigdy majestat cierpienia nie objawił się Julii tak wspaniale; owo: *tak, pani* padło jej na serce jak brzemień bezmiernej boleści. Ten głos, który brzmiał tak łagodnie w jej uszach, poruszył ją do głębi. Och, tak! To był głos nieszczęścia, ten głos pełny, poważny, przejmujący.

— Księżę — rzekła niemal z uszanowaniem — a jeśli ja nie umrę, cóż się ze mną stanie?

— Czy pani nie ma dziecka?

— Mam — odparła chłodno.

Proboszcz spojrzał na tę kobietę, jak lekarz patrzy na niebezpiecznie chorego. Postanowił uczynić wszystko, co w jego mocy, ją wyrwać duchowi złego, który już wyciągnął nad nią rękę.

— Widzi pani, powinniśmy żyć z naszym bólem; jedynie religia daje nam prawdziwą pociechę. Czy pozwoli mi pani wrócić tutaj, aby mówić do pani głosem człowieka, który umie współczuć z wszelką niedolą i który, sądę, nie ma w sobie nic przerażającego?

— Owszem, proszę. Dziękuję, że ksiądz o mnie pomyślał.

— Zatem, pani, do zobaczenia wkrótce.

Ta wizyta przyniosła pewną ulgę duszy margrabiny, której siły były zbyt napięte zgryzotą i samotnością. Ksiądz zostawił w jej sercu balsamiczną woń oraz zbawczy dźwięk

głosu wiary. Zarazem doznała tej przyjemności, jakiej doznaje więzień, kiedy poznawszy głębię swej samotności i ciężar swego łańcucha, usłyszy pukanie w ścianę, którym sąsiad pragnie nawiązać wymianę myśli. Znalazła nieoczekiwanego powiernika. Ale niebawem wróciła do swych gorzkich dumań. Powiedziała sobie jak ów więzień, że towarzysz niedoli nie ulży ani jego więzom, ani jego przyszłości. Proboszcz nie chciał za pierwszą bytnością płoszyć tej z gruntu samolubnej boleści, ale miał nadzieję dzięki swej sztuce zdobyć tę duszę za następnym widzeniem. Przybył w istocie na trzeci dzień, a przyjęcie przekonało go, że jest miłym gościem.

— I cóż, pani margrabino — rzekł starzec — czy pomyślała pani trochę o ogromie cierpień ludzkich? Czy wzniosła pani oczy do nieba? Czy ujrzała tam pani ów bezmiar światów, który pomniejszając nas, miażdżąc naszą pychę, zmniejsza zarazem nasze cierpienia?...

— Nie, księżę — rzekła. — Prawa społeczne zaudają nad mym sercem i szarpiają mnie zbyt dotkliwie, abym mogła wzniesć się do nieba. Ale prawa są może mniej okrutne niż zwyczaj świata. Och, świat!

— Winniśmy, pani, poddać się jednym i drugim: prawo jest słowem, a zwyczaj czynem społeczeństwa.

— Poddać się społeczeństwu?... — odparła margrabina, wzdrygając się ze zgrozą. — Ach, księżę, wszystkie nasze niedole płyną stamtąd. Bóg nie wydał ani jednego prawa niosącego nieszczęście, ale ludzie, łącząc się w gromadę, spaczyli jego dzieło. My, kobiety, bardziej jesteśmy skrzywdzone przez społeczeństwo niż przez naturę. Natura zsyła nam cierpienia fizyczne, których wyście nie złagodzili, a cywilizacja rozwinęła w nas uczucie, które wy zawodzicie na każdym kroku. Natura dławi istoty słabe, a wy im każecie żyć, aby je wydać na pastwę ciągłego nieszczęścia. Małżeństwo, instytucja, na której wspiera się dziś społeczeństwo, na nas jedynie ciąży całym swym brzemieniem: dla mężczyzny wolność, dla kobiety obowiązki! My jesteśmy wam winne całe nasze życie, wy z waszego dajecie nam jedynie chwile. Mężczyzna wybiera, my poddajemy się ślepo. Och, księżdu mogę powiedzieć wszystko. Otóż, małżeństwo takie, jak jest dziś, to po prostu legalna prostytutka. Stąd zrodziły się moje cierpienia. Ale ja jedna wśród nieszczęśliwych istot tak fatalnie splepanych, muszę milczeć! Ja jedna jestem sprawczynią złego, ja chciałam mego małżeństwa.

Urwała, zalała się gorzkimi łzami i zamilkła.

— W tej głębokiej nędzy, wśród tego oceanu cierpienia — ciągnęła — znalazłam parę ziarn piasku, na których oparłam nogę, gdzie mogłam cierpieć spokojniej. Huragan zmiotł wszystko. Oto jestem sama, bez oparcia, zbyt słaba, by stawić czoło burzom.

— Nigdy nie jesteśmy słabi, gdy Bóg jest z nami — rzekł ksiądz. — Zresztą jeśli nie masz przywiązania, które by ci wypełniło życie, czy nie masz obowiązków?

— Wciąż obowiązki! — krzyknęła niecierpliwie. — Ale gdzież znajdę uczucia, które nam dają siłę ich spełniania? Księżę! Nic z niczego, albo nic za nic, oto jedno z najszlachetniejszych praw zarówno moralnych jak fizycznych. Żądasz, aby te drzewa wydały liście bez soków, które je rodzą? Dusza ma również swoje soki! U mnie wyschły one na zawsze.

— Nie będę pani mówił o uczuciach religijnych, które dają rezygnację — rzekł ksiądz — ale czyż macierzyństwo...

— Dość, księżę — rzekła margrabina. — Z tobą będę szczerą. Niestety, nie mogę nią być już z nikim! Jestem skazana na fałsz: świat wymaga ciągłej komedii, pod groźbę hańby każe nam się nagiąć do swych formułek. Istnieje, księżę, dwojakie macierzyństwo. Nie miałam nigdyś podobnych rozróżnień, dziś je rozumiem. Jestem matką tylko w połowie: lepiej byłoby nie być nią zupełnie. Helena nie jest *jego!* Och, nie drzyj, księżę. Saint-Lange to otchłań, w której utonęło wiele fałszywych uczuć, skąd błysły posępne światła, gdzie zwały się wątle gmachy praw przeciwnych naturze. Mam dziecko, to wystarczy; jestem matką, tak chce prawo. Ale ty księżę, który masz duszę tak delikatną, tak tkliwą, zrozumiesz może krzyk biednej kobiety, która nie dopuściła do swego serca żadnego kłamanego uczucia. Bóg mnie osądzi, ale nie wierzę, bym uchybiła jego prawu, ulegając porywom, które on włożył w mą duszę; i oto co znalazłam. Czyż dziecko nie jest obrazem dwojga istot, owocem dobrowolnie zespolonych uczuć? Jeśli nie łączy się ze wszystkimi fibrami ciała jak ze wszystkimi wzruszeniami serca, jeśli nie przypomina rozkosznej miłości, miejsca i czasu, gdzie dwie istoty były szczęśliwe, i ich mowy

pełnej ludzkich harmonii, i ich tkliwych myśli, dziecko jest tworem chybionym. Musi ono być dla nich uroczą miniaturą, w której odnajdują poemat podwójnego tajemnego życia; musi być dla nich źródłem płodnych wzruszeń; przeszłością i przyszłością zarazem. Biedna Helenka jest dzieckiem swego ojca: dzieckiem obowiązku i przypadku. Budzi we mnie jedynie instynkt kobiety; prawo, które nam każe nieodparcie opiekować się istotą poczętą w naszym łonie. Jestem, biorąc społecznie, bez zarzutu. Czyż nie poświęciłam jej swego życia i szczęścia? Jej krzyk wstrząsa mnie do samych wnętrzności; gdyby wpadła w wodę, rzuciłabym się, aby ją ratować. Ale ona nie żyje w moim sercu. Ach, miłość kazała mi marzyć o macierzyństwie większym, pełniejszym. We śnie, który się rozwiął, pieściłam dziecię poczęte w moich pragnieniach, nim poczęło się w łonie; słowem, rozkoszny kwiat, zrodzony w duszy, nim ujrzał światło dzienne. Jestem dla Heleny tym, czym w naturalnym porządku matka winna być dla swego potomstwa. Kiedy mnie już nie będzie potrzebowała, wszystko się skończy: z ustaniem przyczyny ustana i skutki. Jeśli kobieta posiada cudowny przywilej rozciągnięcia swego macierzyństwa na całe życie dziecka, czyż nie promieniowaniu jej moralnego poczęcia należy przypisać ową boską trwałość? Kiedy dusza matki nie była pierwszą powłoką dziecka, wówczas macierzyństwo kończy się w jej sercu, tak jak się kończy u zwierząt. To jest prawda, czuję to; w miarę jak moja biedna mała rośnie, serce moje się kurczy. Ofiary, jakie dla niej poniosłam, oddaliły mnie już od niej, gdy dla innego dziecka serce moje byłoby, czuję to, niewyczerpane; dla tego innego nic nie byłoby ofiarą, wszystko byłoby rozkoszą. Tutaj, księżo, rozsądek, religia, wszystko jest we mnie bezsilne przeciw moim uczuciom. Czy nie ma racji, że chce umrzeć kobieta, która nie jest ani matką, ani żoną i która, na swe nieszczęście, pojęła miłość w jej nieskończonej piękności, macierzyństwo w jego bezkresnym szczęściu? Co ją czeka? Ja ci powiem, księżo, co ona czuje. Sto razy w ciągu dnia, sto razy w ciągu nocy dreszcz wstrząsa mą głowę, me serce i ciało, kiedy zbyt słabo zwalczane wspomnienie przynosi mi obrazy szczęścia, które wyobrażam sobie większym niż jest. Od tych okrutnych marbledną moje uczucia; powiadam sobie: „Czym byłoby moje życie, gdyby...”.

Ukryła twarz w dłoniach i zalała się łzami.

— Oto głąb mego serca! — ciągnęła. — Dla *jego* dziecka zniosłabym najokropniejsze nieszczęścia! Bóg, który umarł, wzięwszy na się wszystkie grzechy ziemi, przebaczy mi tę śmiertelną dla mnie myśl. Ale wiem, świat jest nieubłagany; dla niego słowa moje są bluźnierstwem; obrażam wszystkie jego prawa. Och, chciałabym wydać wojnę temu światu, aby odnowić wszystkie jego prawa i obyczaje, aby je skruszyć! Czyż nie zranił mnie on we wszystkich moich myślach, we wszystkich porywach, uczuciach, pragnieniach, nadziejach; w przyszłości, teraźniejszości, przeszłości? Dla mnie dzień jest pełen mroku, myśl jest mieczem, serce jest raną, moje dziecko jest przeczeniem. Tak, kiedy Helenka do mnie mówi, chciałabym, aby miała inny głos; kiedy na mnie patrzy, chciałabym, aby miała inne oczy. Jest tu, przy mnie, aby świadczyć o wszystkim, co by powinno być, a nie jest. Jest mi nieznośna! Uśmiecham się do niej, staram się jej odpłacić uczucia, które jej kradnę. Cierpię! Och, księżo, zanadto cierpię, aby móc żyć. I będę uchodziła za kobietę cnotliwą! I nie popełniłam żadnej winy! I będę mnie szanować! Walczyłam z bezwolną miłością, której nie wolno mi było ulec; ale jeśli dochowałam wiary fizycznie, czyż zachowałam moje serce? To serce — rzekła, przyciskając rękę do piersi — należało tylko do jednego człowieka. Toteż moje dziecko nie myli się! Istnieją spojrzenia, akcenty, gesty matki, których siła przenika duszę dziecka; a moja biedna mała nie czuje, aby ręka moja drżała, aby głos miękł, aby oczy wilgły, kiedy na nią patrzę, kiedy do niej mówię lub biorę ją w ramiona. Patrzy na mnie z wyrzutem, którego nie mogę znieść! Czasami drżę, iż znajdę w niej sędziego, który potępi mnie bez wysłuchania. Dałby Bóg, aby kiedyś nie zrodziła się między nami nienawiść! Wielki Boże! Otwórz mi raczej grób, pozwól mi skończyć w Saint-Lange! Chcę odejść w świat, gdzie odnajdę swoją drugą duszę, gdzie będę zupełnie matką! Och, przebac, ojczu, ja jestem szalona. Te słowa mnie dławily, wyrzekłam je. Och, ojczu, ty płaczesz także, ty nie będziesz mną pogardzał. Helenko! Helenko! Cóрко moja, chodź! — wykrzyknęła z rozpaczą, słysząc dziecko wracające z przechadzki.

Mała przysła, śmiejąc się i krzycząc; przyniosła zdeptanego motyla; ale widząc matkę we łzach, umilkła, stanęła przy niej i dała się pocałować w czoło.

— Będzie bardzo piękna — rzekł ksiądz.

— Żywy portret ojca — odparła margrabina, ściskając córkę namiętnie, jak gdyby chcąc wypłacić dług albo też zatrzeć wyrzut.

— Gorąco ci, mamo.

— Idź, zostaw nas, aniołku — odparła margrabina.

Dziecko odeszło bez żalu, nie patrząc na matkę, niemal szczęśliwe, że ucieka od smutnej twarzy, rozumiejąc już, że uczucia, które się na tej twarzy malują, są mu obce. Uśmiech to jest przywilej, język, wyraz macierzyństwa. Margrabina niezdolna była się uśmiechać. Zaczzerwieniła się, patrząc na księdza; chciała się okazać matką, ale ani ona, ani jej dziecko nie umiały kłamać. W istocie, pocałunki kobiety szczerzej posiadają niebiański miód, dający tej pieszczocie duszę, subtelny ogień wnikający w serce. Pocałunki bez tego balsamu są twarde i suche. Ksiądz odczuł tę różnicę: mógł zgłębić otchłań, jaka istnieje między macierzyństwem ciała a macierzyństwem serca. Toteż objąwszy tę kobietę badawczym spojrzeniem, rzekł:

— Ma pani słuszność, lepiej byłoby dla pani, gdybyś umarła...

— Ha, księżu, widzę, że rozumiesz moje cierpienia — odparła — skoro ty, chrześcijański kapłan, odgadujesz i uznajesz złowrogi zamiar, jaki mi one nasunęły. Tak, chciałam zadać sobie śmierć, ale zabrakło mi odwagi. Ciało było słabe, dusza była silna; a kiedy ręka przestała drżeć, dusza słabła! Nie znam istoty tych walk i wahań. Jestem, ach! kobietą w smutnym znaczeniu słowa, bez stałości, bez woli, silną jedynie w kochaniu. Gardzę sobą! Wieczór, gdy służba śpi, biegłam odważnie do stawu: kiedym przybyła na brzeg, wąta moja natura wzdrygała się przed grozą zniszczenia. Wyznaję ci, ojcze, swoje słabości. Gdym się znalazła w łóżku, wstydyłam się samej siebie, odzyskiwałam odwagę. W jednej z takich chwil zażyłam laudanum: ale cierpiałam tylko, a nie umarłam. Myślałam, żem wypila całą flaszeczkę, a zatrzymałam się w połowie.

— Jest pani zgubiona — rzekł ksiądz poważnie, ze łzami w głosie. — Wrócisz do świata i będziesz oszukiwać świat; będziesz w nim szukała i znajdziesz w nim to, co uważasz za odpłatę swych cierpień; później, kiedyś, gorzko odpokutujesz swoje rozkosze...

— Ja — wykrzyknęła — miałabym wydać lada komediantowi miłości ostatnie, najdroższe skarby swego serca? Miałabym splamić swoje życie dla chwili wątpliwej rozkoszy? Nie, duszę moją strawi czysty ogień. Księżu, wszyscy mężczyźni mają zmysły; ale takiego, który by miał duszę i zdolny był zaspokoić wszystkie nasze tęsknoty, grające harmonią jedynie pod dotknięciem uczucia, takiego człowieka nie spotyka się dwa razy. Moja przyszłość jest okropna, wiem. Kobieta jest niczym bez miłości; piękność niczym bez rozkoszy; ale czyż świat nie potępiłby mego szczęścia, gdybym je jeszcze spotkała? Winnam dać córce matkę, którą szanują. Ach, rzuciłam się w żelazny krąg, z którego niepodobna wyjść bez hańby. Obowiązki rodzinne pełnione bez nagrody znudzą mnie; będę przeklinała życie, ale córka moja będzie miała bodaj piękny cień matki. Dam jej skarby cnoty, aby jej zastąpić skarby uczucia, z których ją okradam. Nie pragnę nawet żyć, aby kosztować słodczy, jaką jest dla matek szczęście ich dzieci. Nie wierzę w szczęście. Jaki będzie los Helenki? Zapewne ten co mój. Jaki sposób posiada matka, aby zaręczyć córce, że mąż, któremu ją wydaje, będzie mężem wedle jej serca? Obrzucacie wzgardą biedne istoty, które się sprzedają przechodniom za kilka talarów: głód i potrzeba rozgrzeszają te przelotne związki; podczas gdy społeczeństwo toleruje i uświęca doraźny związek — o ileż straszliwszy — młodej i czystej dziewczyny z mężczyzną, którego nie zna ani od trzech miesięcy; sprzedaje się ją na całe życie. Prawda, że cena jest wysoka! Gdybyście, nie przyzwalając jej żadnego odszkodowania za jej męki, gdybyście ją szanowali bodaj; ale nie, świat spotwarza najcnotliwsze! Oto nasz los, dwie jego fizjonomie: prostytutka publiczna i hańba, prostytutka tajemna i nieszczęście. Co się tyczy biednych dziewcząt bez posagu, te wpadają w obłęd, umierają, dla tych żadnej litości! Piękność, cnota nie mają ceny w naszym targowisku ludzkim; i wy nazywacie społeczeństwem tę jaskinię egoizmu! Ależ wydziedziczcie kobiety! W ten sposób spełnicie bodaj prawo natury, wybierając swoje towarzyski, zaślubiając je wedle serca.

— Pani, słowa twoje świadczą, że obcy ci jest i duch rodziny, i duch religii. Toteż nie zawahasz się między egoizmem społecznym, który cię rani, a egoizmem człowieka, który obudzi w tobie pragnienie rozkoszy...

— Rodzina, księżu, alboż ona istnieje? Nie uznaję rodziny w społeczeństwie, które po śmierci ojca lub matki dzieli majątek i powiada każdemu, aby szedł w swoją stronę.

Rodzina to jest czasowa spółka, którą śmierć rozwiązuje. Nasze prawa zniweczyły ród, dziedzictwo, ciągłość przykładów i tradycji. Widzę dokoła same gruzy.

— Wrócisz do Boga dopiero wówczas, gdy ręka jego zaciąży nad tobą; życzę ci, byś miała dość czasu, aby się z nim pojednać. Szukasz pociechy spuszczać wzrok ku ziemi, miast podnieść go ku niebu. Filozofowanie i osobisty interes skaziły twe serce; jesteś głucha na głos religii jak wszystkie dzieci tego wieku bez wiary! Rozkosze świata rodzą jedynie boleść. Odmienisz cierpienia, to wszystko.

— Zadam kłam twemu prorocztwu, księżo — rzekła, uśmiechając się z goryczą — zostanę wierna temu, który umarł dla mnie.

— Boleść — odparł — zdolna jest żyć jedynie w duszach przygotowanych przez wiarę.

Spuścił z szacunkiem oczy, aby nie okazać powątpiewania, które malowało się w jego wzroku. Siła skarg, które się wydarły margrabinie, osmuciła<sup>13</sup> księdza. Widząc w nich ludzkie *ja* pod tysiącnymi formami, zwątpił, aby mógł trafić do serca, które ból wysuszył zamiast je użyźnić i gdzie ziarno boskiego siewcy nie miało wejść, bo jego słodkie wołanie zagłuszył straszliwy krzyk egoizmu. Mimo to okazał wytrwanie apostoła; wrócił jeszcze kilka razy, wciąż wiedziony nadzieją odzyskania dla Boga tej szlachetnej i hardej duszy. Ale stracił nadzieję, skoro spostrzegł, że margrabina lubi z nim rozmawiać jedynie dlatego, iż znajduje słodycz mówienia o tym, którego straciła. Nie chciał poniżyć swego powołania, stając się powiernikiem namiętności; przerwał te rozmowy, wracając do formułek i ogólników.

Nadeszła wiosna. Margrabina wyrwała się nieco ze swego głębokiego smutku; zajęła się z nudów majątkiem, zarządziła jakieś roboty. W październiku opuściła stary zamek, gdzie wypoczynek wrócił jej dawną świeżość i piękność. Ból, zrazu gwałtowny jak dysk rzucony z siłą, roztopił się wreszcie w melancholii, jak dysk zatrzymuje się w słabnących stopniowo drgnieniach. Melancholia składa się z szeregu podobnych drgnień moralnych, z których pierwsze graniczy z rozpaczą, ostatnie z rozkoszą. W młodości jest ona niby mrok poranny, w starości — wieczorny.

Kiedy powóz jej przejeżdżał przez wieś, ksiądz, który siedł z kościoła na plebanię, uklonił się. Oddając ukłon, margrabina spuściła oczy i odwróciła głowę, aby go nie widzieć. Ksiądz nazbyt dobrze odgadł przyszłość tej biednej Artemizy z Efezu.

### III. KOBIETA TRZYDZIESTOLETNIA

Młody człowiek wielkich nadziei, należący do jednego z owych historycznych rodów, których nazwiska zawsze będą, bodaj na przekór prawom, ściśle związane z chwałą Francji, znalazł się na balu u pani Firmiani. Dama ta dała mu parę listów polecających do swoich przyjaciółek w Neapolu. Pan Karol de Vandenesse (tak zwał się ów młodzieniec) przyszedł podziękować i równocześnie się pożegnać. Wywiąawszy się z talentem z kilku misji, Vandenesse został świeżo przydzielony do jednego z naszych pełnomocnych ministrów wysłanych na kongres do Lublany. Pragnął skorzystać z tej podróży, aby poznać Włochy. Bal ten był więc niejako pożegnaniem z uciechami Paryża, z tym gorączkowym życiem, z tym wirami myśli i przyjemności, na który się często wyrzeka, ale w którym tak słodko jest się zanurzyć. Przywykły od trzech lat witać różne stolice i żegnać je wedle kaprysu swej dyplomatycznej doli, Karol de Vandenesse niewiele zostawiał za sobą, opuszczając Paryż. Kobiety nie robiły już na nim wrażenia; czy że uważał, iż prawdziwa miłość zbyt wiele zajmuje miejsca w życiu dyplomaty, czy że powierzchowne miłości zdały mu się zbyt czerzą rozrywką dla tęgiej duszy. Mamy wszyscy wielkie pretensje do siły duszy. We Francji nikt, nawet człowiek mierny, nie chce uchodzić po prostu za człowieka inteligentnego. Toteż Karol, mimo iż młody (miał ledwie trzydzieści lat), przyzwyczaił się już jak filozof widzieć idee, rezultaty i środki tam, gdzie ludzie w jego wieku widzą uczucia, przyjemności i złudzenia. Wrodzone młodości ciepło i zapal spychał w głębinę swej duszy szlachetnej z natury. Pracował nad tym, aby się stać zimny i wyrachowany; aby przetopić na grzeczność, na miłe formy, na wdzięk bogactwa moralne, jakimi obdarzył go los. Był w tym pracowity mózół ambitnego człowieka, smutna rola podjęta dla zdobycia tego, co nazywamy świętą pozycją. Objął ostatnim spojrzeniem roztańczone

<sup>13</sup>osmucić — dziś: zasmucić. [przypis edytorski]



salony. Zanim opuścił bal, chciał zapewne unieść jego obraz, jak widz nie wyjdzie z łoża w Operze, nie rzuciwszy okiem na grupę finału.

Pan de Vandenesse studiował to czysto francuskie rozbawienie, ten gwar, te roześmiane twarze, porównując je w myśli z nowymi fizjonomiami, z malowniczymi scenami, jakie go czekały w Neapolu, gdzie zamierzał spędzić po drodze kilka dni. Porównywał może Francję, tak zmienną, a tak łatwą do poznania, z krainą, której widoki i obyczaje znał jedynie ze sprzecznych opowieści lub z lichych przeważnie książek. Przeszło mu przez głowę parę refleksji dość poetycznych, ale dziś bardzo spopolitowanych; odpowiadały one — może bezwiednie — tajemnym pragnieniom jego serca, bardziej wymagającego niż znużonego, bardziej pustego niż zużytego.

„Oto — powiedział sobie — najwytworniejsze, najbogatsze, najrasowsze kobiety w Paryżu. Tu znajdują się sławy dnia, gwiazdy parlamentarne, świeczniki arystokracji i literatury; artyści, ludzie władzy. A przecież widzę jedynie intrygi, miłostki, bezmyślne uśmiechy, głupią wzgardę, blade spojrzenia, dowcip trwoniony bez celu. Wszystkie te białe i różowe twarze szukają nie tyle szczęścia, ile rozrywki, żadne wzruszenie nie jest szczere. Jeśli chcecie tylko zręcznie upiętych piór, świeżej gazy, ładnych tualet, wiotkich kobiet, jeśli chcecie muskać jedynie powierzchnię życia, oto wasz świat. Zadowolcie się tymi frazesami, tymi czarującymi minkami, nie szukajcie serca. Co do mnie, mam wstręt do tych płaskich intryg, które kończą się małżeństwem, podprefekturą czy inną posadką, lub, gdy chodzi o miłość, jakimś pokątnym stosunczkiem, tu bowiem wstydzą się cienia namiętności. Nie widzę tu owych wymownych twarzy, które zwiastują duszę trawioną myślą niby wyrzutem. Żal lub nieszczęście kryją się tu wstydliwie pod konceptem. Nie widzę owych kobiet, z którymi lubiłbym walczyć, które ciągną człowieka w przepaść. Gdzie znaleźć energię w Paryżu? Sztylet jest tu osobliwością, którą się wiesz na złoconym gwoździu i stroi w ładną pochewkę. Kobiety, myśli, uczucia, wszystko podobne jest do siebie. Nie ma już namiętności, bo zanikły charaktery. Stany, dusze, majątki, wszystko zrównano; wszyscy wdziliśmy czarne ubranie niby żałobę po Francji. Nie kochamy tych, którzy nam są równi. Kochankom trzeba różnic, które by musieli zatrzeć, odległości, które by musieli przebyć. Ten czar miłości zniknął z rokiem 1789! Nasza nuda, nasza mdłość, są rezultatem polityki. We Włoszech bodaj wszystko odcina się ostro. Kobieta jest tam jeszcze drapieżnym zwierzęciem, niebezpieczną syreną, bez rozumu, bez logiki innej niż logika jej zachceń i apetytów. Trzeba się mieć przed nimi na baczności jak przed tygrysem...”

Pani Firmiani przerwała ten monolog, którego niepodobna oddać w jego tysiącu sprzecznych, niedokończonych, mętnych myśli. Czyż cała wartość marzenia nie polega na jego nieuchwytności; czyż nie jest ono jakby oparem intelektu?

— Pragnę — rzekła, ujmując go pod ramię — przedstawić pana kobiecie, która z tego, co słyszała o panu, gorąco życzy sobie pana poznać.

Zaprowadziła go do przyległego salonu; gestem, spojrzeniem i uśmiechem paryżanki wskazała mu damę siedzącą przy kominku.

— Kto to taki? — spytał żywo hrabia de Vandenesse.

— Kobieta, o której pan z pewnością niejeden raz rozmawiał, bądź chwając ją, bądź obmawiając; kobieta-samotność, istna tajemnica.

— Jeżeli pani była kiedy dobra w życiu, błagam, niech mi pani powie, jak ona się nazywa?

— Margrabina d'Aiglemont.

— Pójdę poprosić jej o lekcje: umiała z bardzo miernego człowieka zrobić para Francji, z zera talent polityczny. Ale niech mi pani powie, czy pani wierzy, że lord Grenville umarł dla niej, jak twierdziły niektóre kobiety?

— Może. Od tej przygody, prawdziwej lub zmyślonej, biedna kobieta zmieniła się bardzo. Przestała zupełnie bywać. Czteroletnia wierność to coś znaczy w Paryżu. Jeśli ją pan widzi tutaj...

Pani Firmiani urwała, po czym dodała z intencją:

— Zapominam, że trzeba mi milczeć. Niech pan idzie z nią porozmawiać.

Karol stał chwilę nieruchomo, oparty o drzwi, pochłonięty kobietą, która stała się sławna, mimo że nikt nie umiał sobie zdać sprawy z przyczyn tego rozgłosu. W świecie spotyka się dużo podobnych osobliwości. Reputacja pani d'Aiglemont nie była zresztą

dziwniejsza niż rozgłos pewnych ludzi wciąż pracujących nad jakimś nieznanym dziełem: statystyków uważanych za mędrców na wiarę obliczeń, których strzegą się ogłaszając; polityków żyjących na kredyt dziennikarskiego artykułu; autorów lub artystów, których dzieło tkwi zawsze w tece; ludzi uczonych z tymi, co nie mają pojęcia o nauce, jak Sganarel był latynistą z tymi, co nie znali łaciny; ludzi, którym przyznaje się rzekome zdolności na jednym punkcie, bądź to dyktaturę sztuki, bądź jakąś ważną misję. Cudowne słowo: *specjalność* jest jakby umyślnie stworzone dla tych politycznych lub literackich matołków.

Karol przyglądał się dłużej, niżby pragnął, nierad, że kobieta pochłonęła jego uwagę; ale też obecność tej kobiety przeczyła refleksjom, jakie młody dyplomata snuł przed chwilą na widok sali balowej.

Margrabina, wówczas licząca trzydzieści lat, była piękna, mimo że wątpła i niezmiernie delikatna. Największy jej urok płynął z fizjonomii, której spokój zdradzał zadziwiająco głębię. Oko pełne blasku, ale jakby zamglone myślą, kryło wraz gorączkowe życie i bezmierną rezygnację. Powieki zawsze skromnie spuszczone ku ziemi, podnosiły się rzadko. Jeśli spoglądała wkoło, czyniła to smutnym ruchem; rzekłbyś, iż zachowuje ogień swych źrenic na jakieś tajemne wizje. Toteż każdy nieprzeciętny człowiek odczuwał szczególny pociąg do tej łagodnej i cichej kobiety. O ile inteligencja starała się przeniknąć tajemnicę jej ciągłej ucieczki w przeszłość, dusza niemniej pragnęła poznać sekret serca jak gdyby dumnego ze swych cierpień. Nic zresztą nie niweczyło wrażenia, jakie budziła na pierwszy rzut oka. Jak wszystkie prawie kobiety o bardzo długich włosach, była blada i bardzo biała. Skóra jej, nadzwyczaj cienka — znak rzadko zawodny — przyrzekała wrażliwość, a potwierdzały to rysy posiadające ową cudowną subtelność, jaką chińscy malarze dają swym fantastycznym postaciom. Szyja była może przydługa: ale takie szyje mają najwięcej wdzięku; dają głowie kobiecej magnetyczne ruchy węża. Gdyby nawet nie istniała żadna z oznak, jakimi zdradzają się najskrytsze charaktery, wystarczyłoby przyjrzeć się ruchom głowy i falowaniu szyi, aby ocenić kobietę.

Strój pani d'Aiglemont był w harmonii z myślą skupioną w jej osobie. Włosy zaplecione w grube warkocze tworzyły wysoką koronę bez żadnej ozdoby, jak gdyby margrabina na zawsze pożegnała się ze strojem. Nie można było jej pochwycić na owych mizernych sztuczkach zalotności, którymi szkodzi sobie wiele kobiet. Ale stanik jej, mimo iż skromny, nie mógł całkowicie zakryć wdzięku kibici. Cały zbytek jej długiej sukni polegał na wykwinnym kroju; jeśli wolno jest szukać myśli w spożytkowaniu materii, można by rzec, iż liczne i proste fałdy dawały jej coś bardzo szlachetnego. Niezatarłe cechy kobiety przejawiały się może w wielkiej dbałości o rękę i nogę, które pokazywała z pewnym upodobaniem; ale najzłośliwsza rywalka nie mogłaby jej pomówić o mizdrzenie się, tak bardzo ruchy te zdawały się mimowolne lub płynące z nawyku. Te resztki zalotności okupywała pełna wdzięku niedbalszość. Te wszystkie szczegóły, ten całokształt drobiazgów, które stanowią o urodzie lub brzydocie, o wdzięku lub braku wdzięku u kobiety, można tu jedynie zaznaczyć, zwłaszcza gdy, jak u pani d'Aiglemont, dusza jest węzłem wszystkich szczegółów i daje im rozkoszną harmonię. Toteż wzięcie<sup>14</sup> jej godziło się cudownie z charakterem twarzy i stroju. Dopiero w pewnym wieku, pewne wybrane kobiety umieją dać wymowę swej postaci. Czy to zgrzyzota, czy szczęście dają trzydziestoletniej kobiecie, szczęśliwej lub nieszczęśliwej, tajemnicę tego wymownego wzięcia<sup>15</sup>? Będzie to zawsze żywą zagadką, którą każdy tłumaczy w duchu swoich pragnień, nadziei lub teorii. Sposób, w jaki margrabina wspierała się o poręcz fotela i zaplatała palce, jak gdyby bawiąc się nimi, pochylenie szyi, bezwład znużonego, ale giętkiego ciała, które zdawało się z wdziękiem złamane w fotelu, niedbale wyciągnięte nogi, leniwa poza, ruchy pełne zmęczenia; wszystko to znamionowało kobietę, której nie zajmuje w życiu nic, która nie zaznała rozkoszy miłości, ale marzyła o nich, i która ugina się pod ciężarem wspomnienia; kobieta, która od dawna zwątpiła o przyszłości albo o sobie; kobieta niezajęta, która bierze pustkę za nicość.

Karol de Vandenesse podziwiał ten wspaniały obraz, ale jako wykwit maniery zręczniejszej niż u zwykłych kobiet. Znał d'Aiglemonta. Za pierwszym spojrzeniem rzuconym na tę kobietę, której jeszcze nie widział, młody dyplomata odgadł między tymi dwiema

<sup>14</sup>wzięcie (daw.) — sposób bycia, zachowanie. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>wzięcie (daw.) — styl bycia, sposób zachowania. [przypis edytorski]

osobami sprzeczności, *dysproporcje*, że użyjemy tego słowa, zbyt silne, aby możliwe było margrabinie kochać męża. Jednakże prowadzenie się pani d'Aiglemont było bez zarzutu, a cnota jej dawała tym większą cenę kryjącym się w niej tajemnicom.

Skoro przeszło pierwsze zdziwienie, Vandenesse poszukał sposobu nawiązania rozmowy z panią d'Aiglemont. W myśl sztuczki często używanej w dyplomacji postanowił ją zakłopotać, aby poznać, w jaki sposób przyjmie ona niezręczność.

— Proszę pani — rzekł, siadając przy niej — szczęśliwa niedyskrecja oświeciła mnie, iż, nie wiem z jakiego tytułu, miałem szczęście zwrócić na siebie uwagę pani. Należy się pani moja wdzięczność tym bardziej, że nigdy nie byłem przedmiotem podobnego faworu. Toteż stanie się pani winna jednej mojej wady. Od tej chwili postanawiam przestać być skromny...

— Och — rzekła, śmiejąc się — to niedobrze. Niechże pan zostawi próżność tym, którzy nie mają nic innego.

W ten sposób nawiązała się rozmowa między margrabiną a młodym człowiekiem. Stosownie do zwyczaju, poruszyli w jednej chwili mnóstwo przedmiotów: malarstwo, muzykę, literaturę, politykę, ludzi, wypadki, sprawy. Nieznacznie doszli do wiecznego tematu rozmów we Francji i gdzie indziej, do miłości, do uczuć i do kobiet.

— Jesteśmy niewolnicami...

— ...w koronie.

Mniej lub więcej zręczne powiedzenia Karola i margrabinę dałyby się sprowadzić do tego prostego wyrazu wszystkich obecnych i przyszłych rozmów w tej materii. Czyż te dwa zdania nie będą zawsze znaczyły w danej chwili: „Kochaj mnie — będę cię kochać”?

— Pani — rzekł miękko Karol de Vandenesse — jest pani przyczyną, że bardzo mi żal opuszczać Paryż. Z pewnością nie znajdę we Włoszech godziny tak milej rozmowy.

— Znajdzie pan może szczęście, a to warte więcej niż wszystkie paradoksy, które się wymienia co wieczór w Paryżu.

Przed rozstaniem Karol uzyskał pozwolenie złożenia margrabinie pożegnalnej wizyty. Był bardzo rad, że prośbie swojej dał akcent szczerości; wieczorem, kiedy szedł spać, i nazajutrz przez cały dzień niepodobna mu było pozbyć się wspomnienia tej kobiety. Pytał sam siebie, czemu margrabina zwróciła nań uwagę, jakie mogła mieć pobudki wyrażające chęć ujżenia go jeszcze; czynił niezliczone kombinacje. To zdawało mu się, że zgaduje powód tej ciekawości i upajał się nadzieją; to znów stygnął, zależnie od sposobu, w jaki tłumaczył sobie tę uprzejmość tak pospolitą w Paryżu. To znaczyła ona dlań wszystko, to znów nic. Chciał się oprzeć skłonności, która go ciągnęła do pani d'Aiglemont; ale poszedł do niej. Istnieją myśli, którym jesteśmy posłuszni, nie znając ich; są w nas bez naszej wiedzy. Mimo że to spostrzeżenie może się wydać raczej paradoksem niż prawdą, każdy szczerzy człowiek znajdzie na nie w życiu tysiąc dowodów. Idąc do margrabinę, Karol był posłuszny jednej z takich tajemnych myśli, których późniejsze doświadczenie i zdobycze naszej inteligencji są jedynie rozwinięciem.

Kobieta trzydziestoletnia posiada dla młodego człowieka nieodparty urok. Nie ma nic naturalniejszego, nic silniejszego, lepiej skojarzonego niż owe nader częste głębokie uczucie między kobietą taką jak margrabina a młodym człowiekiem jak Vandenesse. W istocie, młoda dziewczyna ma zbyt wiele złudzeń, za mało doświadczenia, płeć odgrywa zbyt wielką rolę w jej miłości, aby ta miłość mogła pochlebiać młodemu człowiekowi; gdy dojrzała kobieta zna cały rozmiar swego poświęcenia. Gdzie tą powoduje ciekawość, ponęty obce samej miłości, tamta jest posłuszna świadomemu uczuciu. Jedna ulega, druga wybiera. Czyż sam ten wybór nie jest już bardzo pochlebny? Zbrojna wiedza, prawie zawsze drogo opłaconą, kobieta doświadczona, oddając się, daje niejako więcej niż samą siebie; młoda dziewczyna, nieświadoma i łatwowierna, nie może nic porównać, nic ocenić; przyjmuje miłość i przygląda się jej. Jedna nas uczy; radzi nam — w wieku, w którym miło jest dać się prowadzić, kiedy posłuszeństwo jest przyjemnością; druga chce się wszystkiego uczyć; jest naiwna, gdy tamta jest tkliwa. Jedna daje ci tylko jeden tryumf, druga zmusza cię do nieustannej walki. Pierwsza ma tylko łzy i przyjemności, druga — rozkosze i wyrzuty. Aby młoda dziewczyna była kochanką, musi być nazbyt zepsuta i wówczas rzucamy ją ze zgrozą; ale kobieta ma tysiąc sposobów zachowania zarazem władzy i godności. Jedna, nazbyt uległa, daje ci smętne bezpieczeństwo spokoju; druga za wiele traci, aby nie sycić się miłością w tysiącu jej form. Jedna się hańbi sama,

Kobieta, Młodość,  
Dorosłość, Męczyzna,  
Kochanek

druga zabija dla ciebie całą rodzinę. Młoda dziewczyna ma tylko jedną kokieterię i myśli, że wszystko zrobiła, skoro zdejmie suknię; ale kobieta dojrzała ma ich tysiąc i kryje się pod tysiącem zasłon; głaszcze wszystkie próżności, gdy nowicjuszka tylko jedną. Istnieją zresztą w kobiecie trzydziestoletniej wahania, lęki, obawy, wstrząśnienia i burze, których nie spotkasz w miłości dziewicy. Doszedłszy tego wieku, kobieta żąda od kochanka, aby jej wrócił cześć, którą mu poświęciła: żyje tylko dla niego, zajmuje się jego przyszłością, chce mu stworzyć świetny los, pcha go do sławy; słucha, prosi i rozkazuje; poniża się i rośnie; umie pocieszyć w tysiącu okoliczności, w których młoda dziewczyna umie tylko jęczeć. Wreszcie poza wszystkimi przewagami kobieta trzydziestoletnia może się stać młodą dziewczyną, grać wszystkie role, być wstydliwą i stroić się nawet nieszczęściem. Istnieje między tymi dwiema kobietami niezmiernie różnica: pewność a niespodzianka, siła a słabość. Kobieta trzydziestoletnia daje wszystko, a młoda dziewczyna pod grozą zgłady nie może dać nic. Ta świadomość rozwija się w sercu młodego człowieka i tworzy w nim najsilniejszą namiętność, gdyż sztuczne uczucia zrodzone ze świata jednoczą się w niej z naturalnym popędem przyrody.

Najważniejszy i najbardziej stanowczy krok w życiu kobiety to właśnie ten, który ona uważa zawsze za najbłahszy. Raz wyszedłszy za mąż, nie należy już do siebie, jest królową i niewolnicą domowego ogniska. Świętość kobiet nie da się pogodzić z obowiązkami i swobodą świata. Wyzwolić kobiety znaczy zepsuć je. Dać obcemu prawo wstępu do sanktuarium małżeńskiego, czyż nie znaczy wydać się na jego łaskę? A jeżeli kobieta go tam ciągnie, czyż to nie jest błąd lub, mówiąc ściślej, początek błędu? Trzeba przyjąć tę teorię w całej ścisłości lub rozgrzeszyć występki. Dotąd we Francji społeczeństwo umiało obracać *mezzo termine*: drwi sobie z nieszczęścia. Jak Spartanie, którzy karali tylko niezręczność, zezwala niejako na kradzież. Ale może ten system jest bardzo mądry. Ogólna pogarda stanowi może najcięższą karę, bo godzi w samo serce kobiety. Kobietom zależy i musi zależeć na szacunku, bo bez szacunku nie istnieją. To jest też pierwsze uczucie, jakiego żądają od miłości. Najbardziej zepsuta, sprzedając swą przyszłość, wymaga przede wszystkim rozgrzeszenia z przeszłości i stara się wmówić w kochanka, że w zamian za nieodparte szczęście oddaje szacunek, którego świat jej odmówi.

Nie ma kobiety, która przyjmując pierwszy raz młodego człowieka i znalazłszy się z nim sam na sam, nie oddała się tym refleksjom, zwłaszcza jeśli ten młody człowiek jest jak Karol de Vandenesse przystojny i interesujący. Podobnie mało który młody człowiek nie wiąże jakichś tajemnych pragnień z tysiącem pobudek usprawiedliwiających wrodzoną skłonność do kobiet pięknych, zajmujących i nieszczęśliwych, jak pani d'Aiglemont. Toteż margrabina, słysząc z ust lokaja nazwisko pana de Vandenesse, zmieszana się; on zaś był niemal zawstydzony, mimo pewności siebie, która u dyplomatów jest poniekąd mundurem. Ale margrabina przybrała rychło ów serdeczny ton, za którym kobiety chronią się przeciw uroszczeniom czyjejś próżności. Ton ten wyklucza wszelką ukrytą myśl, daje niejako folgę uczuciu, miarkując je równocześnie formami grzeczności. Kobiety trzymają się wówczas tak długo, jak same zechcą, w tym dwuznacznym położeniu niby na rozstaju, który wiedzie po równi do szacunku, do obojętności, do zdziwienia lub do miłości. Dopiero w trzydziestu latach kobieta zna całą wartość tej sytuacji. Umie w niej śmiać się, żartować, wzruszać — nie zdradzając się nigdy. Posiada niezbędny takt, aby trącać w mężczyźnie wszystkie czułe struny, badając dźwięk, jaki z nich dobiedzie. Milczenie jej jest równie niebezpieczne jak słowa. Nie zgadniesz nigdy, czy kobieta w tym wieku jest otwarta czy fałszywa, czy drwi, czy też jest szczerą w swych zwierzeniach. Dawszy ci prawo walczenia z sobą, nagle, jednym słowem, spojrzeniem, jednym z owych gestów, których potęgę znają, kończy walkę, zostawiając cię, zostając panią swego sekretu. Może cię zabić jakimś żarciem, może się zająć tobą, jednako chroniona swoją słabością, jak twoją siłą. Mimo iż margrabina zajęła w czasie tej pierwszej wizyty stanowisko neutralne, umiała zachować na nim godność kobiety. Tajone jej cierpienia unosiły się wciąż nad jej sztuczną wesołością niby lekka chmura, która na wpół przesłania słońce. Vandenesse wyszedł, doświadczony w czasie tej rozmowy nieznanymi rozkoszami, ale przekonany, że margrabina należy do owych kobiet, których zdobycz kosztuje zbyt drogo, aby można było marzyć o ich miłości.

„To byłby — rzekł sobie — sentyment w bezkresach, korespondencja ponad siły ambitnego gryzpiórka! Jednakże, gdybym chciał...”

To nieszczęsne: *gdybym chciał!* zawsze gubiło upartych. We Francji miłość własna wiedzie do miłości.

Karol powrócił; zdawało mu się, że pani d'Aiglemont znajduje przyjemność w jego towarzystwie. Zamiast oddać się po prostu rozkoszy kochania, zapragnął grać podwójną rolę. Silił się udawać miłość, następnie analizować zimno bieg tej intryżki, być kochankiem i dyplomatą. Ale był młody i zapałny, ta analiza musiała go zawieść do miłości bez granic, margrabina bowiem — sztuczna czy naturalna — zawsze była górą. Za każdym razem, kiedy wychodził od pani d'Aiglemont, Karol trwał w swej nieufności; stopniowe fazy, przez które przechodziła jego dusza, poddawał surowej kontroli, zabijającej wzruszenia.

„Dziś — powiadał sobie za trzecią wizytą — dała mi do zrozumienia, że jest bardzo nieszczęśliwa i samotna; gdyby nie córka, pragnęłaby gorąco śmierci. Jest zupełnie zrezygnowana. Nie jestem ani jej bratem, ani spowiednikiem; czemuż zwierzyła mi swoje cierpienia? Kocha mnie”.

W dwa dni później, wychodząc, filozofował na temat współczesnych obyczajów.

„Miłość przybiera barwę każdej epoki. W roku 1822 jest doktrynerska. Zamiast dowieść jej, jak niegdyś, czynnie, dyskutuje się, rozprawia, wygłasza się całe mowy. Kobiety są skazane na trzy metody: najpierw kwestionują naszą miłość, odmawiają nam zdolności kochania równego ich kochaniu. Kokieteria! Oto wyzwanie, które margrabina rzuciła mi dziś wieczór. Potem udają nieszczęśliwe, aby pobudzić naszą szlachetność lub ambicję. Czyż nie pochlebiam młodemu człowiekowi pocieszyć wielkie nieszczęście? Wreszcie mają manię dziewiczości. Ona musiała myśleć, że ja wierzę w jej niepokalanie. Moja wiara może się okazać znakomitą metodą”.

Ale pewnego dnia, wyczerpawszy cały sceptycyzm, spytał sam siebie, czy margrabina jest szczerą; czy taki ból może być udany: po co miałyby grać rezygnację? Żyła w głębokiej samotności, trawiła w milczeniu swe zgryzoty, pozwalając się ich co najwyżej domyślać w jakimś akcencie, westchnieniu. Z tą chwilą Karol zainteresował się żywo panią d'Aiglemont. Jednakże, przychodząc na zwykłą wizytę, która stała się dla obojga potrzebą, Vandenesse miewał uczucie, że jego ukochana jest bardziej jeszcze zręczna niż szczerą. Ostatnie jego słowo było: „Stanowczo ta kobieta jest bardzo sprytna”.

Wszedł, ujrzał margrabinę w ulubionej pozie, pozie pełnej melancholii; podniosła nań oczy, nie ruszając się z miejsca i rzuciła mu śmiałe spojrzenie, podobne do uśmiechu. Twarz pani d'Aiglemont wyrażała ufność, przyjaźń, ale nie miłość. Karol usiadł, niezdolny nic powiedzieć. Ogarnęło go wzruszenie, któremu brak jest wyrazu.

— Co panu? — rzekła miękko.

— Nic. Owszem — podjął — myślę o rzeczy, która dotąd pani nie uderzyła.

— Co takiego?

— Że... kongres się skończył.

— Ależ pan miał przecie jechać na ten kongres?

Wyraźna odpowiedź byłaby najwymowniejszym i najdelikatniejszym wyznaniem; ale Karol nie dał jej. Fizjonomia pani d'Aiglemont oddychała niewinną przyjaźnią, która niweczyła wszystkie rachuby próżności, nadzieje miłości, sceptycyzm dyplomaty. Nie wiedziała lub udawała, iż nie wie, że jest kochaną; kiedy zaś Karol, pomieszany, wejrzał w siebie, musiał wyznać, że nie powiedział ani nie uczynił nic, co by ją upoważniało do tej myśli. Tego wieczora margrabina była dlań jak zawsze prosta, serdeczna, szczerą w swej boleści, szczęśliwa, że ma przyjaciela, dumna, że spotkała duszę zdolną zrozumieć jej duszę. Nie sięgała dalej: nie przypuszczała, aby kobieta mogła dać się uwieść dwa razy. Ona już poznała miłość, chowała ją jeszcze krwawiącą w głębi serca, nie wyobrażała sobie, aby szczęście mogło dwa razy przynieść kobiecie swoje upojenia, wierzyła bowiem nie tylko w ducha, ale i w duszę; dla niej miłość nie była pokusą, ale zespoleniem wszystkich szlachetnych uroków.

W tej chwili Karol odzyskał swoją młodzieńczość; był pod czarem tej wspaniałej kobiety; chciał być powiernikiem wszystkich tajemnic tej egzystencji skalanej raczej przypadkiem niż błędem. Pani d'Aiglemont spojrzała raz tylko na swego przyjaciela, gdy ją

chciał wyświadczyć z nadmiaru cierpienia, które stroiło jej piękność we wszystkie harmonie smutku; ale to głębokie spojrzenie było niby pieczęć uroczystego porozumienia.

— Niech mi pan nigdy nie zadaje tego rodzaju pytań — rzekła. — Trzy lata temu w podobny dzień człowiek, który mnie kochał, jedyny, dla którego szczęścia byłabym poświęciła nawet własny szacunek, umarł i to umarł, aby mi ocalić honor. Ta miłość umarła młoda, czysta, pełna złudzeń. Nim mnie dosięgła namiętność, w którą pchnęła mnie bezprzykładna fatalność, poszłam na lep tego, co gubi tyle młodych dziewcząt: zero, pustka o miłych formach. Dziś straciłam szczęście prawe i owo szczęście, które zowią *występnym* — nie poznawszy szczęścia. Nie zostało mi nic. Jeśli nie umiałam umrzeć, powinnam bodaj zostać wierna wspomnieniom.

To mówiąc, nie zapłakała; spuściła oczy i lekko wylała palce splecione właściwym jej gestem. Rzekła to po prostu, ale głos jej miał akcent rozpaczony tak głębokiej, jak głęboką musiała być jej miłość. Akcent ten nie zostawiał Karolowi żadnej nadziei. Ta straszna egzystencja, wyrażona w kilku słowach i podkreślona załamaniem rąk, ta siła bólu w wątłej kobiecie, ta otchłań w ładnej główce, wreszcie ta melancholia, te łzy trzecholetniej żaloby oczarowały Karola. Milczał, czując się mały przy tej wielkiej i szlachetnej istocie; nie widział już jej piękności, tak uroczej, tak doskonałej, widział tylko duszę nieporównanie tkliwą. Spotykał wreszcie ten ideał tak wymarzony, tak namiętnie wołany przez wszystkich, co życie całe zamykają w miłości, szukają jej gorączkowo i często umierają, nie zaznawszy wszystkich marzonych skarbów.

Słyszając te słowa, patrząc na tę wzniosłą piękność, Karol zawstydział się swej miłości. Nie umiając dostroić słów do wyżyn tej sceny, tak prostej i podniosłej zarazem, odpowiedział komunałem o losie kobiet.

— Pani — rzekł — trzeba zapomnieć swoich cierpień albo sobie kopać grób.

Ale rozum jest zawsze czymś mizernym wobec uczucia; jest ograniczony jak wszystko, co pozytywne; uczucie jest bez kresu. Rozumować tam, gdzie trzeba uczuć, to właściwość małych dusz. Vandenesse umilkł tedy, patrzył długo na panią d'Aiglemont i wyszedł. Pochłonięty myślami, które mu upoetyzowały kobietę, podobny był malarzowi, który wzięwszy za typ pospolite pracowniane modelki, spotkałby nagle Mnemozynę z Muzeum, najpiękniejszy, a najmniej doceniany posąg starożytności. Karol zakochał się bez pamięci. Pokochał panią d'Aiglemont z całą wiarą młodości, z owym zapalem strojącym pierwsze uczucie w niewysłowiony wdzięk, w naiwność, której potem człowiek — jeśli pokocha jeszcze — znajduje już tylko szczątki. Rozkoszne uczucia, rozkoszne dla kobiety, która je zrodziła! W tym pięknym okresie wieku, poetycznym szczycie jej życia, kobieta trzydziestoletnia umie ogarnąć cały ich rozwój i widzieć zarówno ich przeszłość jak przyszłość. Kobieta zna wówczas całą cenę miłości i syci się nią, drżąc przed jej utratą; dusza jej jest jeszcze strojna młodością, która ją opuszcza, a namiętność jej potęguje się przyszłością, która ją przeraża.

„Kocham — powiadał sobie Vandenesse, wychodząc od margrabiny — a na moje nieszczęście trafiłem na kobietę przywiązaną do wspomnień. Trudno walczyć z umarłym, którego już nie ma, który nie może popełniać głupstw, nie może niczym zrazić i w którym widzi się same przymioty. Chcieć zabić urok pamięci, nadzieje, które przeżyły zmarłego kochanka właśnie dlatego, że budził jedynie pragnienia, czyli to, co miłość ma najpowszechniejszego, czyż to nie znaczy chcieć zdetronizować doskonałość?”

Ta smutna refleksja, wynikła ze zniechęcenia i z obawy porażki, od jakich zaczyna się każda szczerą namiętność, była ostatnią rachubą jego konającej dyplomacji. Odtąd skończyła się wszelka myśl krytyczna; stał się igraszką swej miłości, utonął w drobiazgach owego niepojętego szczęścia, które się karmi słowem, milczeniem, cieniem nadziei. Chciał kochać platonicznie, oddychać co dzień powietrzem, którym oddychała pani d'Aiglemont, wrósł niemal w jej dom, towarzyszył jej wszędzie z całą tyranią namiętności, która kojarzy własny egoizm z absolutnym niemal poświęceniem. Miłość ma swój instynkt, umie znaleźć drogę do serca, jak najslabszy owad idzie do swego kwiatu z nieodpartą wolą, która nie przeraża się niczym. Toteż kiedy uczucie jest szczerze, los jego nie może być wątpliwy. Czyż nie jest w tym coś, co może przerazić kobietę, gdy pomyśli, że życie jej zależy od mniejszej lub większej szczerości, siły, uporu, jakie kochanek włoży w swoje pragnienia? Kobiecie, żonie, matce, niepodobna obronić się miłości młodego człowieka; jedyne co w jej mocy, to przestać go widywać z chwilą, gdy odgadnie sekret

Miłość

serca, który kobieta odgaduje zawsze. Ale to postanowienie jest zbyt krańcowe, aby kobieta mogła się na nie zdobyć w wieku, w którym małżeństwo ciąży, nudzi i męczy, kiedy miłość małżeńska jest mniej niż letnia, o ile mąż nie oddalił się zupełnie. Brzydkiej kobiecie pochlebiam uczucie, które ją czyni piękną; u młodej i pięknej pokusa musi być równa własnym jej urokom, jest olbrzymia; cnotliwej wzniosło-ziemskie uczucie pozwala znaleźć rozgrzeszenie w ogromie własnych poświęceń i w chwale tej trudnej walki. Wszystko jest pułapką. Toteż żadna lekcja nie jest dość silna dla tak silnych pokus. Zamknięcie narzucone niegdyś kobiecie w Grecji, na Wschodzie i modne od jakiegoś czasu w Anglii jest jedynym ratunkiem moralności rodziny; ale pod władzą tego systemu giną przyjemności świata: ani towarzystwo, ani grzeczność, ani polor nie będą wówczas możliwe. Narody muszą wybierać.

Toteż w kilka miesięcy po pierwszym spotkaniu pani d'Aiglemont spostrzegła, że życie jej jest ściśle związane z życiem Karola. Ze zdziwieniem, ale bez pomieszenia, nawet z pewną przyjemnością spostrzegła, że dzieli jego upodobania i myśli. Czy ona przejęła je od Karola, czy też Karol wzył się w jej najłżejsze kaprysy? Nie roztrząsała tego. Już porwana prądem namiętności, ta czarująca kobieta powiadała sobie ze zwykłą pewnością siebie oszukującą obawy:

— Och, nie; zostanę wierna temu, który umarł dla mnie.

Pascal powiedział: „Wątpić o Bogu, znaczy wierzyć weń”. Tak samo kobieta szamoce się dopiero wtedy, kiedy jest wzięta. W dniu, w którym margrabina uświadomiła sobie miłość Karola, targano nią tysiąc sprzecznych uczuć. Przesady doświadczenia przemówiły swoim językiem. Czy byłaby szczęśliwa? Czy zdoła znaleźć szczęście poza prawami, z których, słusznie czy nie, społeczeństwo zbudowało swą moralność? Dotąd życie sączyło jej same gorycze. Czy istnieje szczęśliwa przyszłość dla związku łączącego dwoje istot rozdzielonych prawami społecznymi? Ale czy szczęście można okupić zbyt drogo? I to szczęście tak upragnione, którego żądza tak jest człowiekowi wrodzona: to szczęście ona może spotka wreszcie! Ciekawość zawsze przemawia na rzecz kochanka.

Kochanek

W pełni tej dumnej rozterki przybył Vandenesse. Obecność jego rozwiała mgliste widmo rozsądka. Jeśli takie są kolejne przeobrażenia, przez które przechodzi nagle nawet uczucie między młodym człowiekiem a kobietą trzydziestoletnią, jest chwila, gdy wszystkie rozumowania gubią się w jednym, w ostatniej refleksji, która topi się w pragnieniu i potęguje je. Im opór był dłuższy, tym silniej przemawia wówczas głos natury. Tu więc kończy się ta lekcja lub raczej to studium anatomiczne, jeśli wolno zapożyczyć z malarstwa jego metod; historia ta raczej tłumaczy niebezpieczeństwa i mechanizm miłości, niż ją maluje. Ale od tej chwili każdy dzień przydawał kolorów temu szkielecowi, stroił w krasę młodzieńcze, krzepił jego ciało, ożywiał ruchy, dał mu blask, piękność, powab miłości i urok życia.

Karol zastał panią d'Aiglemont zamyśloną; kiedy ją spytał owym skupionym głosem, któremu słodki czar serca dawał tyle wymowy: „Co pani?” — nie odpowiedziała nic. To rozkoszne pytanie świadczyło o doskonałej spójni serc; cudownym instynktem kobiety margrabina zrozumiała, że skarga lub aluzja do swych nieszczęść byłyby rodzajem zadatku. Jeżeli już każde słowo miało znaczenie zrozumiałe dla nich obojga, w jakąż przepaść miała stawić nogę? Spojrzała w siebie jasnym i bystrym spojrzeniem, zamilkła, a Karol podzielił jej milczenie.

— Jestem cierpiąca — rzekła wreszcie, przerażona doniosłością chwili, w której wymowa oczu zastąpiła w zupełności niemoc słów.

— Pani — rzekł Karol serdecznym, ale bardzo wzruszonym głosem — dusza i ciało to jednia. Gdyby pani była szczęśliwa, byłabyś młoda i świeża. Czemu nie chcesz poszukać u miłości tego, czego miłość cię pozbawiła? Sądzisz, że życie twoje jest skończone, gdy ono się dla ciebie zaczyna. Zawierz się staraniom przyjaciela. Tak słodko jest być kochaną.

— Jestem już stara — rzekła — nic by mnie tedy nie usprawiedliwiło, gdybym się wzbraniała cierpieć jak wprzódy. Zresztą trzeba kochać, powiada pan? Otóż, ja ani powinnam, ani mogę kochać. Poza panem, którego przyjaźń osładza trochę moje życie, nikt mi się nie podoba, nikt nie zdołałby zatrzeć moich wspomnień. Mile widzę przyjaciela, ucieklabym przed kochankiem. A przy tym, czy byłoby szlachetnie dawać zwiędłe serce w zamian za młode, przyjmować złudzenia, których nie mogę podzielić, budzić szczęście, w które bym nie wierzyła lub które bym lękała się stracić? Odpłaciłabym może egoizmem

jego oddanie, obliczałabym, gdy on by czuł; pamięć moja raniłaby żywość jego upojeń. Nie, widzi pan, pierwszej miłości nie da się zastąpić. Któż wreszcie przyjąłby za tę cenę moje serce?

Te słowa, nacechowane piekielną zalotnością, to był ostatni wysiłek rozsądku. „Jeśli się zniechęci, wówczas pozostanę samotna i wierna”. Ta myśl zrodziła się w sercu tej kobiety i była dla niej tym, czym jest wąż gałązka wierzby, którą chwytą pływak, nim go pochwyli prąd. Słyszając ten wyrok, Vandenesse zdrzął mimo woli, a drżenie to oddziało na serce margrabiny bardziej niż wszystkie jego dotychczasowe zabiegi. Najbardziej trafia do serca kobiety owa pełna wdzięku delikatność, owe uczucia subtelne jak ich własne; u nich bowiem wdzięk i delikatność są znamiem prawdy. Drżenie Karola świadczyło o szczerzej miłości. Z cierpienia jego pani d’Aiglemont oceniła siłę jego przywiązania. Młody człowiek rzekł chłodno:

— Może pani ma słuszość. Nowa miłość, nowa zgrzyzota.

Następnie odmienił rozmowę, zaczął mówić o rzeczach obojętnych, ale był widocznie wzruszony. Patrzył na panią d’Aiglemont ze skupieniem, jakby ją widział po raz ostatni. W końcu opuścił ją, mówiąc ze wzruszeniem:

— Żegnam panią.

— Do zobaczenia — odparła z subtelną zalotnością, której sekret posiadają jedynie wyjątkowe kobiety.

Nie odpowiedział nic i wyszedł.

Kiedy Karola już nie było, kiedy jego puste krzesło mówiło za niego, uczuła żal, robiła sobie wyrzuty. Miłość czyni w kobiecie ogromne postępy w chwili, gdy się jej zdaje, że postąpiła nieszlachetnie, że zraniła piękną duszę. Nigdy nie trzeba w miłości lękać się złych uczuć, są one bardzo zbawienne; kobiety upadają jedynie pod naporem jakiejś cnoty. *Piekło jest brukowane dobrymi chęciami*, to nie jest paradoks kaznodziei.

Kilka dni Vandenesse nie pokazywał się. Co wieczór o zwykłej godzinie margrabina czekała go z niecierpliwością pełną wyrzutów. Pisać — równałoby się wyznaniu; zresztą instynkt szeptał jej, że wróci. Szóstego dnia lokaj oznajmił Karola. Nigdy nie usłyszała tego nazwiska z taką przyjemnością. Radość ta przeraziła ją.

— Bardzo mnie pan ukarał — rzekła.

Vandenesse patrzył oszołomiony.

— Ukarał! — powtórzył. — Za co?

Karol rozumiał doskonale margrabinę, ale chciał się zemścić za swoje cierpienia, z chwilą gdy się ich domyślała.

— Czemu pan nie przychodził? — spytała z uśmiechem.

— Nikt nie był tymczasem u pani? — odparł wymijająco.

— Ronqueorolles i de Marsay; a, i mały d’Esgrignon. Siedzieli, jeden wczoraj, drugi dziś popołudniu, blisko dwie godziny. Była także, o ile pomnę, pani Firmiani i siostra pańska, pani de Listomère.

Nowe cierpienie! Ból niezrozumiały dla tych, co nie kochają z owym zaborczym i okrutnym despotyzmem, którego najlżejszym objawem jest potworna zazdrość, ciągle pragnienie odcięcia drogiej istoty od wszystkiego, co obce miłości.

„Jak to! — powiadał sobie Vandenesse — więc ona przyjmowała wizyty, widywała ludzi wesołych, rozmawiała z nimi, gdy ja siedziałem smutny, nieszczęśliwy!”

Ukrył przykrość i zagrzebał swą miłość w głębi serca niby trumnę w morzu. Myśli jego były z tych, których nie da się wyrazić; są chybkie jak owe kwasy, które zabijają, ulatniając się. Jednakże czoło jego pokryło się chmurą. Pani d’Aiglemont usłuchała kobiecego instynktu, dzieląc ten smutek, którego nie rozumiała. Nie była świadoma bólu, który zadawała; Vandenesse spostrzegł to. Wspomniał o swym położeniu i o swojej zazdrości, jak gdyby to była jedna z owych hipotez, które kochankowie lubią roztrząsać. Margrabina rozumiała wszystko; ogarnęło ją tak silne wzruszenie, że nie mogła wstrzymać łez. Z tą chwilą wkroczyli w niebiosy miłości. Niebo i piekło, te dwa wielkie poematy, wyrażają dwa jedyne punkty, koło których kręci się całe nasze istnienie: rozkosz i ból. Czyż niebo nie jest, czy nie będzie zawsze obrazem nieskończoności naszych uczuć, które da się odmalować jedynie w szczegółach, gdyż szczęście jest jedno; a piekło, czyż nie wyobraża nieskończonych tortur naszego bólu, z których możemy uczynić dzieło poezji, tak bardzo są rozmaite?

Niebo, Piekło, Cierpienie,  
Szczęście



Jednego wieczora kochankowie byli sami, przytuleni do siebie w milczeniu, wpatrując się w cudny firmament. Niebo było czyste, ostatnie promienie słońca rzucały na nie słabe odbłaski złota i purpury. O tej porze powolne zamieranie światła budzi słodkie uczucia; namiętności nasze pulsują miękko wobec tego spokoju, przetapiamy na rozkosz silne wzruszenia. Ukazując nam mgliste obrazy szczęścia, natura zaprasza nas, abyśmy go kosztowali, kiedy jest blisko, lub każe go nam żałować, gdy uciekło. W tych chwilach pełnych czaru, pod baldachimem blasku, którego miękkie harmonie jednoczą się z harmonią duszy, trudno oprzeć się pragnieniom serca: mają tyle wymowy! Zgryzota wówczas taje, radość upaja, ból przygniata. Przepych wieczoru staje się hasłem do wyznań, ośmiela je. Milczenie staje się niebezpieczniejsze od słów, daje oczom całą nieskończoność niebios, które się w nich odbijają. A gdy przyjdzie do słów, najmniejsze z nich posiada nieodpartą potęgę. Czyż nie ma wówczas światła w głosie, purpury w spojrzeniu? Czy niebo nie jest w nas lub czy nie zdaje się nam, że jesteśmy w niebie?

Vandenesse i Julia — bo od kilku dni pozwalała się tak poufale nazywać temu, którego z lubością zwała Karolem — mówili oboje, ale przedmiot rozmowy był daleko od nich: o ile nie rozumieli sensu słów, w zamian słuchali z rozkoszą tajemnych myśli snujących się pod słowami. Ręka margrabiny znajdowała się w ręce Karola; dała mu ją, nie mając poczucia, aby to była łaska z jej strony.

Wychylali się razem, aby oglądać majestatyczny krajobraz pełen śniegu, lodowców, szarych cieni zasnuwających zbocza fantastycznych gór; obraz pełen silnych kontrastów między czerwienią płomieni a czarnymi tonami strojącymi niebo swą nieźrównaną i kapryśną poezją; wspaniałe pieluchy, w których odradza się słońce, piękny całun, w którym umiera. W tej chwili włosy Julii musnęły lica Karola; uczuła to lekkie dotknięcie: zadrżała, a on bardziej jeszcze. Oboje doszli stopniowo do owych niewytłumaczonych stanów, w których spokój daje zmysłom tak subtelną wrażliwość, że najłżejszy wstrząs wyciska łzy i przelewa się smutkiem, gdy serce tonie w melancholii, lub daje niewysłowione rozkosze, gdy tonie w otchłaniach miłości. Julia ścisnęła prawie mimo woli dłoń przyjaciela. Ten wymowny uścisk dodał odwagi nieśmiałości kochanka. Szczęście tej chwili, nadzieje przyszłości, wszystko stopiło się w pierwszej pieszczocie, w czystym i skromnym pocałunku, który pani d'Aiglemont pozwoliła uszczknąć na swych licach. Im niklejsza była ta łaska, tym była silniejsza i niebezpieczniejsza. Nieszczęściem dla obojga, nie było w tym udania ani fałszu. To była komunია dwojga pięknych dusz rozdzielonych wszystkim, co się zowie prawem, złączonych wszystkim, co jest głosem natury. W tej chwili wszedł generał d'Aiglemont.

— Ministerium upadło — rzekł. — Twój wujaszek wchodzi do nowego gabinetu. Masz wszelkie szanse zostać teraz ambasadorem, Vandenesse.

Karol i Julia spojrzeli na siebie zarumienieni. Ten obopólny wstyd był również węzłem. Oboje mieli tę samą myśl, ten sam wyrzut, straszliwy węzeł, równie silny między zbrodniarzami, którzy zamordowali człowieka, jak między dwojgiem kochanków winnych pocałunku. Trzeba było odpowiedzieć margrabiemu.

— Nie chcę opuszczać Paryża — rzekł Karol Vandenesse.

— Wiemy czemu — odparł generał z chytrą miną człowieka, który odkrył tajemnicę.

— Nie chcesz opuszczać wuja, aby wymóc na nim dziedzictwo jego parostwa.

Margrabina uciekła do swego pokoju, druzgocząc męża w myśli tym straszliwym słowem:

„Nie! On jest zanadto głupi!”

#### IV. PALEC BOŻY

Między rogatką *Włoską* a rogatką *de la Santé*, na bulwarze wiodącym do botanicznego ogrodu, istnieje miejsce godne zachwyty artysty lub podróżnika najbardziej oswojonego z pięknymi widokami. Doszedłszy do lekkiej wyniosłości, od której bulwar, zacieniony wielkimi drzewami, posiada wdzięk cichej leśnej alei, ujrzycie u swoich stóp głęboką dolinę, zaludnioną na wpół wiejskimi zabudowaniami, usianą zielonością, zroszoną ciemnymi wodami Bièvre lub Gobelinów. Po przeciwnej stronie kilka tysięcy dachów stłoczonych jak głowy tłumu kryje nędzę przedmieścia Saint-Marceau. Wspaniała kopuła Panteonu, mroczna i melancholijna katedra Val-de-Grâce sterczą dumnie nad miastem rozłożonym

w kształt amfiteatru, którego stopnie tworzą dziwacznie pokręcone ulice. Te dwie budowle wydają się stamtąd olbrzymie; miażdżą i nikłe domki, i najwyższe topole. Na lewo Obserwatorium, przez którego okna i krużganki przenika fantastyczna gra światła, wygląda niby czarny i odarty z ciała upiór. Następnie w oddali smukła latarnia Inwalidów płonie między błękitniejącą masą Luksemburgu a szarymi wieżami Saint-Sulpice. Widziane stamtąd zarysy architektury splatają się z roślinnością, z tymi cieniami, zależnie od kaprysów nieba, które wciąż zmienia barwę, światło i ton. Z dala od was horyzont zaludniają budowle; dookoła was wiją się falujące drzewa, wiejskie ścieżki. Po prawej, przez szerokie okno w tym dziwnym pejzażu widzicie białą taflę kanału Saint-Martin oprawną w czerwone szyby, strojną lipami, okoloną istic rzymskimi konstrukcjami Spichlerzy. Hen, na ostatnim planie mgliste wzgórze Belleville usiane domami i młynami łączą swoje kontury z liniami obłoków.

Istnieje wszakże miasto, którego nie widzicie, między szeregiem dachów okalającym dolinę a tym horyzontem tak mglistym jak wspomnienia dzieciństwa: olbrzymie miasto, zgubione niby w przepaści między dachami szpitala *Pitié* a szczytem cmentarza, między cierpieniem a śmiercią. Miasto to wydaje głuchy szum, podobny szumowi oceanu, który huczy za skałami, jak gdyby mówiąc: „Jestem tutaj”. Kiedy słońce rzuci strumień światła na tę część Paryża, kiedy przelśni jej zarysy, kiedy zapali nieco szyb, poweseli dachówki, rozżarzy złote krzyże, pobielili mury i przeobrazi powietrze w gazową zasłonę, kiedy zabawi się wspaniałą grą fantastycznych cieni, kiedy niebo jest lazurowe, a ziemia drży, kiedy dzwony przemówią, wówczas możecie podziwiać z tego punktu jedną z owych czarownych feerii, której wyobrażenia nie zapomni nigdy, za którą będziecie szaleć jak za cudownym widokiem Neapolu, Sztambułu lub Florydy. Żadnej nuty nie brak temu koncertowi. Tam szmerze głos świata i poetyczny spokój samotności, głosy miliona istnień i głos Boga. Tam spoczywa stolica, złożona pod cichymi cyprysami *Père-Lachaise*.

W wiosenny poranek, gdy słońce rozżalało wszystkie cudzy widnokregu, podziwiałem je, wsparty o wielki wiąz, z którego żółtymi kwiatami igrał wietrzyk. Następnie na widok tych bogatych i wspaniałych obrazów myślałem z goryczą, jaką my wzgardą krzywdzimy, nawet w książkach, naszą ojczyznę. Przeklinałem owych biednych bogaczy, którzy zbrzydziwszy sobie piękną Francję, jadą kupować na wagę złota prawo pogardzenia własnym krajem, zwiedzając w galopie i oglądając przez lornetkę widoki Włoch, tak już pospolitych. Patrzałem z miłością na nowoczesny Paryż, marzyłem, kiedy nagle odgłos pocałunku zakłócił mą samotność i spłoszył całą filozofię. W alei biegnącej szczytem wzgórze, u którego stóp drży woda, spojrzawszy ku mostowi Gobelinów, spostrzegłem kobietę dosyć jeszcze młodą, ubraną z wykwitną prostotą, której łagodna fizjonomia odbijała niejako pogodnie szczęście krajobrazu. Piękny kawaler postawił na ziemi najładniejszego chłopczyka, jakiego sobie można wymarzyć, tak że nigdy nie mogłem dojść, czy pocałunek rozlecił się na licach matki czy dziecka. Jedna myśl ożywiona czułością błyszczała w oczach, gestach, uśmiechu dwojga młodych ludzi. Zapletli ramiona z taką radosną chyżością, zbliżyli do siebie z tak doskonałym porozumieniem, że, zatopieni w sobie, nie spostrzegli nawet mojej obecności. Ale drugie dziecko, niezadowolone, odwrócone od nich plecami, rzuciło mi przejmujące spojrzenie. Pozwalając braciszkiwi biegać samemu, to naprzód, to za matką i młodym kawalerem, dziecko to, ubrane jak tamto drugie, równie wdzięczne, ale delikatniejsze, stało nieme, bez ruchu, w postawie uśpionego węża. Była to dziewczynka.

Przechadzka młodej kobiety i jej towarzysza miała coś machinalnego. Nie wychodząc, może przez roztargnienie, z przestrzeni między mostkiem a powozem czekającym na zakręcie bulwaru, wciąż kręcili się w miejscu, przystając, patrząc na siebie, śmiejąc w miarę rozmowy, na przemian ożywionej, słabnącej, wesołej lub poważnej.

Ukryty za grubym wiązem podziwiałem tę rozkoszną scenę, byłbym z pewnością uszanował jej tajemnicę, gdybym na twarzy zadumanej i milczącej dziewczynki nie spostrzegł śladów myśli ponad jej wiek. Kiedy matka i młody człowiek zawracali, doszedłszy do niej, pochylała głowę i rzucała na nich, jak również na brata ukradkowe spojrzenie doprawdy zdumiewające. Ale nic nie zdołałoby oddać przenikliwego sprytu, złośliwej naiwności, dzięki uwagi, ozywających tę dziecięcą twarz z lekko podkrążonymi oczyma, kiedy ładna kobieta lub jej towarzysz gładzili blond kędziory, ściskali tkliwie świeżą szyjkę i białe kołnierzyk chłopca, gdy chwilami z pustoty próbował dotrzymać im kroku. Była niewąt-

Dziecko

pliwie namiętność dorosłego człowieka na drobnej twarzy tej szczególnej dziewczynki. Cierpiała lub myślała. Co pewniej wróży śmierć u tych ledwie rozkwitających istotek? Cierpienie czające się w ciele czy przedwczesna myśl pożerająca ich zaledwie kiełkującą duszę? Matka wie to może. Co do mnie, nie znam nic straszliwszego niż myśl starca na czole dziecka: bluźnierstwo na ustach dziewicy mniej jest potworne! Toteż w pół odrętwiała postawa tej już myślącej dziewczynki, opanowanie gestów, wszystko to zainteresowało mnie. Przyglądałem się jej ciekawie. Przez wrodzony popęd obserwatora porównywałem ją z bratem, starając się pochwycić podobieństwo i różnice. Dziewczynka miała ciemne włosy, czarne oczy i przedwczesny wyraz siły tworzący wymowny kontrast z włosami blond, z oczami zielonymi jak morze i subtelnym wdziękiem chłopca. Ona mogła mieć siedem lub osiem lat, on ledwie sześć. Ubrani byli jednak. Jednakże przyglądając się bacznie, zauważyłem w kołnierzykach u koszul różnicę dość drobną, ale która później odsłoniła mi cały romans w przeszłości, cały dramat w przyszłości. Była to w istocie drobnostka. Kołnierzyk dziewczynki był po prostu obrębiony skromnym szlakiem, gdy bogaty hacfik stroił kołnierzyk chłopca. Szczegół ten zdradzał sekret serca, ciche wyróżnienie, które dzieci czytają w duszy matek, jak gdyby mieszkał w nich duch boży. Wesoly i beztroski blondas niemal wyglądał na dziewczynkę, tak biała jego skóra była świeża, tyle jego ruchy miały wdzięku, a fizjonomia słodczy; gdy dziewczynka mimo swej siły, mimo piękności rysów i blasku cery wyglądała na chorowitego chłopca. Jej żywe oczy, pozbawione owej wilgotnej mgły, która daje tyle uroku spojrzeniom dziecka, zdawały się, jak oczy dworaków, trawione wewnętrznym ogniem. Wreszcie białosc jej miała jakiś matowy, oliwkowy odcień, świadczący o silnym temperamencie.

Dwa razy braciszek ofiarowywał jej z ujmującym wdziękiem, z uroczym spojrzeniem trąbkę myśliwską, w którą dął od czasu do czasu; ale za każdym razem, na jego pieszczotliwie: „Masz, Helenko, chcesz?” odpowiadała jedynie ponurym spojrzeniem. Dzika i groźna pod obojętną na pozór miną, dziewczynka drgała i płonila się, ilekroć brat się zbliżył; ale chłopiec nie widział ponurości siostry, a rozbawienie jego tym bardziej podkreślało kontrast prawdziwego dziecięctwa z dojrzałą zatroskaną wiedzą wypisaną już na twarzy dziewczynki i powlekającą ją czarnymi chmurami.

— Mamo, Helenka nie chce się bawić — wykrzyknął ze skargą malec, korzystając z chwili, gdy matka i młody człowiek przystanęli w milczeniu na moście Gobelinów.

— Daj jej pokój, Karolku. Wiesz przecie, że z niej jest zawsze mruk.

Słowa te, rzucone bez myśli przez matkę, która odwróciła się z młodym człowiekiem, wycisnęły łzy Helence. Połknęła je w milczeniu i objęła brata głębokim spojrzeniem, którego nie umiałem sobie wytłumaczyć. Ze złowrogą inteligencją zmierzyła oczami wzgórze, na którego szczycie znajdował się chłopiec, potem rzeczkę, most, krajobraz i mnie.

Bałem się, aby mnie nie spostrzegła szczęśliwa para, której byłbym zmałował swobodę; usunąłem się z cicha i schroniłem się za krzakiem bzu, którego liście skryły mnie całkowicie. Siadłem spokojnie na szczycie wzgórza, patrząc w milczeniu to na mieniący się krajobraz, to na młodą dzikuskę, którą mogłem jeszcze dojrzeć poprzez gałęzie. Skoro Helenka straciła mnie z oczu, zdawała się niespokojna; czarne jej oczy szukały mnie w alei, za drzewami, z niepojętą ciekawością. Czymże ja byłem dla niej? W tej chwili dziecięcy śmiech Karolka rozległ się w ciszy niby śpiew ptaka. Piękny młodzieniec, jasnowłosy jak on, huśtał go i tulił w ramionach, przemawiając doń owymi spieszczonymi słówkami, jakimi często mówi się do dzieci. Matka uśmiechała się do tych igraszek; od czasu do czasu szeptała coś, co musiało płynąć z serca, gdyż towarzysz zatrzymywał się uszczęśliwiony i patrzył na nią błękitnymi oczami pełnymi uwielbienia. Głosy ich zmieszane z głosem dziecka miały coś pieszczotliwego. Byli rozkoszni wszyscy troje. Ta uroczą sceną wśród wspaniałego krajobrazu rozlewała nieopisaną słodycz. Kobieta piękna, biała, roześmiana, dziecię miłości, mężczyzna promieniejący młodością, czyste niebo, słowem wszystkie harmonie przyrody łączyły się ku rozradowaniu duszy. Mimo woli uśmiechnąłem się, jak gdyby to szczęście było moim.

Piękny młodzieniec usłyszał, że bije dziewiąta. Uściskawszy czule towarzyszkę, spoważniała, niemal smutną, zwrócił się ku faetonowi, który posuwał się z wolna, prowadzony przez starego sługę. Szczebiot ukochanego dziecka wmieszał się w ostatnie pocałunki, jakimi okrył je młody człowiek. Następnie, kiedy już wsiadł do powoziku, kiedy kobieta nieruchoma słuchała oddalającego się turkotu, goniąc wzrokiem wznoszący się tuman

kurzu, Karolek przybiegł do siostry koło mostu; usłyszałem, jak pytał srebrnym grosikiem:

— Czemu nie przyszedł pożegnać się z moim przyjacielem?

Widząc brata na zboczcu wzgórza, Helena objęła go najstraszliwszym spojrzeniem, jakie zapłonęło kiedy w oczach dziecka i pchnęła wściekłym ruchem. Karolek poślizgnął się na stromym spadku, zaczepił się o korzeń, potoczył się na ostre kamienie muru, rozbił sobie czoło, po czym skrwawiony wpadł w błotnisty nurt rzeki. Fala rozprysnęła się tysiącem ciemnych strumieni pod jasną główką. Usłyszałem przeszywający krzyk malca, ale niebawem głos jego zamarł, zduszony w bajorze, gdzie znikł, wydając ciężki łoskot niby kamień idący na dno. Upadek ten był szybki jak błyskawica. Zerwałem się i zbiegłem ścieżką. Helena osłupiała krzyczała wniebogłosy:

— Mamo! Mamo!

Matka była już przy mnie. Przyleciała jak ptak. Ale ani oczy matki, ani moje nie mogły rozpoznać miejsca, gdzie dziecko utonęło. Czarna woda kłębiła się na ogromnej przestrzeni. Koryto ma w tym miejscu dziesięć stóp błota. Dziecko musiało zginąć, niepodobna było go ratować. O tej godzinie w niedzielę wszystko spoczywało. Na Bièvre nie ma czołen ani rybaków. Nie dostrzegłem nigdzie ani żerdzi, aby zgruntować cuchnącą rzekę, ani nikogo w oddali. Po cóż miałbym tedy mówić o strasznym wypadku lub zdradzać sekret tego nieszczęścia? Helena pomściła może ojca. Zazdrość jej była zapewne mieczem bożym. Zadrzałem wszakże, spojrzawszy na matkę. Na jakież straszne śledztwo weźmie ją jej wieczny sędzia, mąż? A ona wlecze za sobą nieprzedajnego świadka. Dziecko ma przejrzyste czoło, przeźroczyście cerę; kłamstwo jest niby światłem, które rumieni nawet jego spojrzenie. Nieszczęśliwa kobieta nie myślała jeszcze o męce, jaka ją czeka w domu. Patrzała na rzekę.

Podobny wypadek musi wydawać straszliwe podziwki w życiu kobiety, a oto jedno z najstraszliwszych ech, jakie od czasu do czasu zakłócały miłość Julii.

W dwa czy trzy lata później, pewnego wieczora, po obiedzie u margrabiego de Vandenesse, noszącego wówczas żalobę po ojcu i zajętego regulowaniem spadku, znajdował się rejent. Nie był to ów mały rejent z powieści Sterne'a, ale wielki i tłusty rejent paryski, jeden z owych szanowanych ludzi, którzy robią głupstwa z namysłem, stąpają ciężką nogą na tajemną ranę i dziwią się, gdy kogoś boli. Jeśli przypadkiem dowiedzą się sekretu swego morderczego głupstwa, powiadają: „Dalibóg, nie wiedziałem!”. Słowem, był to rejent uczciwie głupi, który widział w życiu jedynie *akty*. Dyplomata siedział obok pani d'Aiglemont. Generał wyszedł uprzejmie przed końcem obiadu, aby zaprowadzić dzieci gdzieś do teatryku, do *Ambigu-Comique* czy do *Gaieté*. Melodramaty, mimo iż podniecają nerwy, uchodzą w Paryżu za widowisko stosowne dla dzieci i niewinne, ponieważ niewinność tryumfuje w nich zawsze. Ojciec wyszedł, nie czekając deseru, tak bardzo dzieci męczyły go, aby się znaleźć w teatrze przed podniesieniem kurtyny.

Rejent, niewzruszony rejent, niezdolny zadać sobie pytania, czemu pani d'Aiglemont wyprawia do teatru dzieci i męża, a sama nie idzie z nimi, siedział po obiedzie jak przykuty do krzesła. Dyskusja przeciągnęła się przy wetach w nieskończoność, a służba spóźniła się z kawą. Okoliczności te, które kradły czas zapewne cenny, niecierpliwiły młodą kobietę: rzekłbyś rasowy koń parszkający przed biegiem. Rejent, który się nie znał ani na koniach, ani na kobietach, widział po prostu w margrabinie żywą i ruchliwą osobę. Uszczęśliwiony, że się znalazł w towarzystwie młodej kobiety i sławnego męża stanu, rejent silił się na dowcip; brał za uznanie zdawkowy uśmiezek margrabiny — którą niecierpliwił bez miary — i jechał dalej. Już parę razy pan domu wraz ze swą towarzyszką pozwolili sobie zachować wymowne milczenie tam, gdzie rejent spodziewał się komplementu; ale w czasie tych znaczących pauz piekielny człowiek patrzył w ogień, szukając w myśli nowych anegdotek. Następnie dyplomata zaczął spoglądać na zegarek. W końcu piękna pani włożyła kapelusz niby do wyjścia i nie wychodziła. Rejent nie widział nic, nie słyszał nic, był zachwycony sam sobą, pewien, że to on interesuje margrabinę tak, że nie pozwala jej wyjść.

„Z pewnością ta kobieta zostanie moją klientką” — myślał.

Margrabina wstała, kładła rękawiczki, wylamywała sobie palce i spoglądała raz po raz na pana domu, który dzielił jej niecierpliwość, to znów na rejenta, który raz po raz wyjeżdżał z ciężkim dowcipem. Za każdą pauzą, jaką czynił ten zacny człowiek, piękna para oddychała mówiąc na migi: „Nareszcie sobie pójdzie!”. Ale nie. Była to prawdziwa z mora; musiała w końcu doprowadzić do ostateczności i zmusić do jakiejś impertynencji te dwie namiętne istoty, na które rejent działał jak wąż na ptaki. W pełni opowiadania o niegodziwych środkach, jakimi du Tillet, wówczas wzięty finansista, doszedł do majątku (przy czym bystry rejent wyszczególniał drobniawo jego bezceństwa), dyplomata usłyszał, że bije dziewiąta. Zrozumiał, że rejent jest skończonym cymbałem, którego trzeba po prostu wyprawić za drzwi, i przerwał mu nagłym gestem.

— Pan chce szczypczyków, panie margrabio? — rzekł rejent, podając je klientowi.

— Nie, drogi panie, ale jestem zmuszony pana pożegnać. Pani pragnie się udać za dziećmi do teatru, a ja będę miał zaszczyt jej towarzyszyć.

— Już dziewiąta! Czas biegnie szybko w towarzystwie tak miłych osób — rzekł rejent, który od godziny mówił sam.

Poszukał kapelusza, przystanął przed kominkiem, z trudem wstrzymując czkawkę, i rzekł do swego klienta, nie widząc piorunujących spojrzeń margrabiny:

— Streśćmy się zatem, panie margrabio. Interesy przede wszystkim. Jutro prześlemy wezwanie pańskiemu bratu, aby być wobec niego w porządku, przystąpimy do inwentarza, po czym...

Rejent tak źle zrozumiał intencję klienta, że zamierzał postąpić wręcz sprzecznie z instrukcjami. Sprawa była zbyt drażliwa. Vandenesse próbował mimo woli oświecić tępego rejenta, z czego wywiązała się dłuższa dyskusja.

— Słuchaj pan — rzekł w końcu dyplomata, widząc znaki młodej kobiety — nie mam dziś głowy na to, niech pan przyjdzie jutro o dziewiątej z moim adwokatem.

— Ale mam zaszczyt zwrócić uwagę pana margrabiego, że nie jesteśmy pewni, czy zdołamy przyłapać jutro pana Desroches, a jeśli wezwania nie wyślemy jutro przed południem, termin minie i...

W tej chwili powóz zaturkotał w dziedzińcu. Słyszając to, biedna kobieta odwróciła się żywo, aby ukryć łzy cisnące się jej do oczu. Margrabia zadzwonił, by oznajmić, że go nie ma w domu; ale generał, który nagle wrócił z *Gaieté*, wyprzedził kamerdynera i wszedł, prowadząc jedną ręką zapłakaną córkę, a drugą nadąsanego i zmartwionego chłopczyka.

— Co się stało? — spytała margrabina.

— Później ci powiem — odparł generał, przechodząc do buduaru, gdzie spostrzegł przez otwarte drzwi dzienniki.

Margrabina zniecierpliwiona rzuciła się z rozpaczą na kanapę.

Rejent, który uważał za swój obowiązek pocackać się z dziećmi, przybrał pieszczony głosik, aby spytać chłopczyka:

— I cóż, mój mały, co dawano w teatrze?

— *Dolinę nad Potokiem* — odparł Guccio nadąsany.

— Słowo honoru — rzekł rejent — dzisiejsi autorowie to zupełni wariaci! *Dolina nad potokiem!* Czemu nie *Potok w dolinie?* Nie każda dolina ma potok, kiedy zaś się powie *Potok w dolinie*, autor powiedziałby coś jasnego, określonego, zdecydowanego, zrozumiałego. Ale mniejsza. A teraz, jak może się rozegrać dramat w potoku w dolinie? Powiecie państwo, że dzisiaj główny urok tego rodzaju widowisk polega na dekoracjach, a ten tytuł zwiastuje coś malowniczego. Dobrze się bawiłeś, kawalerze? — dodał, przysiadając przed dzieckiem.

— O tak, proszę pana, bardzo — odparło dziecko. — Był w tej sztuce mały chłopczyk, bardzo ładny, który był sam na świecie, tatuś nie mógł być jego ojcem. I oto kiedy przyszedł na most nad potokiem, wielki paskudny brodac, ubrany cały czarno, rzucił go do wody. Helenka zaczęła wówczas płakać, szlochać, cała sala zaczęła na nas krzyczeć i tatuś zabrał nas z teatru...

Pan de Vandenesse i margrabina stali oboje w osłupieniu, jak gdyby rażeni bezwładem, który im odjął siłę myślenia i działania.

— Gucciu, cicho bądź — krzyknął generał. — Zabroniłem ci mówić, co było w teatrze, a ty zapomniałeś, com ci mówił.

— Niech Wasza Ekscelencja daruje, panie margrabio — rzekł rejent — to moja wina, że go zapytałem, ale nie wiedziałem, że...

— Nie powinien był odpowiadać — rzekł ojciec, spoglądając oziębłe na syna.

Widoczne było, że dyplomata i margrabina rozumieją dobrze przyczyny tego powrotu. Matka spojrzała na córkę, ujrzała ją we łzach i wstała, aby podejść do niej; ale w tej samej chwili twarz jej ściągnęła się gwałtownie i przybrała wyraz nieubłaganej surowości.

— Dosyć, Heleno, idź osuszyć łzy w buduarze.

— Cóż ona zrobiła, biedna mała? — rzekł rejent, który chciał uspokoić równocześnie i gniew matki, i płacz córki. — Jest taka ładna, że musi być najgrzeczniejszą dziewczynką pod słońcem. Jestem pewny, pani margrabino, że sprawa pani jedynie same pociechy. Nieprawdaż, małeńka?

Helenka popatrzała na matkę drżącą, otarła łzy, starała się uspokoić i uciekła do buduaru.

— A to pewna — mówił wciąż rejent — że pani jest zbyt dobrą matką, aby nie miała kochać jednak swoich dzieci. Jest pani zresztą zbyt cnotliwa, aby robić między nimi owe bolesne różnice, których oplakane skutki możemy obserwować specjalnie my, rejenci. Społeczeństwo przechodzi przez nasze ręce; toteż widzimy namiętności w najohydniejszej formie: *interesów*. Tu matka chce wydziedziczyć dzieci męża na rzecz dzieci, które są jej bliższe; gdy ze swej strony mąż stara się niekiedy zabezpieczyć swój majątek dziecku znienawidzonemu przez matkę. I dopiero zaczynają się walki, podchody, akty, fikcyjne sprzedaże, kontrrewersy, fideikomisy, słowem straszliwy bigos, słowo honoru, straszliwy! Tam znów ojciec stara się wydziedziczyć dzieci, kradnąc majątek żony... Tak, *kradnąc*, nie można rzec inaczej, to jedyne określenie. Mówiliśmy o dramacie; och, zaręczam państwu, gdybyśmy mogli zdradzić tajemnicę pewnych donacji, nasi autorowie mogliby z tego skłecić potworne dramaty rodzinne. Nie wiem, jakich sposobów używają kobiety, aby robić zawsze to, co chcą, bo mimo pozorów słabości zawsze one zwyciężają. Ho, ho, mnie nie wywiodą w pole. Zawsze umiem przejrzeć przyczynę tych wyróżnień, które w świecie nabywa się grzecznie *niewy tłumaczonymi!* Ale mężowie (trzeba im oddać tę sprawiedliwość) nie domyślają się niczego nigdy. Odpowiedzcie mi państwo, że jest to łaska osobli...

Helena, która wróciła z ojcem do salonu, słuchała uważnie reagenta i rozumiała go tak dobrze, że patrzyła na matkę z lękiem, przeczuwając nieomylnym dziecięcym instynktem, że ta okoliczność ściągnie na nią zdwojone rygory. Matka zbladła, wskazując margrabiemu tragicznym gestem męża, który wpatrywał się w dywan. W tej chwili dyplomata mimo swoich form nie mógł się wstrzymać i zmiażdżył reagenta piorunującym spojrzeniem.

— Niech pan pozwoli — rzekł, kierując się żywo do przyległego pokoju.

Rejent udał się za nim drżąc, nie dokończywszy zdania.

— Panie — rzekł ze zdławioną wściekłością margrabia de Vandenesse, zamknąwszy gwałtownie drzwi od salonu, gdzie zostawił generała z żoną; od obiadu robi pan i mówi same głupstwa. Na miły Bóg, niech już pan sobie idzie, bo w końcu sprawiłbyś nieszczęście. Jeżeli pan jesteś dobrym reagentem, siedź w swojej kancelarii, ale gdy przypadkowo znajdziesz się między ludźmi, staraj się być ostrożniejszy...

Wrócił do salonu, nie pożegnawszy się z reagentem. Ten stał jakiś czas oszołomiony, zdumiony, nie wiedząc, gdzie się znajduje. Kiedy ustąpił gwałtowny szum, który czuł w uszach, zdawało mu się, że słyszy jęki, kroki w salonie, gwałtowne dzwonki. Obiegł go strach, aby nie spotkać margrabiego; zebrał, co miał sił w nogach, aby się wymknąć i dotrzeć do schodów; ale na progu natknął się na służbę, która pędziła po rozkazy pana.

— Oto jacy oni są wszyscy, ci wielcy panowie — mruczał, znalazłszy się na ulicy i rozglądając się za dorożką. — Wciągają cię do rozmowy, zachęcają komplementami, myślisz, żeś ich zabawił, aha, właśnie! Robią ci impertynencje, zamykają ci gębę, wyprawiają cię bez ceremonii za drzwi. Co do mnie, byłem bardzo na miejscu, wszystko, com mówił, było rozsądne, grzeczne, przyzwoite. Daję słowo, on mi mówi, żebym był ostrożniejszy: to dobre, mnie uczyć ostrożności! Cóż u licha, jestem reagentem i członkiem izby notarialnej. Et, chimery ambasadorskie, dla tych ludzi nie ma nic świętego. Jutro mi wytłumaczy, w czym ja to mówiłem i robiłem same głupstwa. Musi mi za to, to jest na to odpowiedzieć. Ostatecznie, może ja niepotrzebnie... Et, co ja sobie głowę będę łamał! Co mnie to obchodzi?

Rejent wrócił do domu i poddał tę zagadkę swojej rejencinie, opowiadając punkt po punkcie zdarzenia wieczoru.

— Mój drogi, pan ambasador miał najzupełniejszą słuszność, mówiąc, żeś robił i gadał same głupstwa.

— Czemu?

— Choćbym ci powiedziała, to by ci nie przeszkodziło zacząć jutro na nowo. Zresztą radzę ci jeszcze raz, żebyś w towarzystwie mówił tylko o interesach.

— Jeżeli ty mi nie chcesz powiedzieć, spytam jutro...

— Mój Boże, najgłupszy ludzie starają się ukryć podobne rzeczy, a ty myślisz, że ambasador ci je powie. Doprawdy, nigdy jeszcze nie bredziłeś tak jak dzisiaj.

— Dziękuję ci, moje serce!

## V. DWA SPOTKANIA

Ex-oficer ordynansowy Napoleona, którego nazwiemy po prostu margrabią albo generałem, a który za Restauracji zaszedł wysoko, przybył na lato do Wersalu, gdzie mieszkał w pałacyku między kościołem a rogatką Montreuil, opodal alei wiodącej do Saint-Cloud. Urząd dworski nie pozwalał mu się oddalać od Paryża.

Pałacyk ten, przeznaczony niegdyś na gniazdko dla przelotnej miłostki magnata, rozbudowany był szeroko. Ogrody, w których się chował, dzieliły go zarówno od domów Montreuil, jak i od chat wznoszących się w pobliżu rogatki; tak iż nie będąc nadto odosobnieni, właściciele tej willi kosztowali o dwa kroki od miasta słodczy samotności. Przez osobliwy kaprys front i brama wychodziły bezpośrednio na drogę, która dawniej była może mało uczęszczana. Przypuszczenie to zyskuje na prawdopodobieństwie, jeśli sobie uprzytomnić, że droga ta kończy się przy rozkoszonym domku zbudowanym przez Ludwika XV dla panny de Romans, a nim się tam dojdzie, ciekawi widzą tu i ówdzie niejednego pałacyk, którego wnętrze i ozdoby zdradzają inteligentną rozpustę naszych przodków. Bądź co bądź, w rozpuszcie, o którą się ich wini, szukali oni cienia i tajemnicy.

W zimowy wieczór margrabia, jego żona i dzieci znajdowali się sami w tym odludnym domu. Służbie pozwolono iść do Wersalu na jakieś wesele. Sądząc, że święto Bożego Narodzenia, schodzące się z tą uroczystością, będzie dostateczną wymówką wobec państwa, nie robili sobie skrupułów z przeciągnięciem zabawy dłużej, niż tego dozwalał domowy regulamin. Ponieważ jednak generał znany był z tego, że dotrzymywał nieubłagane słowa, skoro tedy minęła nakazana godzina, nieposłuszni tancerze doznawali pewnego niepokoju. Jedenasta wybiła, a jeszcze nikt ze służby nie wrócił. Głęboka cisza pozwalała chwilami słyszeć wiatr świszczący w czarnych gałęziach, wyjący wkoło domu lub hulający po długich korytarzach. Mróz tak oczyścił powietrze, ściał ziemię i stężył bruk, że każdy odgłos nabierał niesamowitej dźwięczności. Ciężki krok zapóźnionego pijaka, turkot dorożki wracającej do Paryża rozlegały się głośniejsz i bliżej niż zwykle. Zeschłe liście wprawione w taniec nagłym podmuchem drżały na bruku, użyczając głosu nocy, gdy chciała zaniemieć. Był to jeden z owych mroźnych wieczorów, które wydzierają naszemu samolubstwu jałowe westchnienie nad biedakiem lub nad podróżnym i umilają nam sąsiedztwo kominka. W tej chwili rodzina skupiona w salonie nie troszczyła się ani o nieobecność służby, ani o ludzi bez dachu nad głową, ani o poezję, jaką iskrzy się noc zimowa. Nie filozofując daremnie, ufne w opiekę starego żołnierza kobiety i dzieci oddawały się rozkoszy, jaką daje życie rodzinne, kiedy uczucia płyną swobodnie, kiedy szczerłość i przywiązanie dają urok rozmowie, spojrzeniom i zabawom.

Generał siedział lub, mówiąc ściślej, tonął w berzerce przy kominku, z którego tęgi ogień rozlewał owo wnikliwe ciepło, oznakę szczególnego zimna na dworze. Oparta o fotel i lekko pochylona głowa tego poczciwego ojca przybrała pozę głębokiego spokoju, luby wyraz szczęścia. Ręce jego, miękko zwisając z poręczy, podkreślały jeszcze ten wyraz. Spoglądał na najmłodsze z dzieci, na chłopca liczącego ledwie pięć lat, który wpół nagi nie pozwalał się rozebrać matce. Chłopiec uciekał przed koszulką i czepeczkiem, którymi matka groziła mu co chwilę. Przytrzymał rączkami haftowany kołnierzyk, śmiał się do matki, kiedy go wołała, widząc, że i ona się śmieje z tego dziecięcego buntu. Wówczas zaczynał się na nowo bawić z siostrzyczką, równie naiwną, ale sprytniejszą od niego. Dziewczynka mówiła wyraźniej od chłopca, którego paplanie zaledwie było zrozumiałe

dla rodziców. Mała Moina, starsza o dwa lata, budziła swymi kobiecymi już zaczepkami ciągle śmiechy, które strzelały jak race, na pozór bez przyczyny; ale patrząc na ich dwoje, jak się tarzali przed ogniem, pokazując bez wstydu pulchne ciała, swoje białe i delikatne kształty, mieszając pukle jasnych i ciemnych włosów, przyciskając do siebie różowe twarzyczki, w których wesołość żłobiła naiwne dołeczki, z pewnością ojciec, a zwłaszcza matka rozumieli te małe duszyczki, dla nich już wyraźne, dla nich grające życiem. Te dwa aniołki żywością wilgotnych oczu, błyszczących policzków, białej cery gasiły kwiaty puszystego dywanu, po którym się tulały, wywraçały, mocowały, taczały bez niebezpieczeństwa.

Siedząc na kozetce po drugiej stronie kominka, na wprost męża matka miała wkoło siebie porozrzucane ubranka i czekała z czerwonym trzewiczkiem w ręku, w swobodnej pozie. Rzekoma jej surowość zamierała w łagodnym uśmiechu. W trzydziestym szóstym roku zachowała jeszcze swą piękność, dzięki rzadkiej doskonałości rysów twarzy, którą ciepło, światło i szczęście rozjaśniały w tej chwili szczególnym blaskiem. Często odwracała oczy od dzieci, aby spocząć pieszczotliwym wzrokiem na poważnej twarzy męża. Czasami oczy małżonków, spotykając się, wymieniały nieme uciechy i głębokie refleksje. Generał miał twarz silnie ogorzałą. Na szerokie i szlachetne jego czoło spadało parę kosmyków siwizny. Męski blask błękitnych oczu, odwaga wypisana w zmarszczkach przywiedłych lic, świadczyła, że ciężkim trudem nabył czerwoną wstążeczkę błyszczącą w kłapie surduta. W tej chwili niewinne uciechy dzieci odbijały się na dzielnej i energicznej fizjonomii, z której widniała dobroduszość i poczciwość. Ten stary wódz stał się dzieckiem bez wielkiego wysiłku. Czyż nie znajdzie się zawsze trochę sympatii do dzieci u żołnierzy, którzy dosyć poznali kłęk życia, aby umieć ocenić niedole siły i przywileje słabości?

Dalej, przy okrągłym stole oświetlonym lampą, której żywe światło walczyło z mdłym blaskiem świec stojących na kominku, siedział trzynastoletni chłopiec i obracał szybko kartki wielkiej książki. Krzyki rodzeństwa nie przeszkadzały mu, a twarz jego wyrażała młodzieńczą ciekawość. Głębokie to zajęcie usprawiedliwiały cuda *Tysiąca i jednej nocy* oraz mundur studencki. Siedział w skupionej pozie, z łokciami na stole, z głową wspartą na ręce, której białe palce odcinały się od ciemnych włosów. Światło padające mu na twarz i zostawiające resztę postaci w cieniu, dawało mu podobieństwo do owych ciemnych portretów, w których Rafael odmalował samego siebie, uważnego, pochylonego, myślącego o przyszłości. Między tym stołem a margrabiną rosła i piękna dziewczyna pracowała przy krosienkach, na przemian pochylając i cofając głowę, której artystycznie ułożone hebanowe włosy połyskiwały w świetle. Helena sama była istnym obrazem. Piękność jej odznaczała się rzadkim skojarzeniem wykwintu i siły. Włosy, mimo że podczesane w górę i okalające głowę, były tak bujne, iż buntując się grzebieniowi, kręciły się nad karkiem. Obfite i kształtne brwi odbijały od białego, czystego czoła. Górna warga pod doskonale zarysowanym greckim nosem miała znamiona świadczące o odwadze. Ale ujmująca kragłość kształtów, wytworny owal twarzy, zwłaszcza zaś czystość dziewiczego spojrzenia, dawały tej bujnej piękności słodycz kobiecą, czarującą skromność, jakiej żądamy od tych aniołów pokoju i miłości. Nie było tylko nic wątpliwego w tej dziewczynie; serce jej musiało być równie słodkie, a dusza równie silna, jak kształty jej były wspaniałe, a twarz pociągająca. Była równie milcząca jak jej brat, widocznie pograżona w owej niebezpiecznej zadumie dziewiczej, często uchodzącej uwagi ojca, a nawet bystrości matek. Niepodobna było rozstrzygnąć, czy należy przypisać grze światła, czy też jakimś tajemnym cierpieniem kapryśne cienie, które przesuwają się po jej twarzy niby chmurki po czystym niebie.

I ojciec, i matka zapomnieli w tej chwili zupełnie o dwojgu starszych. Jednakże badawcze oko generała kilka razy spoczęło na niemej scenie, która w głębi przedstawiała pełne wdzięku ziszczenie nadziei rysujących się w igraszkach dzieci na pierwszym planie tego rodzinnego obrazka. Ilustrując życie ludzkie nieznaczną gradacją, postacie te tworzyły żywy poemat. Bogaty sprzęt salonu, różnaitość póż, kontrasty kolorów, przeciwieństwa tych twarzy tak wybitnie rozmaitych wiekiem i rysami, wszystko to dawało tym kartom ludzkim owe bogactwa, jakich żądamy od rzeźby, od malarzy, od pisarzy. Wreszcie zimowa cisza, samotność nocy użyczały swego majestatu temu wzniosłemu i prostemu obrazowi, cudownemu tworowi natury. Życie małżeńskie pełne jest owych świętych



godzin, których czar płynie może z jakiegoś wspomnienia lepszego świata. Niebiańskie promienie tryskają zapewne na tego rodzaju sceny, mające odplącić człowiekowi część jego zgryzot i pogodzić go z istnieniem. Zdaje się wówczas, że wszechświat jest tu, przed nami, pod uroczą postacią, że roztacza swoje wielkie idee ładu i że życie społeczne przemawia w obronie swoich praw, mówiąc nam o przyszłości.

Jednakże mimo roztkliwionego wzroku, jaki rzuciła Helena na rozbawione dzieciaki, mimo szczęścia malującego się na jej twarzy, kiedy spojrzała ukradkiem na ojca, uczucie głębokiej melancholii przebiegało się w jej ruchach, pozie, a zwłaszcza w oczach przesłoniętych długimi rzęsami. Białe i silne ręce, przez które przechodziło światło, dając im różowość przejrzystą i niemal płynną, drżały. Jedyny raz przypadkowo oczy jej spotkały się z oczami matki. Te dwie kobiety porozumiały się wówczas spojrzeniem martwym, zimnym, pełnym szacunku u Heleny, ponurym i groźnym u margrabiny. Helena szybko spuściła oczy na krosienka, żywo pociągnęła igłę i długi czas nie podnosiła głowy, jak gdyby jej była zbyt ciężka. Czy matka była zbyt surowa dla córki i uważała tę surowość za konieczną? Czy była zazdrosna o piękność Heleny, z którą mogła jeszcze rywalizować, ale rozwijając wszystkie powaby toalety? Lub też córka podchwyciła może, jak wiele córek w chwili, gdy stają się jasnowidzące, tajemnice tej kobiety na pozór tak święcie strzegącej obowiązków, tajemnice, o których matka mniemała, iż zagrzebane są w jej sercu jak w grobie?

Helena doszła wieku, w którym czystość serca skłania do surowości przekraczającej miarę. W niektórych duszach błędy przybierają rozmiary zbrodni; wyobrażenia oddziaływa wówczas na sumienie; często wówczas młode dziewczyny przesadzają karę, wedle wagi, jaką przypisują zbrodni. Helena robiła wrażenie, że nie czuje się godna nikogo. Tajemnica jej dawniejszego życia, może wypadek, niezrozumiały zrazu, ale urastający z drażliwością jej inteligencji, wyczulonej jeszcze przez religię, poniżyła ją od jakiegoś czasu romantycznie we własnych oczach. Zmiana ta zaczęła się od dnia, w którym przeczytała w świeżym przekładzie piękną tragedię Schillera *Wilhelm Tell*. Połajawszy córkę, iż wypuściła książkę z rąk, matka zauważyła, że zamęt, jaki wniosła ta lektura w duszę Heleny, płynie ze sceny, w której poeta stwarza pobratymstwo między Wilhelmem Tellem wylewającym krew człowieka, aby ocalić cały naród, a Janem Ojcobójcą. Helena zrobiła się pokorna, nabożna, skupiona; przestała chodzić na bale. Nigdy nie była tak serdeczna dla ojca, zwłaszcza gdy matka nie była świadkiem jej dziewczęcych pieszczot. Mimo to jeżeli istniała oziębłość w stosunku Heleny do matki, objawiała się ona tak subtelnie, że generał, mimo iż bardzo dbający o harmonię w rodzinie, nie spostrzegł jej. Żaden mężczyzna nie byłby dość bystry, aby zgłębić tajnie tych dwóch serc kobiecych; jedno młode i bujne, drugie pełne sprytu i miłości. Jeżeli matka gnębiła córkę zręcznym kobiecym despotyzmem, był on dostrzegalny tylko dla ofiary. Zresztą jedynie wypadki zrodziły ten konflikt nie do rozwiązania. Do owej nocy żaden błysk oskarżenia nie wydarł się z tych dwóch dusz; ale między nimi a Bogiem z pewnością wznosiła się jakaś posępna tajemnica.

— No, Ablu — wykrzyknęła matka, chwytając moment, gdy Moina i Abel, zmęczeni i cisi, uspokoili się — chodź, synku, prędko, trzeba spać...

I patrząc nań stanowczym wzrokiem, wzięła go na kolana.

— Jak to — rzekł generał — już wpół do jedenastej, a służba jeszcze nie wróciła? A, nicponie! Guciu — dodał, zwracając się do syna — dałem ci tę książkę jedynie pod warunkiem, że ją odłożysz o dziesiątej. Powinieneś być ją sam zamknąć o oznaczonej godzinie i iść spać, jak mi przyrzekłeś. Jeśli chcesz być wybitnym człowiekiem, winieneś uczynić ze swego słowa drugą religię i strzec go jak swego honoru. Fox, jeden z największych mówców angielskich, odznaczał się zwłaszcza pięknnością charakteru. Wierność w dotrzymywaniu słowa była jedną z głównych jego zalet. Kiedy był jeszcze dzieckiem, ojciec jego, Anglik starej daty, dał mu lekcję, która na zawsze wyryła się w umyśle dziecka. Będąc w twoim wieku, Fox przyjeżdżał zawsze na wakacje do ojca, który jak wszyscy bogaci Anglicy posiadał rozległy park dokoła zamku. Był w tym parku stary kiosk, który miano rozebrać i zbudować z powrotem w innym miejscu, gdzie był wspaniały widok. Dzieci lubią bardzo patrzeć na burzenie. Mały Fox pragnął przedłużyć o kilka dni wakacje, aby być świadkiem zburzenia kiosku; ale ojciec życzył sobie, aby wrócił do szkoły na dzień oznaczony. Stąd nieporozumienie między ojcem a synem. Matka, jak wszystkie mamusi, trzymała stronę chłopca. Ojciec przyrzekł wówczas uroczyście synowi, że zaczeka ze

zwaleniem kiosku do następnych wakacji. Fox wrócił do kolegium. Ojciec sądził, że przy książce chłopiec zapomni o tej sprawie; kazał rozebrać kiosk i odbudować go gdzie indziej. Uparty chłopak myślał tylko o kiosku. Kiedy przybył do domu, pierwszą myślą było obejrzeć stary budynek. Wrócił na śniadanie bardzo smutny i rzekł: „Oszukałeś mnie, ojciec”. Stary szlachcic odrzekł z pomieszanym i godnością zarazem: „To prawda, synu, ale naprawię błąd. Trzeba dbać o swoje słowo więcej niż o majątek; bo wierność słowu daje majątek, żaden zaś majątek świata nie zmaże plamy, jaką zostawia chybienie słowu”. Ojciec kazał odbudować stary kiosk, jak był wprzód, po czym, odbudowawszy, kazał go zwalić w oczach syna. Niech ci to, Guciu, posłuży za naukę.

Gustaw, który słuchał ojca uważnie, zamknął natychmiast książkę. Nastąpiła chwila ciszy. Generał wziął na ręce Moinę, która mocowała się ze snem, i posadził ją sobie na kolanach. Mała osunęła bezwładną główkę na piersi ojca i usnęła, zawinięta w złote pukle ślicznych włosów. W tej chwili rozległy się na ulicy szybkie kroki i trzy nagłe stukania zbudziły echa domostwa. Te przeciągłe stukania miały wymowę równie jasną, co krzyk człowieka w niebezpieczeństwie życia. Pies podwórzowy zaszczał gwałtownie. Helena, Gustaw, generał i jego żona zadrżeli; ale Abel, którego matka kończyła czesać, i Moina nie rozbudzili się.

— Komuś tam pilno — mruknął generał, kładąc córkę na berzerce.

Wyszedł szybko, nie słysząc próśb żony.

— Mój drogi, nie chodź...

Margrabia wszedł do sypialni, wziął parę pistoletów, zapalił ślepą latarkę, skoczył na schody, zbiegł z szybkością błyskawicy i niebawem znalazł się przy drzwiach, dokąd syn podążał za nim nieustraszenie.

— Kto tam? — spytał.

— Otwórzcie — odparł głos niemal zduszony gwałtownym oddechem.

— Przyjaciel?

— Tak, przyjaciel.

— Czy sam?

— Tak, ale otwórzcie, bo *oni* idą!

Człowiek wślizgnął się do bramy z fantastyczną szybkością cienia, skoro tylko generał uchylił drzwi. Uprzedzając wszelki opór, nieznajomy zatrzaskał drzwi kopnięciem nogi, po czym oparł się o nie, jak gdyby broniąc, aby ich nie otwarto znowu. Generał, który nagłym ruchem podniósł pistolet i latarkę na wysokość piersi nieznajomego, aby go trzymać na wodzy, ujrzał człowieka średniego wzrostu, zawiniętego w obszerne i wlokące się futro, takie jakie noszą starcy, widocznie robione nie na jego miarę. Czy przez ostrożność, czy przypadkiem, czoło zbiega było całkowicie zasłonięte kapeluszem, który mu spadał na oczy.

— Panie — rzekł do generała — niech pan spuści ten pistolet. Nie mam zamiaru zostać tu bez pańskiego pozwolenia, ale jeśli wyjdę, śmierć czeka mnie u rogatki. I co za śmierć! Odpowiedziałby pan za nią przed Bogiem. Proszę pana o gościnę na dwie godziny. Niech pan zrozumie, iż, mimo że błagam cię o to, muszę rozkazywać z całym despotyzmem rozpaczy. Żądam gościnę na sposób arabski. Muszę być dla pana święty, inaczej umrę. Trzeba mi tajemnicy, schronienia i wody. Och, wody! — rzekł chrapliwym głosem.

— Kto pan jesteś? — spytał generał uderzony gorączkową szybkością, z jaką przemawiał nieznajomy.

— A, kto jestem? Więc dobrze, otwórz pan, odchodzę — odparł ów człowiek z wyrazem piekielnej ironii.

Mimo zręczności, z jaką generał manewrował latarkę, mógł ujrzeć jedynie dolną część twarzy; nic w niej nie przemawiało na korzyść tej tak osobliwie żądanej gościnę. Błade policzki drżały, rysy były kurczowo ściągnięte. W cieniu kapelusza oczy błyszczały jak dwie lampy, od których gasło niemal wątłe światło świecy. Jednakże trzeba było odpowiedzieć.

— Panie — rzekł — mowa pańska jest tak dziwna, że na moim miejscu pan sam...

— Rozporządza pan moim życiem — przerwał strasliwym głosem nieznajomy.

— Dwie godziny — rzekł margrabia z wahaniem.

— Dwie godziny — powtórzył tamten.

Ale naraz zerwał z głowy kapelusz gestem rozpaczy, odsłonił czoło i jak gdyby chciał próbować ostatniego środka, objął generała spojrzeniem, którego blask przeszył gospodarza na wskroś. Ten rzut inteligencji i woli podobny był do błyskawicy, był miazdzący jak piorun; są chwile, w których ludzie posiadają niepojętą siłę.

— Więc dobrze, kimkolwiek jesteś, jesteś bezpieczny pod moim dachem — odparł poważnie pan domu, idąc za bezwiednym uczuciem, które człowiek nie zawsze umie sobie wytłumaczyć.

— Niech panu Bóg odpłaci — rzekł nieznajomy z głębokim westchnieniem.

— Czy pan ma broń? — spytał generał.

Za całą odpowiedź, obcy, zaledwie dając mu czas na sprawdzenie, rozchylił płaszcz i zapiał go szybko z powrotem. Był najwidoczniej bez broni, w stroju młodego człowieka, który wraca z balu. Mimo iż rzut oka podejrzliwego wojaka trwał krótko, ujrzał dosyć, aby wykrzyknąć:

— Gdzież, u licha, tak się pan ochlapał w taki suchy czas?

— Znowu pytania! — odparł tamten wyniośle.

W tej chwili margrabia ujrzał syna i przypomniał sobie swoją lekcję o ścisłym przestrzeganiu słowa; zrobiło mu się tak przykro, że rzekł gniewnie:

— Co ty, smarkaczu, tutaj, zamiast leżeć w łóżku?

— Myślałem, że mogę się ojcu przydać w niebezpieczeństwie — odparł Gustaw.

— No, idź do swego pokoju — rzekł ojciec ułagodzony. — A pan — zwrócił się do nieznajomego — proszę za mną.

Stali się niemi jak dwaj gracze nieufający sobie wzajem. Generał zaczął mieć złe przecucia. Nieznajomy ciążył mu już jak zmora; ale związany słowem poprowadził go przez korytarze, przez schody i wpuścił go do wielkiej izby na drugim piętrze, nad salonem. Ta niezamieszkała izba służyła w zimie za suszarnię i nie łączyła się z innym pokojem. Cztery pożółkłe ściany nie miały żadnej ozdoby prócz lichego lusterka zostawionego na kominku przez poprzedniego właściciela oraz wielkiego lustra, które, nie mogąc go nigdzie umieścić, w chwili gdy margrabia się wprowadzał, postawiono na wprost kominka. Podłogi tego obszernego poddasza nie zamiatano nigdy, powietrze było tam lodowate, a dwa stare wygniecione krzesła stanowiły całe umeblowanie. Postawiwszy latarkę na kominku, generał rzekł:

— Pańskie bezpieczeństwo wymaga, abys przyjął za schronienie tę nędzną izbę. A ponieważ masz pan moje słowo, że ci dochowam tajemnicy, pozwolisz, że cię tu zamknę.

Nieznajomy schylił głowę na znak zgody.

— Prosiłem jedynie o schronienie, o tajemnicę i o wodę — dodał.

— Przyniosę panu — odparł margrabia, który zamknął starannie drzwi i zeszedł po omacku po świecę, aby poszukać w kredensie karafki.

— Co się tam stało, mężu? — spytała żywo margrabina.

— Nic, moja droga — odparł obojętnie.

— Ależ słyszałyśmy wyraźnie, że ojciec prowadził kogoś na górę...

— Helenko — rzekł generał, spoglądając na córkę, która podniosła nań oczy — pamiętaj, że honor ojca zależy od twej dyskrecji. Powinnaś nic nie słyszeć.

Młoda dziewczyna odpowiedziała znaczącym skinieniem. Margrabina milczała do tknięta sposobem, jakiego użył mąż, aby jej nakazać milczenie.

Generał poszedł po karafkę i szklankę i udał się do pokoju, w którym znajdował się więzień. Zastał go opartego o ścianę przy kominku, z gołą głową; kapelusz rzucił na krzesło. Nie spodziewał się zapewne, że go oświecą tak silnie. Czoło jego zmarszczyło się, twarz spochmurniała, kiedy oczy jego spotkały przenikliwy wzrok generała; ale niebawem złagodniał i przybrał uprzejmą minę, aby podziękować swemu zbawcy. Kiedy ten postawił karafkę i szklankę na kominku, nieznajomy, objawszy go jeszcze raz płomiennym spojrzeniem, przerwał milczenie:

— Panie — rzekł łagodnie, głosem wolnym już od poprzedniej chryпки, ale zdradzającym mimo to wewnętrzne drżenie — to, o co poproszę, zdziwi pana, wydam się panu dziwakiem. Niech pan daruje konieczności. Jeśli pan zostanie w pokoju, proszę niech mi się pan nie przygląda, gdy będę pił.

Nierad, że musi wciąż słuchać człowieka, który mu się nie podobał, generał odwrócił się szybko. Obcy wydobyl białą chustkę owinał nią sobie prawą rękę; następnie chwycił

karafkę i wypił jednym tchem całą jej zawartość. Nie myśląc łamać obietnicy, margrabia spojrzal machinalnie w lustro; gra dwóch luster pozwoliła mu całkowicie ujrzeć nieznanego. Spozrzegł, jak chustka szczerwienila się nagle od jego rąk pełnych krwi.

— A, patrzyłeś pan! — wykrzyknął ów człowiek, kiedy wypiwszy i zawinąwszy się w płaszcz, zmierzyl generała podejrzliwym spojrzeniem. — Jestem zgubiony. Oni idą, już są tutaj.

— Nie słyszę nic — rzekł margrabia.

— Nie ma pan interesu w tym, aby jak ja słyszeć każdy szelest.

— Czy pan miał pojedynek, że tak jesteś okryty krwią? — spytał generał poruszony widokiem czerwonych plam na odzieży gościa.

— Tak, pojedynek, właśnie — powtórzył obcy z gorzkim uśmiechem.

W tej chwili rozległ się w oddali galop, ale odgłos ten był tak słaby jak brzask poranka. Wprawne ucho generała poznało krok koni wojskowych.

— To żandarmeria — rzekł.

Spojrzal na swego więźnia w sposób zdolny rozproszyć obawy wywołane mimowolną niedyskrecją, wziął światło i wrócił do salonu. Ledwie pożył klucz od suszarni na kominu, kiedy tętent stał się głośniejszy i zbliżył się do domu z szybkością, która przyprawiła generała o drżenie. W istocie, konie zatrzymały się u bramy. Wymieniwszy kilka słów z towarzyszami, jeden z jeźdźców zsiadł z konia i zapukał ostro, tak że generał musiał iść otworzyć. Na widok sześciu żandarmów, których srebrne galony połyskiwały w świetle księżycy, nie mógł opanować wzruszenia.

— Ekscelencjo — spytał wachmistrz — czy pan nie słyszał niedawno człowieka biegnącego ku rogatce?

— Ku rogatce? Nie.

— Czy nie otwierał pan nikomu?

— Alboż ja mam zwyczaj sam otwierać bramę?

— Ależ... przepraszam pana generała, zdaje mi się, że w tej chwili...

— Cóż to? — wykrzyknął margrabia z gniewem — Czy pan sobie żarty ze mnie stroi? Jakim prawem to...

— Nic, nic, ekscelencjo — odparł łagodnie wachmistrz. — Niech pan wybaczy naszej gorliwości. Wiemy dobrze, że par Francji nie będzie ukrywał u siebie mordercy o tej godzinie; ale chęć uzyskania jakiejś wiadomości...

— Mordercy! — wykrzyknął generał — a kogóż...

— Barona de Mauny zabito przed chwilą siekierą — odparł wachmistrz. — Pościg jest bardzo pilny. Jesteśmy pewni, że morderca musi być w okolicy i złowimy go. Niech pan daruje, panie generale...

Żandarm mówił to, siadając już na konia, tak że na szczęście nie mógł widzieć twarzy generała. Nawykły wszystko przypuszczać, wachmistrz byłby może powziął podejrzenie na widok tej szczerzej fizjonomii, na której wzruszenia odbijały się tak przejrzyście.

— Czy znane jest nazwisko mordercy? — spytał generał.

— Nie — odparł żandarm. — Zostawił sekretarzyk pełen złota i banknotów nie-  
tknięty.

— To jakaś zemsta — rzekł margrabia.

— Och! Na tym starcu!... Nie, nie; łotr nie miał po prostu czasu się z tym załatwić.

I żandarm pognal za towarzyszami, którzy już galopowali daleko. Generał stał chwilę w miejscu miotany zrozumiałymi uczuciami. Niebawem usłyszał służbę, która wracała klóćąc się tak głośno, że głosy rozlegały się aż w Montreuil. Skoro przybyli wreszcie, gniew generała, który potrzebował jakiegoś pozorów, spadł na nich jak piorun. Dom trząsł się od jego krzyku. Potem uspokoił się nagle, kiedy najśmielszy i najsprytniejszy ze służby kamerdyner usprawiedliwił spóźnienie, mówiąc, że ich zatrzymali przy rogatce żandarmi oraz agenci policyjni szukający mordercy. Generał umilkł nagle. Następnie, przypominając sobie pod wpływem tych słów obowiązki swej niezwyklej roli, rozkazał sucho swoim ludziom natychmiast iść spać, zostawiając ich zdumionych łatwością, z jaką przyjął za dobrą monetę kłamstwo kamerdynera.

Ale gdy te wypadki działy się w dziedzińcu, fakt dość błahy na pozór zmienił położenie innych osób biorących udział w tym zdarzeniu. Ledwie generał wyszedł, margrabina, spojrzawszy na klucz od strychu i na Helenę, szepnęła, nachylając się do córki.

— Heleno, ojciec zostawił klucz na kominku.

Młoda dziewczyna zdziwiona podniosła głowę i spojrzała lękliwie na matkę, której oczy iskrzyły się ciekawością.

— Więc co, mamó? — odpowiedziała niepewnym głosem.

— Chciałabym wiedzieć, co się tam dzieje na górze. Jeżeli ktoś jest, nie mógł się jeszcze ruszyć. Idź tam...

— Ja? — rzekła dziewczyna przestraszona.

— Boisz się?

— Nie, mamó, ale zdaje mi się, że słyszałam kroki mężczyzny.

— Gdybym mogła iść sama, nie prosiłabym ciebie o to, Heleno — rzekła matka ozięble i z godnością. — Gdyby ojciec wrócił, a nie zastał mnie, szukałby mnie może; twojej nieobecności nie zauważy.

— Jeśli mama każe, pójdę — odparła Helena — ale stracę szacunek ojca.

— Co znowu! — rzekła margrabina z ironią. — Ale skoro bierzesz serio to, co było żartem, teraz ja ci każę iść zajrzeć, kto tam jest na górze. Masz tu klucz. Nakazując ci milczeć o tym, co się dzieje w tej chwili w domu, ojciec nie zabronił ci iść do tego pokoju. Idź i wiedz, że dziecko nigdy nie powinno sądzić matki...

Wyrzekłszy te ostatnie słowa z całą surowością obrażonej kobiety, margrabina wzięła klucz i podała go Helenie, która wstała bez słowa i wyszła.

„Matka zawsze potrafi uzyskać przebaczenie, ale ja będę zgubiona w oczach ojca. Czy ona chce mnie pozbawić jego serca, wygnać mnie z domu?”

Takie myśli zrodziły się nagle w jej głowie, kiedy szła bez światła przez korytarz, w głębi którego znajdowały się drzwi do tajemniczej izby. Kiedy tam doszła, była nieprzytomna. W tym zamęcie skłębiło się w niej tysiąc uczuć dławionych dotąd w sercu. Nie wierząc już może w szczęśliwą przyszłość, w tej chwili do reszty zwątpiła o życiu. Drżała konwulsyjnie, wkładając klucz; wzruszenie jej wzmogło się tak, że zatrzymała się chwilę. Przycisnęła rękę do serca, jak gdyby chcąc uśmierzyć jego silne i głośnie bicie. Wreszcie otworzyła drzwi. Skrzyp zawiasów nie obudził mordercy z zadumy. Mimo że miał słuch bystry, stał nieruchomo, przylepiony do ściany, zatopiony w myślach. Krąg rzucony przez latarnię oświecał go słabo; w tej strefie bladego światła podobny był do posępnych posągów stojących w niszy czarnego grobowca gotyckiej kaplicy. Krople zimnego potu spływały po jego smagłym i szerokim czole. Szaleńcza odwaga błyszczała w silnie ściągniętych rysach. Płomienne oczy, nieruchome i suche, zdawały się oglądać walkę w ciemności przed sobą. Burzliwe myśli przebiegały szybko po tej twarzy, której męski i stanowczy wyraz zwiastował niepospolitą duszę. Ciało jego, postawa, kształty były w harmonii z jego dziką naturą. Ten człowiek był cały siłą i potęgą; patrzył w ciemność jako w widzialny obraz swej przyszłości.

Nawykły oglądać junackie fizjonomie olbrzymów, którzy się tłoczyli koło Napoleona, zajęty problemem duchowym, generał nie zwrócił uwagi na fizyczne cechy tego niezwykłego człowieka; Helenę natomiast, wrażliwą jak wszystkie kobiety na zewnętrzne szczegóły, uderzyło to skojarzenie światła i cienia, potęgi i namiętności, poetyczny chaos, który dawał nieznajomemu podobieństwo do Lucyfera podnoszącego się z upadku. Naraz burza malująca się na tej twarzy uśmierzyła się jakby czarem; nieokreślona potęga, której nieznajomy był — bezwiednie może — źródłem i wyrazem, rozlała się dokoła niego jak powódź. Strumień myśli spłynął z jego czoła, w chwili gdy rysy jego odzyskały naturalną postać. Urzeczona tym dziwnym spotkaniem, tajemnicą, w której krąg weszła, dziewczyna mogła podziwiać w tej chwili zajmującą i pełną słodczy fizjonomię. Stała w milczeniu i zachwycie, ogarnięta wzruszeniem nieznany dotąd jej młodej duszy. Czy Helena krzyknęła lub poruszyła się, czy morderca, wracając ze świata marzeń do rzeczywistości, usłyszał obcy oddech, dość, że zwrócił głowę ku wchodzącej i ujrzął niewyraźnie w cieniu cudną twarz oraz wspaniałe kształty istoty, którą musiał wziąć za anioła, widząc ją nieruchomą i mglistą jak zjawisko.

— Panie! — rzekła zdławionym głosem.

Morderca zadrżał.

— Kobieta! — wykrzyknął z cicha. — Czy podobna? Oddał się pani — dodał. — Nikt nie ma prawa litować się nade mną, rozgrzeszać mnie lub potępiać. Muszę żyć sam. Idź, dziecie — dodał z królewskim ruchem — źle bym odplacił gościnę w tym domu,

gdybym pozwolił komu z jego mieszkańców oddychać tym samym powietrzem co ja. Trzeba mi się poddać prawom świata.

Ostatnie słowa wyrzekł półgłosem. Ogarniając intuicją zgryzoty, jakie zbudziła ta melancholijna refleksja, objął Helenę spojrzeniem działającym jak spojrzenie węża i poruszył w sercu tej niezwykłej dziewczyny świat myśli uszpiony dotąd. Było to niby światło, które jej oświeciło nieznanne krainy. Spojrzenie to ujarzmiło jej duszę; nie miała siły bronić się jego magnetycznej mocy, mimo iż działanie to było mimowolne. Zawstydzona i drżąca, wyszła. Wróciła do salonu na chwilę przed powrotem ojca, tak że nic nie mogła powiedzieć matce.

Generał z założonymi na piersiach rękami przechadzał się w zamyśleniu od okien wychodzących na ulicę do okien od ogrodu. Żona siedziała przy uszpionym Ablu. Moina, ułożona w berżerze jak ptak w gniazdku, drzemała spokojnie. Starsza siostra trzymała w jednej ręce kłębek, w drugiej igłę i patrzyła w ogień. Głęboką ciszę panującą w salonie, na dworze i w całym domu, przerywały jedynie leniwe kroki służby udającej się na spoczynek, to jakiś zduszony śmiech, ostatnie echo weselnej zabawy, wreszcie trzask drzwi, które otwierali i zamykali za sobą. Głuche szmery dochodziły jeszcze od ich łóżek. Jakieś krzesło przewróciło się. Kaszel starego woźnicy zadźwięczał słabo i zamilkł. Ale niebawem posępny majestat uszpionej natury rozpostarł się nad wszystkim. Jedynie gwiazdy błyszcząły. Jedynie ogień szumiał jak gdyby po to, aby pogłębić wymowę tej ciszy.

Zegar w Montreuil wybił pierwszą. W tej chwili lekkie kroki rozległy się na piętrze. Margrabią i jego córka pewni, że zamknęli zbrodniarza, myśleli, że to któraś z pokojówek, i bez zdziwienia usłyszeli, iż drzwi od przyległego pokoju otwierają się. Naraz morderca ukazał się wśród nich. Oslupienie margrabiego, żywa ciekawość matki i zdumienie córki pozwoliły mu posunąć się w głąb salonu, po czym rzekł do generała dziwnie spokojnym i melodyjnym głosem:

— Proszę pana, dwie godziny mijają.

— Pan tutaj! — wykrzyknął generał. — Jakim cudem!

I groźnym spojrzeniem zadał to samo pytanie żonie i dzieciom. Helena stanęła cała w ogniu.

— Pan — powtórzył wojskowy — pan wśród nas! Okryty krwią morderca tutaj! Plami pan ten obraz! Wyjdź pan! Wyjdź pan! — dodał gwałtownie.

Na to słowo *morderca* margrabina wydała krzyk. Co się tyczy Heleny, słowo to zdało się rozstrzygać o jej życiu. Twarz jej nie zdradzała żadnego zdziwienia. Można było mniemać, że oczekiwała tego człowieka. Odmęt jej myśli wyjaśnił się. Kara, jaką niebo przeznaczało jej winie, ziściła się. Uważając się za taką samą zbrodniarkę jak ten człowiek, dziewczyna patrzyła nań pogodnym okiem: była jego towarzyszką, siostrą. Dla niej w zdarzeniu tym objawiał się nakaz Boga. W kilka lat później rozsądek wziąłby górę nad wyrzutami, ale w tej chwili przyprowadziły ją one do szaleństwa. Obcy stał nieruchomy i zimny. Uśmiech wzgardy odmalował się na jego twarzy i na szerokich, czerwonych wargach.

— Żle pan odpłaca szlachetność mego postępowania — rzekł wolno. — Nie chciałem dotknąć rękami szklanki, w której mi pan podał wodę dla ugaszenia pragnienia. Nie pomyślałem nawet o tym, aby obmyć zakrwawione ręce pod pańskim dachem. Wychodzę stąd, zostawiając ze *swojej zbrodni* — przy tym słowie wargi jego się ściągnęły — jedynie cień; starałem się przejść, nie zostawiając śladu. Nie pozwoliłem nawet pańskiej córce...

— Moja córka! — wykrzyknął generał, spoglądając na Helenę ze zgrozą. — Ha! nieszczęśliwy, wychodź albo cię zabiję.

— Dwie godziny nie minęły. Nie może mnie pan ani zabić, ani wydać, nie tracąc szacunku własnego i — mojego.

Na to ostatnie słowo zdumiony wojskowy próbował spojrzeć na zbrodniarza, ale musiał spuścić oczy, niezdolny wytrzymać blasku spojrzenia, które drugi raz miażdżyło mu duszę. Bał się zmięknąć jeszcze, czując, że wola jego już słabnie.

— Zamordować starca! Więc pan nigdy nie widziałeś rodziny? — rzekł wreszcie, wskazując mu ojcowskim ruchem żonę i dzieci.

— Tak, starca — powtórzył nieznajomy, którego czoło zmarszczyło się lekko.

— Uciekaj! — krzyknął generał, nie śmiejąc spojrzeć na swego gościa. — Nasza umowa skończyła się. Nie zabiję pana. Nie! nie będę nigdy oprawcą. Ale wyjdź stąd, przejmujesz mnie wstrętem.

— Wiem o tym — odparł morderca z rezygnacją. — Nie ma kawałka ziemi we Francji, gdzie bym mógł bezpiecznie stawić nogę; ale gdyby sprawiedliwość umiała jak Bóg zważyć każdą okoliczność; gdyby raczyła badać, kto jest istotnym potworem, morderca czy ofiara, pozostałbym z dumą wśród ludzi. Czy pan nie zgaduje dawnych zbrodni człowieka, którego zarąbano siekierą? Uczyniłem się sędzią i katem, zastąpiłem niedołązną sprawiedliwość ludzką. Oto moja zbrodnia. Żegnam pana. Mimo goryczy, jaką pan zaprawił swą gościnę, zachowam jej wspomnienie. Znajdę jeszcze w duszy uczucie wdzięczności dla człowieka, a tym człowiekiem będzie pan... Ale wołałbym, żebyś był szlachetniejszy.

Postąpił ku drzwiom. W tej chwili młoda dziewczyna pochyliła się ku matce i szepnęła jej coś do ucha.

— Och!...

Ten krzyk, który się wydarł jego żonie, wstrząsnął generałem tak, jak gdyby ujrzał Moinę umarłą. Helena stała wyprostowana, a morderca odwrócił się instynktownie, jakby zaniepokojony o tę rodzinę.

— Co tobie, moja droga? — spytał margrabia.

— Helena chce iść za nim — odparła.

Morderca zarumienił się.

— Skoro matka tak źle tłumaczy wykrzyknik prawie mimowolny — rzekła Helena cicho — spełnię jej życzenia.

Rzuciwszy wkoło spojrzenie dzikiej niemal dumy, dziewczyna spuściła oczy i stała w postawie cudownej skromności.

— Heleno — rzekł generał — tyś była na górze, w pokoju, gdzie umieściłem...

— Tak, ojczu.

— Heleno — spytał głosem zmienionym od konwulsyjnego drżenia — czy pierwszy raz widziałas tego człowieka?

— Tak, ojczu.

— Nie jest zatem naturalne, abyś chciała...

— Jeżeli nienaturalne, to w każdym razie prawdziwe, ojczu.

— Och, córko!... — rzekła margrabina cicho, ale tak, że mąż ją usłyszał. — Heleno, zadajesz kłam wszystkim zasadom skromności, honoru, cnoty, jakie starałam się rozwinąć w twym sercu. Jeżeli wszystko było w tobie kłamstwem do tej nieszczęsnej godziny, w takim razie nie ma cię co żałować. Czy to wartość moralna tego człowieka cię oczarowała? Czy siła niezbędna temu, kto popełnia zbrodnię?... Zbyt wysoko cię cenię, aby przypuścić...

— Och, może pani przypuszczać wszystko — odparła Helena zimno.

Ale mimo siły charakteru, jakiej dawała dowód w tej chwili, płomień jej oczu z trudnością strawił łzy, które się w nich zakręciły. Nieznajomy domyślił się słów matki z łez młodej dziewczyny; zmierzył orlim wzrokiem margrabinę, którą ta nieprzeparta potęgą zmusiła do tego, aby spojrzeć na strasznego uwodziciela. A kiedy oczy tej kobiety spotkały się z jego jasnymi i błyszczącymi oczami, uczuła w duszy dreszcz podobny temu, jakiego doznajemy na widok płaza lub za dotknięciem lejdejskiej butelki.

— Mężu — krzyknęła — to szatan! On zgaduje wszystko...

Generał wstał, aby pociągnąć za taśmę dzwonka.

— Gubi pana! — krzyknęła Helena do mordercy.

Nieznajomy uśmiechnął się, uczynił krok, powstrzymał rękę margrabiego i paraliżującego spojrzeniem, wyzuł go z wszelkiej energii.

— Zapłacę pańską gościnność — rzekł — będziemy skwitowani. Oszczędzę panu hańby, wydając sam siebie. Ostatecznie, co mi pozostało w życiu?

— Skrucha, żal — odparła Helena, rzucając mu owo pełne nadziei spojrzenie, jakie błyszczy jedynie w oku młodej dziewczyny.

— Nie będę żałował nigdy — rzekł morderca dźwięcznym głosem, podnosząc dumnie głowę.

— Jego ręce zbroczone są krwią — rzekł ojciec do córki.

— Obetrę je — odparła.

— Ale — rzekł generał, nie ośmielając się wskazać nieznanego — nie wiesz nawet, czy on chce ciebie?

Morderca zbliżył się do Heleny. Piękność jej, mimo iż tak czysta i skupiona, płonęła w tej chwili światłem, którego odbłask barwił i uwypuklał niejako najdelikatniejsze jej rysy. Rzuciwszy na tę czarującą istotę słodkie, ale jeszcze straszliwe swym ogniem spojrzenie, rzekł ze wzruszeniem:

— Czyż nie dowiodę, że cię kocham dla ciebie samej i czy nie splcę dwóch godzin istnienia, jakie mi sprzedał twój ojciec, jeśli odtrącę twą ofiarę?

— Więc i ty mnie odpychasz! — krzyknęła Helena z akcentem, który rozdarł wszystkie serca. — Żegnajcie tedy wszyscy, idę umrzeć.

— Co to znaczy? — wykrzyknęli wraz ojciec i matka.

Zamilkła i spuściła oczy, zapytawszy margrabiny wymownym spojrzeniem. Od chwili gdy generał i jego żona próbowali zwalczyć słowem lub czynem dziwny przywilej, jaki banita zdobył sobie, zostając wśród nich, i odkąd nieznanomy zwrócił na nich oszałamiający blask swoich oczu, ośmieliła nimi dziwna niemoc. Zdrętwiały rozsądek próżno silił się odeprzeć nadprzyrodzoną siłę, pod którą się uginali. Powietrze stało się im ciężkie, z trudnością oddychali, nie mogąc winić tego, który ich tak dławił, mimo iż jakiś wewnętrzny głos mówił im, że ten potężny człowiek jest przyczyną ich niemocy. Wśród tej agonii moralnej generał zrozumiał, że pierwszym jego zadaniem jest wpłynąć na chwiejający się rozsądek córki: ujął ją w pól i odciągnął od mordercy.

— Drogie dziecko — rzekł z cicha — jeżeli jakaś dziwna miłość zrodziła się nagle w twym sercu, twoje niewinne życie, twoja czysta i pobożna dusza za wiele dały mi dowodów twego charakteru, abym nie wierzył, że masz w sobie na tyle siły, aby pokonać to szaleństwo. Musi być w tym jakaś tajemnica. Słuchaj, moje serce jest pełne pobożności, możesz mu wszystko wyznać. Gdybyś je nawet miała rozedrzeć, potrafię, dziecko, zdławić swoje cierpienia i dochować ci niezłomnego sekretu. Powiedz, czy jesteś zazdrosna o nasze przywiązanie do braci lub do młodszej siostry? Czy kochasz nieszczęśliwie kogo? Czy ci źle tutaj? Mów, wytłumacz mi przyczyny, które ci każą opuścić rodzinę, porzucić ją, pozbawić ją jej największego uroku, opuścić matkę, braci, siostrzyczkę.

— Ojciec — odparła — nie jestem zazdrosna o nikogo, ani nie kocham się w nikim, nawet w twoim przyjacielu, panu de Vandenesse.

Margrabina zbladła. Córka, która patrzyła na nią, umilkła.

— Czy nie mam prędzej lub później przejść pod opiekę mężczyzny?

— Zapewne.

— Czyż my wiemy kiedy — ciągnęła — z kim łączymy swoje losy? Ja wierzę w tego człowieka.

— Dziecko — rzekł generał, podnosząc głos — nie myślisz o cierpieniach, jakie cię czekają.

— Myślę o jego cierpieniach.

— Co za życie! — rzekł ojciec.

— Życie kobiety — szepnęła córka.

— Jesteś bardzo uświadomiona — wykrzyknęła margrabina, odzyskując głos.

— Pani, odpowiadam tylko na pytania, ale jeśli sobie życzysz, będę mówiła wyraźniej.

— Powiedz wszystko, moja córko, jestem matką.

Tu córka spojrzała na matkę, a pod tym spojrzeniem margrabina zamilkła.

— Heleno, raczej zniosę twoje wyrzuty, jeśli chcesz mi je czynić, niżbym miała patrzeć na to, że idziesz za człowiekiem, od którego świat ucieka ze zgrozą.

— Widzisz więc, matko, że beze mnie byłby sam.

— Dosyć, żono — wykrzyknął generał — mamy już tylko jedną córkę!

I spojrział na Moinę, która spała ciągle.

— Zamknę cię w klasztorze — dodał, zwracając się do Heleny.

— Dobrze, ojciec — odpowiedziała z rozpaczliwym spokojem. — Więc umrę. Odpowiesz za moje życie i za *jego* duszę jedynie przed Bogiem.

Zapadło milczenie. Widzowie tej sceny, w której wszystko obrażało normy życia społecznego, nie śmieli na siebie spojrzeć. Naraz margrabia spostrzegł swoje pistolety. Chwytał, odwiódł szybko kurek i wymierzył w nieznanego. Na szczęście kurka obcy odwrócił



się, zwrócił spokojny i przenikliwy wzrok na generała, którego ramię zdjęte niemocą opadło ciężko. Pistolet potoczył się na dywan...

— Cóрко — rzekł wyczerpany tą straszliwą walką — jesteś wolna. Uściskaj matkę, jeśli ci pozwoli. Co do mnie, nie chcę cię już widzieć ani słyszeć...

— Heleno — rzekła matka do dziewczyny — pomyśl, że będziesz w nędzy.

Chrapliwy śmiech wydarł się z piersi mordercy i skierował nań wszystkie spojrzenia. Wyraz wzgardy malował się na jego twarzy.

— Gościnność, jakiej panu użyczyłem, kosztuje mnie drogo! — wykrzyknął generał, wstając. — Zabiłeś przed chwilą tylko jednego starca, tu mordujesz całą rodzinę. Co bądź się stanie, nieszczęście weszło w ten dom.

— A jeśli pańska córka będzie szczęśliwa? — spytał morderca, patrząc bystro na generała.

— Jeśli będzie szczęśliwa z panem — odparł ojciec, czyniąc niesłychany wysiłek — nie będę jej żałował.

Helena klękała nieśmiało przed ojcem i rzekła pieszczotliwie:

— Ojczy, kocham cię i czuję, czy na mnie zlewasz skarby swej dobroci, czy srogość nielaski. Ale błagam cię, niechaj ostatnie twoje słowa nie będą słowami gniewu.

Generał nie śmiał spojrzeć na córkę. W tej chwili nieznajomy zbliżył się. Patrząc na Helenę z uśmiechem, w którym było równocześnie coś piekielnego i coś niebiańskiego, rzekł:

— Ty, którego morderca nie przeraża, aniele miłosierdzia, pójdź, skoro trwasz przy tym, aby mi oddać swe życie.

— To niepojęte! — wykrzyknął ojciec.

Margrabina spojrzała dziwnie na córkę i otworzyła ramiona. Helena rzuciła się w nie, płacząc.

— Żegnaj, matko, żegnaj!

Helena dała śmiało znak nieznajomemu, który zadrżał. Ucałowała rękę ojca, uściśnęła szybko, ale bez czułości Moineę i Abła, i znikła z mordercą.

— Którędy oni idą? — wykrzyknął generał, wsłuchując się w kroki zbiegów. — Wiesz — dodał, zwracając się do żony — zdaje mi się, że śnię. Ta przygoda kryje jakąś tajemnicę. Ty musisz coś wiedzieć.

Margrabina zadrżała.

— Od jakiegoś czasu — odparła — Helena stała się nadzwyczaj romansowa i dziwnie egzaltowana. Mimo moich starań, aby zwalczyć to usposobienie...

— To nie jest jasne...

Naraz zdało się generałowi, że słyszy w ogrodzie kroki córki i nieznajomego. Przerwał, aby szybko otworzyć okno.

— Heleno! — krzyknął.

Głos ten zgubił się w nocy jak daremne prorocstwo. Wymawiając to imię, któremu nic już nie odpowiadało w świecie, generał jak gdyby odczarował zły urok, jakim spętała go szatańska siła. Jakiś dech powiał mu przez twarz. Ujrzał jasno scenę, która się rozegrała i przeklął własną słabość, której nie rozumiał. Gorący dreszcz przebiegł mu od serca do głowy, do nóg; ocknął się, stał się znów sobą, groźny, łaknący zemsty. Wydał straszliwy krzyk.

— Na pomoc! Na pomoc!

Rzucił się do dzwonek, szarpał je tak, iż potrzaskał je, napelniwszy wprzód dom dziwnym szcękaniem. Cała służba zbudziła się nagle. On krzyczał ciągle, otworzył okna, wołał żandarmów, znalazł pistolety, wystrzelił z nich, aby szybciej ściągnąć pomoc, zwołać służbę i sąsiadów. Psy poznały głos pana i zaczęły szczeleć, konie rżały i parskały. Okropny hałas napelnił tę cichą noc. Zbiegając po schodach, aby pędzić za córką, generał ujrzał wystraszonych ludzi, którzy śpieszyli ze wszystkich stron.

— Moja córka! Porwano Helenę. Idźcie do ogrodu! Pilnujcie ulicy! Otwórzcie żandarmom! Morderca!

Wściekłym ruchem przerwał łańcuch, na którym był uwiązany wielki pies.

— Helena Helena! — rzekł doń.

Pies skoczył jak lew, zaszczekał wściekle i rzucił się w ogród tak chyżo, że generał nie mógł mu nadążyć. W tej chwili tętent rozległ się na ulicy, generał pospieszył sam otworzyć.

— Panie wachmistrzu — wykrzyknął — odetnij pan drogę mordercy pana de Mauny. Uciekają moim ogrodem. Prędko otoczcie ścieżki na wzgórzu. A wy — rzekł do swoich ludzi — pilnujcie ulicy i rozstawcie się od rogatki aż do Wersalu. Naprzód, wszyscy!

Chwycił fuzję, którą mu przyniósł kamerdyner, i skoczył w ogród, krzycząc na psa: „Szukaj!”. Straszliwe szczekania odpowiedziały mu w oddali, podążył w kierunku, skąd dochodziły rżenia psa.

O siódmej rano poszukiwania żandarmerii, generała, jego ludzi i sąsiadów okazały się daremne. Pies nie wrócił. Wyczerpany znużeniem, już postarzały od zgryzoty, margrabia wszedł do salonu, który wydał mu się pustynią, mimo że było tam jeszcze troje jego dzieci.

— Byłaś zawsze bardzo zimna dla córki — rzekł, spoglądając na żonę. — Oto więc, co nam zostało po niej, dodał pokazując krosienka, na których widniał zaczęty kwiatek. Była tu przed godziną, a teraz stracona, stracona!

Plakał, ukrył głowę w dłoniach i trwał tak chwilę, nie śmiejąc spojrzeć na ten salon, który niedawno przedstawiał obraz rodzinnego szczęścia. Brzask jutrzeński walczył z gasnącymi lampami; papier płonął u wypalonych świec, wszystko było zgodne z rozpaczą tego ojca.

— Trzeba to zniszczyć — rzekł po chwili, pokazując krosienka. — Nie mogę patrzeć na nic, co mi ją przypomina...

Straszliwa noc Bożego Narodzenia, w czasie której margrabia i jego żona postradała najstarszą córkę, bezsilni wobec szczególnej władzy jej mimowolnego wydziercy, była jakby ostrzeżeniem losu. Bankructwo agenta giełdowego zrujnowało generała. Obdłużył dobra żony, aby się rzucić w spekulację, której zyski mogły przywrócić rodzinie poprzedni dostatek; ale to zrujnowało go do reszty. Chwytając się z rozpaczyny ostatecznych środków, generał opuścił ojczyznę. Sześć lat upłynęło od jego wyjazdu. Mimo że rodzina rzadko otrzymywała odeń wieści, na kilka dni przed uznaniem niepodległości republik amerykańskich przez Hiszpanię oznajmił swój powrót.

Zatem pewnego pięknego poranka kilku kupców francuskich, którym pilno było wrócić do ojczyzny z bogactwami nabytymi za cenę mozolów i niebezpieczeństw bądź w Meksyku, bądź w Kolumbii, znalazło się o kilka mil od Bordeaux na statku hiszpańskim. Mężczyzna przedwcześnie postarzały trudami i zgryzotą stał wsparty o parapet, obojętny na widok pasażerów na pomoście. Uszedłszy niebezpieczeństw przeprawy i znęcenia piękną pogodą, wszyscy wyszli na pomost, jakby chcąc powitać ziemię rodzinną. Ten i ów siłił się już rozpoznać w oddali latarnie morskie, budynki, wieżę korduańską, spływające się z fantastycznymi kształtami białych chmur na widnokręgu. Gdyby nie srebrne frędzle piany igrające przed statkiem, gdyby nie szybko znikająca bruzda, którą statek kreślił za sobą, podróżni mogliby myśleć, że stoją nieruchomo na oceanie, tak morze było spokojne. Niebo było cudownie czyste. Ciemne tony jego sklepienia zlewały się z błękitem wody linią błyszczącą tak jasno jak światło gwiazd. Słońce połyskiwało milionem iskerek w olbrzymiej fali morza, tak że rozległy step wodny bardziej może lśnił niż przestwory nieba. Łagodny wiatr wzdymał żagle; białe jak śnieg płótna, żółte bujające flagi, labirynt lin, wszystko to rysowało się z nieporównaną dokładnością na błyszczącym tle powietrza, nieba i oceanu, bez żadnej plamki prócz bladych cieniów rzucanych przez żagle. Piękny dzień, ożywczy wiatr, widok ojczyzny, spokojne morze, melancholijny szum, wdzięczny samotny żaglowiec sunący po oceanie jak kobieta na schadzku — był to obraz pełen harmonii, scena, w której dusza ludzka mogła ogarnąć niewzruszone przestrzenie, wychodząc z punktu, gdzie wszystko jest ruchem. Był to zdumiewający kontrast pustki i życia, ciszy i zgiełku: nie wiedziało się niemal, gdzie jest zgiełk i życie, a gdzie nicość i cisza; toteż żaden ludzki głos nie mącił tego niebiańskiego czaru. Kapitan Hiszpan, majtkowie, Francuzi stali albo siedzieli pogrążeni w pełnym wspomnień zachwycie. Było w powietrzu jakieś lenistwo. Rozjaśnione twarze świadczyły o zapomnieniu minionych niedoli; ci ludzie kołysali się na tym cichym statku jak w złotym śnie.

Jednakże od czasu do czasu stary pasażer oparty o parapet patrzył na widnokrąg z wyrazem niepokoju. Niedowierzenie odbijało się w jego rysach; można by rzec, iż się lęka, że nigdy dość wcześnie nie dotknie stopą francuskiej ziemi. Ten człowiek to był mar-

grabia. Fortuna nie okazała się głucha na krzyk i wysiłki jego rozpaczy. Po pięciu latach starań i mozolów doszedł do znacznego majątku. Pragnąc najrychlej ujrzeć ziemię ojczystą i przynieść szczęście rodzinie, poszedł za przykładem kilku francuskich kupców z Hawany, siadając z nimi na statek hiszpański do Bordeaux. Mimo to wyobraźnia jego znużona przewidywaniem złego, kreśliła mu najrozkoszniejsze obrazy szczęścia. Widząc z dala ciemną linię ziemi, miał uczucie, że patrzy na żonę i dzieci. Był u siebie, przy kominku, czuł, jak go ściskają, pieszczą. Wyobrażał sobie Moinę wyrosłą, imponującą jak duża panna. Skoro ten marzony obraz nabral niemal rzeczywistości, łzy zakręciły mu się w oczach; wówczas, jak gdyby chcąc ukryć wzruszenie, wpatrzył się w wilgotny horyzont na wprost ciemnej linii zwiastującej ziemię.

— To on — rzekł — jedzie za nami.

— Kto taki? — wykrzyknął hiszpański kapitan.

— Okręt — szepnął generał.

— Widziałem go już wczoraj — odparł kapitan Gomez.

Spojrzał na Francuza, jakby chcąc go wy badać.

— Cały czas gonił za nami — szepnął do ucha generała.

— I nie wiem, czemu nas nie dogonił — odparł stary wojskowy — bo szybszy jest od pańskiego przeklętego *Świętego Ferdynanda*.

— Musiał mieć jakieś uszkodzenia, może wodę.

— Dogania nas! — wykrzyknął Francuz.

— To korsarz kolombijski — rzekł mu do ucha kapitan. — Jesteśmy jeszcze o sześć mil od ziemi, a wiatr słabnie.

— On nie płynie, ale leci, jak gdyby wiedział, że za dwie godziny zdobycz mu się wymknie. Co za zuchwalstwo!

— On! — krzyknął kapitan. — Och! Nie darmo nazywa się *Otello*. Niedawno zatopił hiszpańską fregatę, chociaż ma tylko trzydzieści dział! Bałem się tylko jego, bo wiedziałem, że krąży w Antylach...

— Ha, ha! — dodał po pauzie, patrząc na żagle swego statku — wiatr się podnosi, dopłyniemy. Musimy, bo *Paryżanin* byłby bez miłosierdzia.

— I on także dopływa! — odparł margrabia.

*Otello* był już ledwie o trzy mile. Mimo że załoga nie słyszała rozmowy margrabiego z Gomezem, pojawienie się żagla ściągnęło większość marynarzy i pasażerów; ale prawie wszyscy, biorąc bryk za statek handlowy, przyglądali mu się z zaciekawieniem. Nagle jeden majtek krzyknął w swoim wymownym narzeczu:

— Na świętego Jakuba, *odwaliliśmy kitę...* to Paryżanin.

Na to straszne imię przerażenie zapanowało na statku, wszczął się nieopisany zamęt. Kapitan zdołał tchnąć w majtków chwilową energię. Świadom niebezpieczeństwa, chcąc dobić do lądu za wszelką cenę, spróbował rozwinąć wszystkie żagle, aby poddać pędowi wiatru całą przestrzeń płótna, jaką rozporządzał. Ale manewr ten wykonano mozolnie, brak mu było owego cudownego grania, które tak zachwyca na okręcie wojennym. Mimo że *Otello*, dzięki nastawieniu swoich żagli, leciał jak jaskółka, zyskiwał wszakże na pozór tak mało, że nieszczęśni Francuzi kołysali się słodkim złudzeniem. Po niesłychanych wysiłkach *Święty Ferdynand* nabral nowego rozpędu, dzięki zręcznym manewrom, które Gomez sam wspomagał gestem i głosem. Naraz fałszywym i zapewne umyślnym skręceniem rudla sternik postawił statek w poprzek wiatru. Żagle uderzone wiatrem z boku pochyliły się, liny i wiązania trzasły, statek okulał zupełnie. Kapitan stał się z wściekłości bielszy od swoich żagli. Jednym skokiem rzucił się na sternika i ugodził go wściekle sztyletem. Chybił, ale go zepchnął w morze. Po czym chwycił ster i starał się naprawić rozpaczliwy nieład, jaki zapanował na dzielnym i odważnym statku. Łzy rozpaczy kręciły się w jego oczach; zdrada bowiem, niwecząca rezultat osiągnięty talentem, boli więcej niż grożąca śmierć. Ale im więcej kapitan kłął, tym mniej sprawa posuwała się naprzód. Sam wystrzelił z działa na alarm, spodziewając się, że go usłyszą z lądu. W tej chwili korsarz, który nadbiegł ze straszliwą chyżością, odpowiedział wystrzałem armatnim. Kula wpadła w morze o dziesięć sążni od *Świętego Ferdynanda*.

— Do kroćset — wykrzyknął generał — to jak wycelowane. Muszą mieć specjalne armatki.

— Och, jak ten gada, to trzeba być cicho — odparł jeden z majtków. — Paryżanin nie zląkłby się angielskiego okrętu...

— Wszystko stracone — wykrzyknął z rozpaczą kapitan, który wycelowawszy lunetę, nie ujrzał nic od strony ładu... — Jesteśmy dalej od Francji, niż przypuszczałem.

— Czemu rozpaczać? — odparł generał. — Wszyscy pańscy pasażerowie to Francuzi, oni najęli pański statek. Ten korsarz to paryżanin, jak pan powiada; wywieś pan zatem białą chorągiew i...

— I on nas zatopi — odparł kapitan. — Czyż on nie jest w miarę okoliczności wszystkim, czym trzeba, kiedy chce zagarnąć bogatą zdobycz?

— A, więc to pirat!

— Pirat! — odparł któryś majtek z gniewem. — Oho! On jest zawsze w porządku, umie się urządzać.

— A więc — zawołał generał, wznosząc oczy do nieba — trzeba się pogodzić z losem. I miał jeszcze na tyle siły, aby powstrzymać łzy.

Kiedy domawiał tych słów, druga kula armatnia, lepiej wymierzona, przeszła *Świętego Ferdynanda*.

— Zwinąć żagle — rzekł smutno kapitan.

Ów majtek, który bronił uczciwości Paryżanina, pomógł bardzo zręcznie do tego rozpaczliwego manewru. Załoga przetrwała śmiertelne pół godziny pogrążona w największym lęku. *Święty Ferdynand* wiozł w piaszczach cztery miliony stanowiące majątek pięciu pasażerów; część generała wynosiła milion sto tysięcy franków. Wreszcie *Otello*, który znajdował się w tej chwili na dziesięć strzałów z fuzji, pokazał wyraźnie groźne pasz-cze dwunastu armat gotowych do strzału. Zdawało się, że go niesie wiatr, który diabeł dmie umyślnie dla niego; ale oko biegłego marynarza odgadywało łatwo tajemnicę tej chyżości. Wystarczyło popatrzeć na wygięcie bryka, na jego podłużną formę, na wąski korpus, na wysokość masztów, krój żagli, cudowną lekkość drabin; na swobodę, z jaką rój jego majtków, zgodny jak jeden człowiek, czuwał nad obrotami białej powierzchni, którą przedstawiały te żagle. Wszystko zwiastowało nadzwyczajną świadomość siły w tym smukłym, drewnianym stworzeniu, równie inteligentnym jak wyścigowy koń lub ptak drapieżny. Załoga korsarza czekała w milczeniu, gotowa w razie oporu połknąć biedny statek kupiecki, który, szczęściem dla siebie, stał spokojnie, niby uczeń złapany na gorącym uczynku przez nauczyciela.

— Mamy armaty! — wykrzyknął generał, ściskając dłoń kapitana.

Ten rzucił na starego wojaka spojrzenie pełne wraz męstwa i rozpachy i rzekł:

— A ludzie?

Margrabia spojrział na załogę *Świętego Ferdynanda* i zadrżał. Czterej kupcy stali bladzi i drżący, gdy majtkowie skupieni dokoła jednego ze swoich naradzali się widocznie, w jaki sposób stanąć po stronie *Otella* i spoglądali na korsarza z łakomą ciekawością. Jedyne kapitan, porucznik i margrabia wymieniali spojrzenia nacechowane odwagą.

— Ach, kapitanie, żegnałem się niegdyś z krajem i rodziną z sercem pełnym gorzycy; czyż trzeba znów się z nimi pożegnać, w chwili gdy przynoszę radość i szczęście swoim dzieciom?

Generał odwrócił się, aby uronić w morze łzę wściekłości, i ujrzał sternika płynącego ku korsarzowi.

— Tym razem — odparł kapitan — pożegna się pan z nimi zapewne na zawsze.

Francuz przeraził Hiszpana osłupiałym wzrokiem, jakim nań spoglądał. W tej chwili dwa okręty stykały się prawie; na widok nieprzyjacielskiej załogi generał uwierzył w złowróżbne proroctwo Gomeza. Po trzech ludzi stało przy każdej armacie. Widząc ich atletyczne postacie, ich wyraziste rysy, nagie i żyłaste ramiona, wzięłoby się ich za posągów z brązu. Śmierć zabiłaby ich, ale nie obaliła. Majtkowie, dobrze uzbrojeni, czynni, zwinni i mocni, stali nieruchomo. Wszystkie te męskie twarze były spalone słońcem, stwardniałe od trudu. Oczy błyszczały jak ogniste skry i zwiastowały tęgie inteligencje, piekielne temperamenty. Głębokie milczenie panujące na tym pomoście, czarnym od ludzi i od kapeluszy, świadczyło o nieubłaganej karności, w jakiej potężna wola trzyma tych wcielonych czartów.

Wódz stał u stóp masztu z założonymi rękami, bez broni; jedynie siekiera znajdowała się u jego stóp. Miał na głowie dla ochrony od słońca kapelusz filcowy z wielkim rondem, którego cień zasłaniał mu twarz. Podobni psom leżącym u nóg pana kanonierzy, żołnierze i majtkowie zwracali kolejno oczy na swego kapitana i na statek kupiecki. Kiedy dwa bryki się zderzyły, wstrząśnienie wyrwało korsarza z zadumy; szepnął parę słów młodemu oficerowi stojącemu o dwa kroki.

— Haki! — wykrzyknął porucznik.

I *Otello* zahaczył *Świętego Ferdynanda* z cudowną chyżością. W myśl rozkazu wydanego cicho przez korsarza, a powtózonego przez porucznika, ludzie wyznaczeni do każdej czynności szli, niby klerycy na mszę, na pomost wziętego statku, aby wiązać ręce majtkom, pasażerom i zagarnąć skarby. W jednej chwili beczki pełne piasstrów, żywność i załogę *Świętego Ferdynanda* przeniesiono na pokład *Otella*. Generał miał uczucie, że śni, kiedy się znalazł ze związanymi rękami, rzucony na jakiś worek, jak gdyby sam był towarem. Odbyla się narada między korsarzem, jego porucznikiem oraz majtkiem, który widocznie pełnił funkcję wachmistrza. Skoro dyskusja, która trwała krótko, się skończyła, majtek zagwizdał na ludzi. Na rozkaz, jaki wydał, skoczyli wszyscy na *Świętego Ferdynanda*, wdrapali się na liny i zaczęli zdzierać reje, żagle i drabinki, równie nie jak żołnierz rozbiera na polu bitwy zabitego towarzysza, którego buty i płaszcz były przedmiotem jego pożądań.

— Jesteśmy zgubieni — rzekł spokojnie do margrabiego kapitan hiszpański, który śledził spod oka trzech naradzających się dowódców oraz ruchy majtków, dopełniających regularnej grabieży jego bryku.

— Czemu? — również spokojnie spytał generał.

— Cóż pan chcesz, aby poczęli z nami? — odparł Hiszpan. — Doszli widać do przekonania, że niełatwo przyszloby im sprzedać *Świętego Ferdynanda* w jakim francuskim lub hiszpańskim porcie. Zatopią go, aby nie mieć kłopotu. Co do nas, czy pan myśli, że wezmą sobie na kark trud żywienia nas, kiedy nie wiedzą, dokąd zawinąć?

Ledwie kapitan dokończył tych słów, kiedy generał usłyszał okropny krzyk, a po nim głuchy plusk, spowodowany upadkiem kilku ciał strąconych w morze. Obrócił się i nie ujrzał już czterech kupców. Ośmiu kanonierów o groźnych twarzach kołysało jeszcze rękami, w chwili gdy wojskowy spojrzął na nich ze zgrozą.

— Nie mówiłem? — rzekł zimno kapitan.

Margrabia podniósł się szybko. Morze uspokoiło się już, tak że nie mógł nawet dorzeć miejsca, gdzie zatonęli nieszczęśliwi towarzysze. Płynęli w tej chwili ze związanymi rękami i nogami pod wodą, o ile ich już nie pożarły ryby. O kilka kroków od niego zdradziecki sternik oraz majtek ze *Świętego Ferdynanda*, ów, który niedawno wychwalał potęgę paryskiego kapitana, bratali się z korsarzami i wskazywali palcem marynarzy, których uznali za godnych wcielenia do załogi *Otella*. Co się tyczy innych, majtkowie wiązali im nogi mimo rozpaczliwych zakłęk. Po dokonanych wyborze ośmiu kanonierów chwyciło skazanych i rzuciło ich bez ceremonii do morza. Korsarze obserwowali ze złośliwą ciekawością sposób, w jaki ci ludzie spadali, ich miny i ostatnie męczarnie; ale twarz ich nie zdradzała ani drwin, ani zdziwienia; byli snadź<sup>16</sup> przyzwyczajeni. Najstarsi woleli patrzeć z ponurym i łakomym uśmiechem na barylki pełne piasstrów złożone u stóp masztu. Generał i kapitan Gomez, siedząc na jakimś pakunku, porozumiewali się martwym niemal spojrzeniem. Niebawem oni jedni pozostali przy życiu ze *Świętego Ferdynanda*. Siedmiu majtków wybranych przez szpiegów z załogi hiszpańskiej już się przeobraziło radośnie w Peruwianczyków.

— Cóż za łajdaki! — wykrzyknął generał, w którym szlachetne oburzenie stłumiło ból i rozważę.

— Poddają się konieczności — odparł zimno Gomez. — Gdybyś pan gdzie spotkał którego z nich, czybyś go nie przebił bez namysłu?

— Kapitanie — rzekł porucznik, zwracając się do Hiszpana — Paryżanin słyszał o panu. Pan jest, powiada, jedyny człowiek, który zna dobrze strefę Antyli i wybrzeża Brazylii. Czy chce pan...

<sup>16</sup>snadź (daw.) — zapewne, prawdopodobnie, widocznie. [przypis edytorski]

Kapitan przerwał młodemu porucznikowi wykrzykiem wzgardy i odparł:

— Umrę jak marynarz, jak wierny Hiszpan, jak chrześcijanin. Rozumiesz?

— W morze! — krzyknął młody człowiek.

Na ten rozkaz dwóch kanonierów chwyciło Gomeza.

— Jesteście podli! — krzyknął generał, wstrzymując korsarzy.

— Mój stary — rzekł porucznik — nie unoś się zanadto. Jeśli twoja czerwona wstążeczka robi pewne wrażenie na naszym kapitanie, ja sobie z niej kpię. Rozmówimy się za chwilę.

W tej chwili głuchy plusk, któremu nie towarzyszyła żadna skarga, dał znać generałowi, że dzielny Gomez umarł jak marynarz.

— Mój majątek albo życie! — wykrzyknął w straszliwej furii.

— A, jesteś rozsądny — odparł korsarz, śmiejąc się. — Teraz możesz być pewny, że coś od nas otrzymasz...

Zaczem na znak porucznika dwaj marynarze jęli wiązać nogi Francuzowi; ale ten, odrzuciwszy ich, wy dobył nieoczekiwanym gestem szablę, którą porucznik miał przy boku, i zaczął nią wywijać gracko, jak przystało na generała kawalerii znającego swoje rzemiosło.

— A łajdaki, nie wrzucicie jak ostrygę do wody starego napoleończyka!

Strzały pistoletowe, wypalone z bliska w opornego Francuza ściągnęły uwagę Parzyzanina dozorującego właśnie przenoszenia przyborów, które kazał zabrać ze *Świętego Ferdynanda*. Nie przejmując się zbyt, chwycił z tyłu dzielnego generała, podniósł go lekko, pociągnął na burt i gotował się go wrzucić w morze jak wysortowany ładunek. W tej samej chwili generał spotkał się z płowym okiem człowieka, który mu wydarł córkę. Ojciec i zięć poznali się od razu. Kapitan, dając swemu rozmachowi przeciwny kierunek, tak jak gdyby margrabia nie ważył nic, zamiast go wrzucić w morze, postawił go opodal wielkiego masztu. Szmer rozległ się na pomoście, ale korsarz spojrział tylko na swoich ludzi: natychmiast zapanowała najgłębsza cisza.

— To ojciec Heleny — rzekł kapitan dźwięcznym i stanowczym głosem. — Biada temu, kto by go nie uszanował.

Radosny okrzyk rozległ się na pokładzie i wzbił się w niebo jak modlitwa kościelna, jak pierwszy akord *Te Deum*. Chłopcy okrętowi zakolysali się na linach, majtkowie wyrzucili czapki w górę, kanonierzy zatupali nogami, wszystko machało rękami, wyło, gwizdało, klęło. Ten wybuch fanatycznej radości zaniepokoił i zasępił generała. Sądził, iż kryje się w tym jakaś straszliwa tajemnica; toteż pierwszym jego krzykiem, skoro odzyskał mowę, było: „Moja córka! Gdzie moja córka?”. Korsarz rzucił na generała owo głębokie spojrzenie, które, nie wiadomo czemu, przejmowało drżeniem najodważniejszych; nakazał mu gestem milczenie ku zadowoleniu majtków, uszczęśliwionych, że władza ich kapitana rozciąga się na wszystkie istoty; powiódł go ku schodom, sprowadził go w dół do drzwi kajuty i otworzył je żywo, mówiąc:

— Oto ona.

Po czym znikł, zostawiając starego żołnierza zdumionego widokiem, jaki przedstawił się jego oczom. Słyszając, jak drzwi otwierają się nagle, Helena wstała z kanapy, na której spoczywała; ujrzała margrabiego i wydała krzyk zdumienia. Była tak zmieniona, że trzeba było oczu ojca, aby ją poznać. Podzwrotnikowe słońce opaliło jej białą twarz, dając jej cudowny koloryt, który miał coś poetycznego. Była w niej jakaś wielkość, majestat, głębokie uczucie, które musiało przeniknąć do najpospolitszej duszy. Długie i bujne włosy, spadające puklami na szlachetnie zarysowaną szyję, dodawały jeszcze siły tej dumnej twarzy. W pozie, w geście Heleny, przebijała świadomość własnej potęgi. Tryumfujące zadowolenie wzdymało lekko jej różowe nozdrza: spokojne szczęście znaczyło się w każdym szczególe jej piękności. Był w niej i wdzięk dziewiczy, i duma właściwa istotom bardzo kochanym. Była to wraz niewolnica i pani; chciała słuchać, bo mogła panować. Była ubrana z pełnym wdziękiem i wykwintu przepychem. Suknię miała z indyjskiego muślinu; ale kanapa i poduszki były kaszmirowe; dywan perski zaścielał obszerną kajutę; czworo jej dzieci bawiło się u jej stóp, budując dziwne zamki ze sznurów pereł, z cennych klejnotów, kosztownych cacek. Kilka wazonów z sewrskiej porcelany malowanych przez panią Jaquotot zawierało rzadkie pachnące kwiaty, jaśmin meksykański, kamelie; wśród nich małe amerykańskie ptaszki bujały swobodnie, wyglądając niby żywe rubiny, szafiry, złoto.

W salonie tym znajdował się przytwierdzony fortepian, na ścianach zaś obitych złotym jedwabiem widać było obrazki małych rozmiarów, ale najlepszych pędzli: *Zachód słońca* Gudina znajdował się tam przy Terburgu; *Madonna* Rafaela walczyła na poezję ze szkicem Girodeta; Generał Dow zaćmiewał Drollinga. Na stoliku z chińskiej laki znajdował się złoty talerz pełen soczystych owoców. Słowem, Helena była niby królowa wielkiego mocarstwa w tym buduarze, w którym jej ukoronowany kochanek zebrał najprzedniejsze rzeczy z całej ziemi. Dzieci zwróciły na swego dziadka wzrok pełen przenikliwej żywości; nawykłe żyć wśród walk, burz i zgiełku, podobne były do owych małych Rzymianiek ciekawych krwi i wojny, które Dawid odmalował w swoim *Brutusie*.

— Jak to być może? — wykrzyknęła Helena, chwytając ojca, jak gdyby chciała się przekonać o prawdzie tego widoku.

— Heleno!

— Ojcze!

Padli sobie w ramiona, a uścisk starca był jeszcze gorętszy i tkliwszy niż uścisk córki.

— Byłeś, ojcze, na tym statku?

— Tak — odparł smutno, siadając na kanapie i patrząc na dzieci, które skupione wokoło spoglądały nań z naiwnym zaciekawieniem. — Byłbym zginął, gdyby...

— Gdyby nie mój mąż — przerwała — rozumiem.

— Ach — wykrzyknął generał — i czemuż trzeba, abym cię odnalazł w ten sposób, Heleno, ciebie, którą tyle oplakiwałem! Będę więc jeszcze musiał biadać nad twym losem!

— Czemu? — spytała z uśmiechem. — Czy nie będziesz rad dowiedzieć się, że jestem kobietą najszczęśliwszą w świecie?

— Szczęśliwą? — wykrzyknął, zrywając się zdumiony.

— Tak, mój dobry ojcze — odparła, chwytając jego ręce, całując i przyciskając do bijącego serca oraz podkreślając jeszcze te słowa wymową oczu błyszczących radością.

— Jakim cudem? — spytał ciekaw życia córki i zapominając o wszystkim wobec tej promiennej twarzy.

— Słuchaj, ojcze, mam za kochanka, za męża, za niewolnika, za pana, człowieka, którego dusza jest równie wielka jak to bezbrzeżne morze, równie żywna w słodycz jak niebo; słowem, boga. Od siedmiu lat nigdy nie wymknęło mu się słowo, uczucie, gest, które by mogło stanowić najłżejszy rozdźwięk z boską harmonią jego mowy, jego pieszczot, miłości. Ilekroć spojrzal na mnie, zawsze miał uśmiech na ustach, a promień radości w oczach. Tam, na górze jego grzmiący głos góruje często nad rykiem burzy i zgiełkiem bitwy, ale tu jest słodki i melodyjny jak muzyka Rossiniego, którego dzieła otrzymuję tutaj. Wszystko, co może wymyślić kaprys kobiety, mam od niego. Czasem nawet przewyższa moje życzenia. Słowem, panuję na morzu i mam posłuch jak istna królowa. Och, szczęśliwa — dodała po pauzie — *szczęśliwa*, to słowo nie może wyrazić mego szczęścia. Posiadam to, o czym marzą wszystkie kobiety! Czuć miłość, czuć poświęcenie, oddanie bez miary tego, którego się kocha, spotkać w jego sercu nieskończone uczucie, w którym dusza kobiety gubi się na zawsze, powiedz, ojcze, czy to tylko szczęście? Wchłonęłam już tysiąc istnień. Tu jestem sama, tu rozkazuję. Nigdy inna kobieta nie stąpiła nogą na ten szlachetny okręt, gdzie Wiktor jest zawsze o kilka kroków ode mnie. Nie może odejść dalej niż na długość pokładu — dodała filuternie. — Siedem lat! Miłość, która oparła się siedem lat nieustannemu szczęściu, każdogodzinnej próbie, czy to miłość? Nie, och, nie! To więcej niż wszystko, co znam w życiu... mowa ludzka nie ma wyrazu na określenie niebiańskiego szczęścia.

Strumień łez trysnął z rozplamionych oczu. Dzieci wydały żalony krzyk i zbiegły się jak kurczęta do matki; najstarszy chłopiec uderzył generała, spoglądając nań groźnie.

— Ablu, dziecko moje, ja płaczę z radości.

Wzięła go na kolana, dziecko pieściło ją; poufale obejmując rączkami wspaniałą szyję Heleny, niby młody lewek bawiący się z matką.

— I nie nudzisz się? — wykrzyknął generał oszołomiony egzaltacją córki.

— Owszem — rzekła — na lądzie, kiedy się tam znajdziemy; ale tam nigdy nie rozstaję się z mężem.

— Ale ty lubiłaś zabawy, bale, muzykę?

— Muzyka to jego głos; zabawy to stroje, które obmyślam dla niego. Kiedy jakaś suknia mu się podoba, czyż to nie jest tak, jakby cały świat mnie podziwiał? Dlatego jedy-

nie nie rzucam w morze tych diamentów, tych naszyjników i diademów, tych bogactw, kwiatów, arcydzieł sztuki, którymi mnie obsypuje. „Heleno, mów, skoro nie możesz być w świecie, chcę, aby świat przyszedł do ciebie”.

— Ależ na tym statku są mężczyźni, ludzie zuchwali, groźni, których namiętności...

— Rozumiem cię, ojcze — rzekła z uśmiechem. — Uspokój się. Nigdy cesarzowa nie była otoczona większą czcią. Ci ludzie są zabobonni, wierzą, że ja jestem opiekuńczym duchem statku, wypraw, powodzenia. Ależ on jest ich bogiem! Jednego dnia, jeden raz majtek pewien uchybił mi... w słowach — dodała, śmiejąc się. — Nim Wiktor zdążył się o tym dowiedzieć, załoga sama rzuciła go w morze, mimo mego przebaczenia. Kochają mnie jak swego dobrego anioła, pielęgnuję ich w razie choroby, miałam szczęście ocalić kilku od śmierci, czuwając nad nimi z oddaniem kobiety. Ci biedni ludzie to wraz olbrzymy i dzieci.

— A kiedy przychodzi do bitwy?

— Przywykłam — odparła. — Drżałam jedynie pierwszy raz... Teraz dusza moja nawykła do tych niebezpieczeństw... a nawet... Jestem twoją córką, kocham je.

— A gdyby on zginął?

— I ja bym zginęła.

— A twoje dzieci?

— Są dziećmi oceanu i burz, dzielą życie rodziców. Nasza dola jest jedna i nie da się rozdzielić. Żyjemy wszyscy jednym życiem, zapisani na jednej karcie, żeglujący na jednej łodzi, wiemy o tym.

— Zatem kochasz go tak, że przekładasz go nad wszystko?

— Nad wszystko. Ale nie zgłębiajmy tej tajemnicy. Patrz, ojcze, to drogie dziecko, to jeszcze on!

Po czym, tuląc Abła z całych sił, okrywała drapieżnymi pocałunkami jego lica, włosy...

— Ale — wykrzyknął generał — niepodobna mi zapomnieć, że on wrzucił przed chwilą w morze dziewięć osób.

— Tak było trzeba zapewne — odparła — bo on jest ludzki i szlachetny. Stara się wylać jak najmniej krwi dla bezpieczeństwa i interesów małego światka, który ma w swojej pieczy i dla dobra świętej sprawy, której broni. Pomów z nim o tym, co ci się wydaje złe, a zobaczysz, że cię przekona.

— A jego zbrodnia? — rzekł generał jakby sam do siebie.

— A gdyby ta zbrodnia była właśnie cnotą? — odparła ze spokojną godnością. — Gdyby ziemską sprawiedliwość nie była zdolna go pomścić?

— Mścić się samemu?

— A czymże jest piekło — spytała — jeśli nie wieczną pomstą za grzechy jednego dnia?

— Och, tyś zgubiona. On cię urzekł, zatrul cię. Mówisz od rzeczy.

— Zostań tu przez dzień, ojcze, a jeśli zechcesz go słuchać, patrzeć nań, pokochasz go.

— Heleno — rzekł poważnie generał — jesteśmy o kilka mil od Francji...

Zadrzała, spojrziała przez okno, ukazała morze toczące swe olbrzymie, zielone obszary.

— Oto mój kraj — odparła, trącając nogą dywan.

— I nie przybędziesz odwiedzić matki, siostry, braci?

— Och, tak — rzekła ze łzami w głosie — jeśli on zechce i jeśli będzie mógł przybyć ze mną.

— Więc nie masz już nic, Heleno — odparł surowo generał — ani kraju, ani rodziny?...

— Jestem jego żoną — odparła z dumą, z akcentem niezrównanej szlachetności. — Oto od siedmiu lat pierwsze szczęście nie płynące od niego i oto pierwszy wyrzut, jaki usłyszałam.

— A twoje sumienie?

— Moje sumienie! Ależ to on.

To mówiąc, zadrzała gwałtownie.

— Idzie! — rzekła. — Nawet wśród walki poznaję jego krok między wszystkimi innymi na pomoście.



Naraz rumieniec zabarwił jej policzki, rozjaśnił jej rysy, rozplómił oczy, twarz stała się matowo biała... Szczęście i miłość widne były w jej mięśniach, w błękitnych żyłkach, w mimowolnym drżeniu całej istoty. Ten dreszcz uczucia wzruszył generała. Jakoż niebawem wszedł korsarz, usiadł na fotelu, wziął na kolana najstarszego syna i zaczął się z nim bawić. Zapanowało milczenie. Generał pogrążony w półsennej zadumie patrzył na tę wykwintną kajutę podobną do gniazda zimorodka, w którym ta rodzina żeglowała po oceanie od siedmiu lat, między niebem a falą, na wiarę jednego człowieka, prowadzona przezeń w niebezpieczeństwach wojny i burz, jak w życiu prowadzi rodzinę ojciec wśród niedoli świata... Spoglądał z podziwem na córkę, na ten fantastyczny obraz boginki morskiej, jaśniejącej urodą, na córkę bogatą w szczęście, gaszącą wszystkie otaczające ją skarby skarбами swej duszy, błyskawicami swych oczu oraz nieopisaną poezją bijącą od jej postaci. Było w tym coś, co go zdumiewało; cud uczucia i logiki miazdzący utarte pojęcia. Zimne i ciasne kombinacje towarzyskie rozpadały się wobec tego obrazu. Stary żołnierz odczuł to wszystko; zrozumiał również, że nigdy córka nie opuściłaby życia tak bujnego, tak bogatego w kontrasty i wypełnionego tak szczerą miłością. Przy tym, raz zakosztowawszy niebezpieczeństw i nie uląkłszy się ich, nie mogła wrócić do drobiazgów świata.

— Przeszkadzam? — spytał korsarz, przerywając milczenie i patrząc na żonę.

— Nie — odparł generał. — Helena powiedziała mi wszystko. Widzę, że jest stracona dla nas...

— Nie — odparł żywo korsarz. — Jeszcze kilka lat, a przedawnienie pozwoli mi wrócić do Francji. Kiedy sumienie jest czyste i kiedy, depcząc wasze prawa, człowiek był posłuszny...

Zamilkł, nie racząc się usprawiedliwiać.

— I nie czuje pan — przerwał generał — wyrzutów z powodu nowych morderstw, których dokonano w moich oczach?

— Nie mamy żywności — odparł spokojnie korsarz.

— Ależ wysadzając tych ludzi na ląd...

— Postaraliby się o to, aby nam jakiś okręt przeciął drogę, i nie dostalibyśmy się do Chile.

— Zanim by — przerwał generał — z Francji mieli czas uprzedzić admiralicję hiszpańską...

— Ale Francja mogłaby mieć za złe, że człowiek, który podpada jeszcze pod jej sądy, zagarnął bryk wynajęty przez kupców z Bordeaux. Zresztą, czy panu nie zdarzyło się kiedy na polu bitwy dać o kilka strzałów armatnich za wiele?

Onieśmielony spojrzeniem korsarza, generał zamilkł, a córka spoglądała nań wzrokiem, który wyrażał tyleż tryumfu co melancholii...

— Generale — rzekł korsarz poważnie — postawiłem sobie zasadę, aby nic nie wyłączać z łupu. Ale pewne jest, że moja część będzie większa niż pański majątek. Niech mi pan pozwoli zwrócić go sobie w innej monecie...

Wyjął z szuflady w fortepianie plik banknotów i nie licząc paczek, podał generałowi milion.

— Rozumie pan, że nie mogę się zabawiać oglądaniem pasażerów na gościńcu francuskim... Otóż, o ile cię nie skusiły niebezpieczeństwa naszego cygańskiego życia, cudy południowej Ameryki, podzwrotnikowe noce, nasze bitwy i rozkaz walczenia za sztandar młodego narodu lub za imię Szymona Boliwara, trzeba mam się rozstać... Szalupa i oddani ludzie czekają na ciebie. Ufajmy, że trzecie nasze spotkanie będzie już zupełnie szczęśliwe...

— Wiktorze, ja chciałabym widzieć ojca jeszcze chwilę — rzekła Helena z nadąsaną minką.

— Dziesięć minut zwłoki może nam ściągnąć na kark jaką fregatę. Niech i tak będzie, zabawimy się trochę. Moi ludzie się nudzą.

— Och! Jedź, ojcie — krzyknęła żona marynarza. — I zanieś siostram, braciom... matce — dodała — te dowody mojej pamięci.

Wzięła garść drogich kamieni, naszyjników, pereł, zawięła je w kaszmirowy szal i podała nieśmiało ojcu.

— I co im powiem od ciebie? — spytał uderzony wahaniem, z jakim Helena wymówiła imię matki.

— Och! Czy możesz wątpić o mym sercu! Co dzień modłę się za ich szczęście.

— Heleno — odparł starzec, patrząc na nią bystro — czy już nigdy cię nie ujrzę? Nigdy nie dowiem się powodów twojej ucieczki?

— Ta tajemnica nie należy do mnie — odparła poważnie. — Gdybym nawet miała prawo, może nie wyznałabym ci jej dziś jeszcze. Cierpiałam dziesięć lat niewysłowionej męki...

Urwała i podała generałowi podarki dla rodziny. Generał, nawykły z czasu wojny do dość szerokich pojęć o zdobyczy, przyjął podarki, zadowolając się myślą, że pod natchnieniem duszy tak czystej i podniosłej jak dusza Heleny kapitan paryski pozostał uczciwym człowiekiem, prowadząc wojnę z Hiszpanami. Zwyciężyła w nim sympatia dla junaków. Pomyślawszy, że byłoby śmieszne okazywać zbytne skrupuły, uściśnął krzepko rękę korsarza, ucałował Helenę, swą jedyną córkę, z żołnierską serdecznością i uronił łzę na tę dumną i dzielną twarz, która uśmiechała się do niego. Wzruszony marynarz podał mu dzieci z prośbą, by je pobłogosławił. W końcu pożegnali się wszyscy raz ostatni długim i serdecznym spojrzeniem.

— Bądźcie szczęśliwi! — rzekł generał, śpiesząc na pokład.

Na morzu czekał go osobliwy widok. *Święty Ferdynand* wydany na pastwę ognia płonął jak olbrzymi stóg siana. Marynarze, którym poruczono zatopienie bryku, stwierdzili, że na statku znajduje się wielka ilość rumu, którego to napoju *Otello* miał pod dostatkiem; zrobili sobie tedy zabawkę, aby zapalić tę ogromną wazkę ponczu na pełnym morzu. Można było wybaczyć tę rozrywkę ludziom, którzy w monotonii morskiego życia chwytali każdą sposobność urozmaicenia swej doli. Wsiadając z bryku do szalupy, na której znajdowało się sześciu dzielnych marynarzy, generał mimo woli dzielił swą uwagę między pożar statku a córkę wspartą na korsarzu i stojącą z nim opodal steru. W obliczu tyłu wspomnień, na widok białej sukni Heleny, bujającej na wietrze jak żagiel, widząc na oceanie tę wyniosłą postać, dość imponującą, aby panować nad wszystkim, nawet nad morzem, generał zapomniał z żołnierską beztróską, że płynie po grobie dzielnego Gomeza. Słup dymu unosił się jak ciemna chmura, a promienie słońca, przebijając ją miejscami, rzucały na nią swoje blaski. Było to drugie niebo, ciemna kopuła, pod którą błyszczwały jakby świece, a nad którą rozpościerał się niezmacony lazur firmamentu, tysiąc razy piękniejszy dzięki temu kontrastowi. Dawne barwy tego dymu, na przemian żółte, płowe, czerwone, czarne, pokrywały statek, który trzeszczał, pryskał i syczał. Płomień świstał, kłując liny i biegł po statku jak zbuntowany lud po ulicach miasta. Rum palił się błękitnym ogniem, który drgał, jakby duch morza podsyczał ten szalony napój, tak samo jak ręka studenta podsycza radosny płomień ponczu w czasie hulanki. Ale słońce, zazdrosne snadź o ten zuchwały blask, ćmiło go potęgą swych promieni. Ten pożar był niby siatka, niby szarfa, igrająca wśród potoków słonecznej powodzi.

*Otello* schwycił do ucieczki odrobinę wiatru, która mogła mu być po myśli, i pochylił się to w jedną, to w drugą stronę, niby latawiec kołyszący się w powietrzu. Piękny bryk posuwał się ku południowi: to znikał oczom generała, kryjąc się za kolumną, której cień kładł się fantastycznie na wodzie, to pokazywał się, podnosząc się z wdziękiem i umykając w dal. Ilekroć Helena mogła dojrzeć ojca, machała chustką, aby go jeszcze pozdrowić.

Niebawem *Święty Ferdynand* zatonął, tworząc wir, nad którym rychło zamknął się ocean. Z całej sceny została jedynie chmura kołysana wiatrem. *Otello* był daleko, szalupa zbliżała się do lądu, chmura stanęła między tą wątłą łodzią a brykiem. Generał ujrzał ostatni raz córkę przez szczelinę w bujającym dymie. Proroczy obraz! Jedynie biała chustka i suknia odcinały się na ciemnym tle. Między zieloną wodą a niebieskim niebem nie było widać nawet statku. Helena była już tylko niedostrzeżalnym punktem, delikatną i wdzięczną linią, aniołem w niebie, myślą, wspomnieniem.

Odbudowawszy swą fortunę, margrabia umarł wyczerpany trudami. W kilka miesięcy po jego śmierci, w roku 1833 margrabinie wypadło zawieźć Moinę do wód w Pirenejach.

Rozkapryszona dziewczyna chciała zwiedzić te góry. Wróciła do wód, a za jej powrotem rozegrała się następująca okropna scena.

— Mój Boże — mówiła Moina — źleśmy zrobiły, mamó, żeśmy nie zostały kilka dni w górach! Było tam o wiele lepiej niż tutaj. Czy słyszałaś te ustawne jęki przekłętego dzieciaka i bredzenie nieszczęśliwej kobiety, która pewnie mówi jakąś gwarą, bo nie zrozumiałam ani słowa? Co za sąsiedztwo! To najokropniejsza noc, jaką przeżyłam.

— Ja nic nie słyszałam — odparła margrabina — ale pójdę, drogie dziecko, do gospodyni i najemę sąsiedni pokój. W ten sposób będziemy same i nikt nam nie będzie hałasował. Jak się czujesz dziś rano? Czyś zmęczona?

To mówiąc, margrabina wstała i podeszła do łóżka Moiny.

— Jakże ci — rzekła, chcąc ująć rękę córki.

— Och, zostaw mnie, mamó — odparła Moina — masz zimne ręce.

Młoda dziewczyna wtuliła się w poduszki z dąsem, ale tak pełnym wdzięku, że niepodobna było matce się obrazić. W tej chwili cicha i przeciągła skarga, której akcent musiał rozdrzeć serce kobiety, rozległa się w przyległym pokoju.

— Ależ, jeśli słyszałaś te jęki całą noc, czemu mnie nie obudziłaś? Byłybyśmy...

Głośniejszy jęk przerwał margrabinie, która wykrzyknęła:

— Ależ tam ktoś umiera!

I wybiegła żywo.

— Przyślij mi Paulinę! — krzyknęła Moina — chcę się ubierać.

Margrabina zeszła szybko i znalazła gospodynię na dziedzińcu z kilkoma osobami, które słuchały jej pilnie.

— Pani gospodyni, umieściła pani koło nas osobę, która widocznie jest bardzo cierpiąca...

— Och, niech mi pani nie mówi o niej — wykrzyknęła gospodyni — właśnie posłałam po mera. Niech sobie pani wyobrazi, ta nieszczęśliwa przyszła tu wieczorem pieszo z Hiszpanii; jest bez paszportu i bez grosza. Niosła na grzbiecie umierające dziecko. Nie mogłam jej odmówić przyjęcia. Dziś rano sama poszłam zajrzeć do niej, bo wczoraj, kiedy tu przybyła, strasznie mi jej było żal. Biedna kobiecina! Leżała obok dziecka i oboje walczyli ze śmiercią. „Pani, rzekła do mnie, ściągając pierścionek z palca, mam już tylko to, weź to pani jako zapłatę; to wystarczy, nie będę tu długo bawić. Biedne maleństwo, umrzemy razem”, rzekła, spoglądając na dziecko. Wzięłam pierścionek i spytałam, kto ona jest, ale za nic nie chciała mi powiedzieć nazwiska... Posłałam właśnie po lekarza i po pana mera.

— Niechże pani — wykrzyknęła margrabina — da jej wszystko, czego jej potrzeba. Mój Boże, może jeszcze uda się ją uratować! Zapłacę wszystko.

— Ba, paniusiu, ona ma minę strasznie dumną, nie wiem, czy zechce...

— Pójdę do niej.

I margrabina udała się do nieznanjomej, nie myśląc o wrażeniu, jakie może na umierającej sprawić jej widok, bo jeszcze była w żałobie. Na widok konającej margrabina zbladła. Mimo straszliwych cierpień, które zmieniły twarz Heleny, poznała najstarszą córkę. Na widok kobiety czarno odzianej Helena siadła na łóżku, wydała krzyk grozy i opadła z wolna na łóżko, poznając swą matkę.

— Moja córka! — rzekła pani d'Aiglemont. — Czego ci trzeba? Paulino! Moino!

— Nie trzeba mi już nic — odparła Helena gasnącym głosem. — Miałam nadzieję ujrzeć jeszcze ojca, ale twoja żałoba mówi mi...

Nie dokończyła; przycisnęła dziecko do piersi, jak gdyby chcąc je ogrzać, ucałowała je w czoło i objęła matkę spojrzeniem, w którym czytało się jeszcze wyrzut, mimo że złagodzony przebaczeniem. Margrabina nie chciała widzieć tego wyrzutu: zapomniała, że Helena była dzieckiem poczętym niegdyś we łzach i w rozpacz, dzieckiem obowiązku, dzieckiem, które było przyczyną jej największych nieszczęść: zbliżyła się łagodnie do najstarszej córki, pamiętając tylko, że Helena pierwsza dała jej poznać rozkosze macierzyństwa. Oczy matki napelniły się łzami; ściskając córkę, wykrzyknęła:

— Heleno! Dziecię moje...

Helena milczała. Właśnie przyjęła ostatnie tchnienie swego ostatniego dziecka.

W tej chwili weszła Moina, za nią pokojówka, gospodyni i doktor. Margrabina trzymała w rękach lodowatą rękę córki i patrzyła na nią ze szczerą rozpaczą. Oszołomiona

tym nieszczęściem wdowa po marynarzu, która uratowała się z rozbicia, ocaliwszy z całej swej pięknej rodziny tylko jedno dziecko, rzekła do matki okropnym głosem:

— Wszystko to jest twoje dzieło! Gdybyś była dla mnie tym, czym...

— Moino, wyjdź, wyjdźcie wszyscy! — krzyknęła pani d'Aiglemont, głusząc słowa Heleny. — Przez litość, córko — rzekła — nie wznawiajmy bolesnych sporów...

— Będę milczeć — odparła Helena z nadludzkim wysiłkiem. — Jestem matką, wiem to, czego Moina nie powinna... Gdzie moje dziecko?

Weszła Moina powodowana ciekawością.

— Siostro — rzekła rozpieszczona dziewczyna — doktor powiedział...

— Wszystko na próżno — odparła Helena. — Ach, czemuż nie umarłam, mając szesnaście lat, wówczas gdy chciałam się zabić! Nie da się znaleźć szczęścia wbrew prawom. Moino... ty...

Umarła, schylając głowę na główkę swego dziecka, które ścisnęła konwulsyjnie.

— Siostra chciała ci z pewnością powiedzieć, Moino — rzekła pani d'Aiglemont, wróciwszy cała we łzach do swego pokoju — że młoda panna nie znajdzie nigdy szczęścia w życiu romansowym, sprzecznym z przyjętymi pojęciami, a zwłaszcza z dala od matki.

## VI. STAROŚĆ WYSTĘPNEJ MATKI

W pierwszych dniach czerwca roku 1844 dama lat około pięćdziesięciu, ale na oko jeszcze starsza niż była w istocie, przechadzała się w słońcu, o południu, w ogrodowej alei wielkiego pałacu przy ulicy Plumet w Paryżu. Przeszedłszy się kilka razy po krętej ścieżce, której się trzymała, aby nie tracić z oczu okien przykuwających całą jej uwagę, usiadła na drewnianym fotelu. Z tego miejsca, sięgając wzrokiem poza sztachety, dama mogła widzieć i bulwary, przy których stoi cudowny gmach Inwalidów, wznoszący swą złotą kopułę wśród tysiąca wiązków, i skromniejszą perspektywę swego ogrodu, zakończoną fasadą jednego z piękniejszych pałaców *Saint-Germain*. Wszystko tam tonęło w ciszy, i sąsiednie Ogrody, i bulwary, i Inwalidzi, bo w tej dostojnej dzielnicy dzień zaczyna się dopiero w południe. Z wyjątkiem jakiegoś kaprysu, o ile młoda pani nie zechce się przejechać konno lub stary dyplomata nie musi sporządzić jakiegoś protokołu, wszystko, państwo i służba, o tej godzinie śpi albo się budzi.

Dama wstająca tak wcześnie była to margrabina d'Aiglemont, matka pani de Saint-Héreen, do której należał ten piękny pałac. Margrabina wyzuła się zeń dla córki, której oddała cały majątek, zachowując jedynie dożywocie. Hrabina Moina de Saint-Héreen była ostatnim dzieckiem pani d'Aiglemont. Aby ją wydać za potomka jednego z najznakomitszych domów Francji, margrabina poświęciła wszystko. Nic naturalniejszego: straciła kolejno dwóch synów; jeden, Gustaw, margrabia d'Aiglemont, umarł na cholera, drugi, Abel, padł pod Konstantyną. Gustaw zostawił dzieci i wdowę. Ale dość wzięte przywiązanie, jakie pani d'Aiglemont miała do synów, zwątpało jeszcze, przenosząc się na wnuków. Była grzeczna dla młodej pani d'Aiglemont, ale ograniczała się do dawkowego uczucia, jakie dobry smak i formy nakazują żywić dla naszych bliźnich. Ponieważ stosunki majątkowe wnuków były doskonale uregulowane, zachowała dla ukochanej Moiny własne oszczędności i majątek.

Moina, piękna i czarująca od dzieciństwa, była dla pani d'Aiglemont przedmiotem owej wrodzonej lub mimowolnej czułości, jaka zdarza się u matek; nieszczęsne sympatie, które wydają się niewytłumaczone lub które obserwatorzy umieją zbyt dobrze tłumaczyć. Cudna twarzyczka Moiny, luby głos tej ukochanej córki, jej ruchy, chód, gra fizjonomii, wszystko to budziło w margrabinie najgłębsze wzruszenia, jakie mogą ożywiać, mącić lub czarować serce matki. Nerw jej życia obecnego, jutrzejszego, przeszłego, znajdował się w sercu młodej kobiety, w której matka pomieściła wszystkie swoje skarby. Moina przeżyła szczęśliwie czworo starszych. Pani d'Aiglemont straciła w istocie — wedle kroniki światowej — w najopłakańszy sposób uroczą córkę, której losy były prawie zupełnie nieznanne, oraz pięcioletniego chłopca wydartego straszną katastrofą. Margrabina widziała zapewne wolę nieba w tym, że los tak oszczędził córkę najmiłszą jej sercu; słabe jedynie wspomnienie poświęcała dzieciom, które jej wydarła śmierć. Wspomnienia te były w jej duszy niby groby na polu bitwy, ledwie widoczne pod polnym kwieciami. Świat mógłby wprawdzie zażądać od margrabiny rachunku z tej obojętności i z tej nierówno-

ści uczuć; ale świat paryski płynie takim strumieniem wypadków, mód, idei i zdarzeń, że życie pani d'Aiglemont było tak jak zapomniane. Nikt nie myślał jej czynić zbrodni z chłodu i niepamięci, które nie obchodziły nikogo, gdy czułość jej dla Moiny obchodziła wiele osób. Zresztą margrabina mało bywała w świecie, a w oczach większości osób, które ją znały, wydawała się dobra, łagodna, pobożna, pobłażliwa. Czyż nie trzeba bardzo szczególnego interesu, aby sięgać poza tę maskę, która wystarcza społeczeństwu? Czegóż zresztą nie wybacza się starcom, skoro się stają jak cienie i pragną być już tylko wspomnieniem? Słowem pani d'Aiglemont była wzorem chętnie wskazywanym przez dzieci rodzicom i świekrom<sup>17</sup> przez zięciów. Oddała wszak za życia cały majątek Moinie, szczęśliwa szczęściem młodej pani, żyjąc tylko nią i dla niej. Jeżeli jakiś przezorny starzec, jakiś zgryźliwy wujaszek ganił ten postępek, mówiąc: „Pani d'Aiglemont pożałuje może kiedyś, że się wyzula z majątku dla córki; gdyby nawet dobrze znała serce pani de Saint-Héreen, czy może być równie pewna swego zięcia?” — prorok taki spotykał się z powszechnym oburzeniem; ze wszystkich stron sypały się pochwały dla Moiny.

— Trzeba oddać sprawiedliwość pani de Saint-Héreen — mówiła jakaś młoda kobieta — że w życiu matki nic się nie zmieniło. Ma cudny apartament, powóz na swoje rozkazy, może bywać wszędzie jak dawniej...

— Z wyjątkiem w operze — odparł z cicha pieczeniars<sup>18</sup>, jeden z ludzi, którzy się czują w prawie obmawiać przyjaciół pod pozorem niezależności. — Stara margrabina poza swoim dzieckiem kocha jedynie muzykę. Była tak wspaniałą śpiewaczką swego czasu! Ale ponieważ łoża hrabiny jest zawsze pełna galopantów, matka krępowałaby młodą osóbkę, o której mówią już jak o skończonej kokietce. Dlatego pani d'Aiglemont nigdy nie bywa w operze.

— Pani de Saint-Héreen — mówiła panienka na wydaniu — urządza dla matki rozkoszne wieczory, ma salon, gdzie bywa cały Paryż.

— Salon, gdzie nikt nie zwraca na matkę uwagi — odpowiadał pieczeniars.

— Bądź co bądź, pani d'Aiglemont nigdy nie jest sama — mówił jakiś lalusz trzymający stronę młodych kobiet.

— Rano — odparł z cicha stary bywalec — rano *droga Moina śpi*. O czwartej droga Moina jest w Lasku. Wieczorem droga Modna idzie na bal albo do teatru... Ale to prawda, że pani d'Aiglemont ma szczęście oglądać córkę, kiedy się ubiera lub przy obiedzie, o ile przypadkowo droga Moina je obiad ze swą drogą matką. Nie ma jeszcze tygodnia, drogi panie — rzekł pieczeniars, biorąc pod rękę nieśmiałego guwenera od niedawna bawiącego w domu — jak zastałem tę biedną matkę smutną i samą przy kominku. „Co pani?” spytałem. Spojrzała na mnie z uśmiechem, ale widziałem, że płakała: „Myślałam, odparła, że to dziwne być tak samą, kiedy się miało pięcioro dzieci; ale to jest nasz los! A przy tym ja jestem taka szczęśliwa, kiedy Moina się bawi!”. Mogła się zwierzyć mnie, wszak niegdyś znałem nieboszczyka jej męża. To było wielkie zero, miał szczęście, że znalazł taką żonę; to pewna, że jej zawdzięczał parostwo i stanowisko na Dworze.

Ale w rozmowy światowe wkrada się tyle omyłek, czyni się w nich z lekkim sercem tyle złego, że historyk musi dobrze ważyć zdania obojętnie rzucane przez tylu obojętnych. Może w ogóle między matką a dzieckiem nie powinno się roztrząsać, kto ma słusność? Między tymi dwoma sercami jest tylko jeden możliwy sędzia: tym sędzią — Bóg! Bóg, który często spuszcza na rodziny swą pomstę i który wiekuiście używa dzieci przeciw matkom, ojców przeciw synom, ludów przeciw królom, władców przeciw narodom, wszystkich przeciw wszystkim; zastępując uczucia uczuciami, jak młode liście zastępują stare na wiosnę; działając w celach niezmiennego porządku, celach jemu tylko znanych. Bez wątpienia każda rzecz idzie — lub lepiej rzekłszy — wraca do niego.

Te zbożne myśli, tak naturalne u starców, kłębiły się w duszy pani d'Aiglemont; czasem jasne, to znów mętne, to rozwijające się pełno niby kwiaty na wodzie w czasie burzy. Siedziała zmęczona długim rozmyśleniem, zadumą, w której życie całe wstaje i rozsnuwa się przed oczami tych, co przezuwają śmierć.

Ta kobieta zestarzała przed czasem przedstawiałaby dla jakiegoś poety przechodzącego bulwarem ciekawy obraz. Patrząc na nią, jak siedzi w nikłym cieniu akacji — cień akacji

<sup>17</sup>świekr, świekra (daw.) — rodzice męża. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>pieczeniars — ubogi krewny żyjący u zamożnej rodziny szlacheckiej na „łaskawym chlebie”, odwiedzający się usługami domowymi; także: osoba żyjąca wygodnie na czyjś koszt. [przypis edytorski]

o południu! — wyczytaliście tysiąc myśli na tej twarzy bladej i zimnej nawet w pełnym słońcu. Ta wymowna twarz wyrażała coś poważniejszego jeszcze niż schyłek życia, coś głębszego niż dusza zmęczona doświadczeniem. Był to jeden z owych typów, które wśród tysiąca fizjonomii obojętnych i bez charakteru zatrzymują nas na chwilę i pobudzają do myślenia; tak jak wśród tysiąca obrazów w muzeum uderzy cię bądź cudna głowa, w której Murillo oddał boleść matki, bądź twarz Beatrix Cenci, na której Gwido umiał odmalować wzruszającą niewinność w najokropniejszej zbrodni, bądź posępna twarz Filipa II, w której Velasquez na wieki zaklął majestat i grozę królewskość. Niektóre twarze są niby narzucające się despotycznie obrazy, które mówią, pytają, odpowiadają tajemnym myślom, tworzą całe poematy. Złodowaciała twarz pani d'Aiglemont była jednym z tych straszliwych poematów, jedną z owych fizjonomii rozsypanych tysiącami w *Boskiej Komedii* Dantego.

Przez ten krótki czas, kiedy kobieta jest w rozkwicie, uroda jej doskonale nadaje się do kłamstwa, na jakie ją skazują przyrodzona słabość i nasze prawa. Pod świeżym rumieńcem policzków, pod ogniem spojrzenia, pod delikatną siecią rysów, subtelnych linii, wzruszenia jej mogą pozostać ukryte. Rumieniec, który barwi kolory już z natury tak żywe, nie zdradza nic; wewnętrzne ognie zlewają się tak dobrze z blaskiem oczu tryskających życiem, że przelotny płomień cierpienia staje się tylko jednym wdziękiem więcej. Toteż nic dyskretniejszego niż młoda twarz, tym że jest tak nieruchoma. Twarz młodej kobiety ma spokój, gładkość, chłód tafli jeziora. Fizjonomia kobiet zaczyna się dopiero w trzydziestym roku. Do tego wieku malarz znajduje na ich twarzy jedynie kolor biały i różany, uśmiechy i wyrazy powtarzające tę samą myśl, myśl młodości i miłości, myśl jednostajną i pozbawioną głębi. Ale na starość wszystko u kobiety przyszło do głosu; namiętności wrosły w jej twarz; była kochanką, żoną, matką; najgwałtowniejsze wyrazy szczęścia i bólu urobiły i pomięły jej rysy, odcisnęły się w nich tysiącem zmarszczek, z których każda ma swą wymowę. Wówczas głowa kobiety staje się wspaniała grozą, piękna melancholią lub wzniosła spokojem. Jeśli wolno ciągnąć to śmiało porównanie, można by rzec, że jezioro, wyschłe wówczas, pozwala nam oglądać ślady wszystkich strumieni, które je stworzyły. Głowa starej kobiety nie należy ani do świata, który, bezmyślny z natury, z przerażeniem widzi zniweczenie wszystkich pojęć o smaku, do jakich przywykli; ani do pospolitych artystów, którzy nie odkryją w niej nic; ale do prawdziwych poetów, do tych, co mają poczucie piękna, niezależnego od konwencji, na których wspiera się tyle przesądów w sferze sztuki i piękna.

Mimo iż pani d'Aiglemont miała na głowie modną kapotkę, łatwo było dojrzeć, że włosy jej, niegdyś czarne, pobielały od okrutnych wzruszeń; ale sposób, w jaki zaczesywała je w dwa pasma, świadczył o dobrym smaku, zdradzał nawyki wykwiintnej kobiety, doskonale rysując jej zwiędłe i pomarszczone czoło, w którego liniach widniały ślady dawnego blasku. Owal twarzy, regularne rysy, dawały niejaki pojęcie o piękności, z której musiała niegdyś być dumna, ale ślady te podkreślały jeszcze cierpienia, które musiały być bardzo bolesne, aby tak wyźłobić tę twarz, wysuszyć skronie, wciągnąć policzki, a zwiędłe powieki ogołocić z tego, co jest wdziękiem spojrzenia — z rzęs. Wszystko było w tej kobiecie milczące; jej chód i ruchy miały ową skupioną i majestatyczną powagę, która nakazuje szacunek. Skromność jej zmieniła się w nieśmiałość, widocznie pod wpływem przyzwyczajenia, jakiego nabrała od kilku lat, aby się chować w cień wobec córki. Słowa jej były rzadkie i łagodne, jak u osób zmuszonych zastanawiać się, skupiać, żyć w sobie. To zachowanie się i to jej wzięcie<sup>19</sup> budziły dziwne uczucie, które nie było ani obawą, ani litością, ale w którym stapiały się tajemniczo wszystkie odcienie tych wrażeń. Wreszcie rodzaj jej zmarszczek, sposób, w jaki twarz była pomięta, bladeść bolesnego spojrzenia, wszystko świadczyło wymownie o łzach, które łkane przez serce nie spadały nigdy na ziemię. Nieszczęśliwi przywykli patrzeć w niebo, aby mu się skarżyć na niedole życia, łatwo poznaliby w oczach tej matki bolesny nawyk modlitwy ponawianej o każdej porze dnia oraz ślady tajemnych ran, które niweczą w końcu kwiaty duszy, a nawet uczucie macierzyństwa. Malarze mają farby dla tych portretów, ale myśli i słowa są bezsilne, aby je oddać; istnieją w karnacji, w wyrazie twarzy zjawiska niewytłumaczone, które dusza chwyta wzrokiem, ale dla poety jedynym sposobem wyrażenia ich jest opowiedzieć

<sup>19</sup>wzięcie (daw.) — sposób bycia. [przypis edytorski]

wypadki będące przyczyną tak straszliwych zmian. Ta twarz mówiła o spokojnej i zimnej burzy, o tajemnej walce między heroizmem matczynego bólu a ułomnością naszych uczuć, które są ograniczone jak my sami i w których nie ma nic nieskończonego. Te cierpienia dławione bez przerwy wytworzyły w końcu w tej kobiecie coś chorobliwego. Z pewnością jakies zbyt gwałtowne wzruszenia zraniły fizycznie to matczyne serce; jakaś choroba, może aneurizm, groziła z wolna i bez jej wiedzy tej kobiecie. Prawdziwe zgryzoty są na pozór tak spokojne w głębokim łożu, jakie sobie żłobią: wydaje się, że śpią, ale wciąż zjadają duszę jak ów straszliwy kwas, który przeżera kryształ! W tej chwili dwie łzy spływały po licach margrabiny; wstała, jak gdyby ją zraniła nagle jakaś boleśniejsza od innych refleksja. Ujrzała zapewne przyszłość Moiny. I przewidując cierpienia, jakie czekają córkę, uczuła na sercu brzemię własnego życia.

Położenie tej matki stanie się zrozumiałe, skoro opiszemy położenie córki.

Hrabia de Saint-Héreen wyjechał blisko od pół roku w misji politycznej. W jego nieobecności Moina, która z próżnostkami modnej lali łączyła zachcianki dziecka, zaczęła, bądź przez pustotę, bądź dla dogodzenia kaprysom zalotności, może aby wypróbować swą władzę — zaczęła igrzać z uczuciami człowieka zręcznego, ale bez serca. Powiadał, że szaleje z miłości, owej miłości, z którą splatają się wszystkie ambicyjki i próżnostki firycka. Pani d'Aiglemont, którą długie doświadczenie nauczyło znać życie, śledziła postępy tej miłostki i przeczuwała zgubę córki, widząc, że się dostała w ręce człowieka, dla którego nie ma nic świętego. Czyż nie było dla niej czymś okropnym odgadywać zjadacza serc w człowieku, którego Moina słuchała z rozkoszą? Jej ukochane dziecko było nad przepaścią. Miała straszliwą pewność tego i nie śmiała jej powstrzymać, bo drżała przed córką. Wiedziała, że Moina nie usłucha przestrogi; nie miała władzy nad tą duszą z żelaza dla niej, a przedziwnie miękką dla innych. Umiałaby współczuć z nieszczęściami miłości usprawiedliwionej szlachetnymi przymiotami uwodziciela, ale córka szła jedynie za kaprysem, margrabina zaś pogardzała hrabią Alfredem de Vandenesse, wiedząc, że zdolny jest uważać walkę z Moiną za partię szachów. Mimo iż Alfred de Vandenesse budził wstęt w tej nieszczęśliwej matce, musiała ukrywać w najgłębszym zaułku serca istotne przyczyny tego wstętu. Łączyły ją serdeczne węzły z margrabią de Vandenesse, ojcem Alfreda, a ta przyjaźń, szanowna w oczach świata, uprawniała młodego człowieka do poufałego przesiadywania u pani de Saint-Héreen, dla której udawał miłość datującą się jeszcze z dzieciństwa. Zresztą na próżno pani d'Aiglemont zdobyłaby się na to, aby rzucić między córkę a Alfreda straszliwe słowo zdolne ich rozdzielić; była pewna, że nie zdałoby się to na nic, mimo potęgi tego słowa, które by ją zhańbiło w oczach córki. Alfred był nadto zepsuty, Moina zbyt sprytna, aby uwierzyć temu odkryciu; młoda hrabina byłaby z pewnością przeszła nad nim do porządku, traktując je jak podstęp matczyzny. Pani d'Aiglemont własnymi rękami zbudowała swoje więzienie; zamurowała się w nim sama, aby w nim umrzeć, patrząc, jak się marnuje piękne życie Moiny, owo życie, które stało się jej chlubą, szczęściem i pociechą, istnienie droższe jej tysiąc razy niż własne. Straszliwe cierpienia, niewiarygodne, bez nazwy! Przepaść bez dna!

Czekała niecierpliwie obudzenia się córki, a zarazem bała się go, podobna skazańcowi, który chciałby już skończyć z życiem, a drży na myśl o szafocie... Margrabina postanowiła zdobyć się na ostatni wysiłek, ale obawiała się nie tyle niepowodzenia, ile tego, że może znowu doznać jednej z owych ran tak bolesnych dla jej serca, że wyczerpały one wszystkie jej siły. Miłość tej matki doszła do tego: kochać córkę, bać się jej, lękać się ciosu sztyletu i iść naprzeciw niemu. Macierzyństwo jest tak potężne w kochających sercach, że nim dojdzie do obojętności, matka musi umrzeć albo wesprzeć się na jakiejś wielkiej potędze, religii lub miłości. Od chwili przebudzenia nieszczęsna pamięć margrabiny odtworzyła jej liczne fakty, drobne na pozór, ale nabierające w życiu wewnętrznym ogromnej wagi. W istocie, czasami jeden gest zamyka cały dramat; jeden akcent, jedno słowo rozdziera całe życie, jedno obojętne spojrzenie zabija najszcześniejsze przywiązanie. Margrabina d'Aiglemont widziała niestety za wiele tych gestów, słyszała zbyt wiele tych słów, przejęła za wiele spojrzeń tak strasznych dla duszy, aby wspomnienia mogły ją natchnąć nadzieją. Wszystko jej dowodziło, że Alfred zgubił ją w sercu córki, gdzie ona, matka była już nie przyjemnością, ale obowiązkiem. Tysiąc rzeczy, drobiazgów nawet, świadczyło, jak szpetnie córka z nią postępuje; a w oczach margrabiny niewdzięczność ta była może karą. Szukała usprawiedliwienia dla córki w wyrokach Opatrzności, aby móc

jeszcze ubóstwiać rękę, która ją biła. W ten rano przypomniała sobie wszystko i wszystko żgnęło ją na nowo w serce tak dotkliwie, że czara cierpienia musiała się przelać, gdyby przyczynić jeszcze najłżejszy ból. Jedno zimne spojrzenie mogło zabić margrabinę. Trudno odmalować te drobne zdarzenia, ale jedno da może pojęcie o wszystkich. Tak więc margrabina, która była już nieco głucha, nigdy nie mogła uzyskać, aby Moina mówiła do niej głośniejsze, a kiedy raz z naiwnością cierpiącej istoty poprosiła córkę, aby powtórzyła nie dość wyraźne zdanie, Moina usłuchała, ale tak niechętnie, że nigdy pani d'Aiglemont nie ponowiła swojej skromnej prośby. Od tego czasu, kiedy Moina coś opowiadała lub mówiła, margrabina przysuwała się do niej, ale często hrabina zbyt wyraźnie była znużona kalectwem, które nieopatrznie wymawiała matce. Ten przykład, jeden z tysięcy, mógł uderzyć jedynie serce matki. Wszystkie te rzeczy uszłyby może uwagi obserwatora, to były odcienie niedostrzegalne, oprócz dla oczu kobiety. Tak na przykład kiedy jednego dnia pani d'Aiglemont powiedziała córce, że była u niej księżna de Cadignan, Moina wykrzyknęła tylko:

— Jak to! Ona była tu dla mamy!

Ton, jakim wyrzekła te słowa, miał lekki akcent nieopisanego zdziwienia, wytworzonej wzgardy. W porównaniu z tym tonem sercom zawsze młodym i tkliwym wydałby się miłosierdziem obyczaj dzikich, którzy zabijają starców, niezdolnych się już utrzymać na gałęzi, gdy się nią silnie potrzęsa. Pani d'Aiglemont wstała, uśmiechnęła się i poszła się wypłakać w milczeniu. Ludzie dobrze wychowani, kobiety zwłaszcza, nie zdradzają swych uczuć inaczej niż za pomocą niedostrzegalnych odcieni, ale ci, którzy przeszli w życiu podobne chwile, rozumieją, co przechodziła ta nieszczęsna matka. Zmiażdżona wspomnieniami pani d'Aiglemont uprzytomniła sobie któryś z owych mikroskopijnych faktów, tak dotkliwych, tak okrutnych; nigdy tak dobrze jak w tej chwili nie widziała bezlitosnej wzgardy skrytej pod uśmiechem. Ale czy jej obeszły, kiedy usłyszała, że otwierają się żaluzje w pokoju córki. Pobiegła ku oknu ścieżką wzdłuż sztachet, przy których przed chwilą siedziała. Idąc, zauważyła staranność, z jaką ogrodnik wygracował piasek na ścieżce, dość lichy utrzymane od pewnego czasu. Skoro pani d'Aiglemont podeszła pod okno, żaluzje zatrzasnęły się nagle.

— Moino! — zawołała.

Żadnej odpowiedzi.

— Pani hrabina jest w saloniku — rzekła pokojówka, skoro margrabina, wszedłszy, spytała, czy córka już wstała.

Pani d'Aiglemont miała w tej chwili serce zbyt wezbrane i głowę zbyt pełną myśli, aby się zastanawiać nad podobnymi drobiazgami. Weszła żywo do saloniku, gdzie zastała hrabinę w peniuarze, w czepeczku włożonym niedbale na oburzone włosy, w pantofelkach. Klucz od sypialni miała za paskiem, a twarz odzwierciedlała burzliwe myśli. Była bardzo czerwona. Siedziała na sofie, jakby zastanawiając się.

— Po co łazicie tutaj? — rzekła twardo. — A, to ty, mammo — dodała niedbale, spostrzegłszy matkę.

— Tak, dziecko, to twoja matka...

Akcent, jakim pani d'Aiglemont wyrzekła te słowa, świadczył o wezbraniu serca i o wzruszeniu, które trudno byłoby wyrazić inaczej niż słowem *świętość*. W istocie, w tej chwili miała w sobie tyle świętej godności matki, że uderzyło to Moinę. Obróciła się ku matce ruchem, który wyrażał szacunek, niepokój i wyrzuty. Margrabina zamknęła drzwi od saloniku, gdzie nikt nie mógł wejść, nie czyniąc hałasu w sąsiednich pokojach. Oddalenie to zabezpieczało od wszelkiej niedyskrecji.

— Moje dziecko — rzekła margrabina — obowiązkiem moim jest oświecić cię w jednym z najkrytyczniejszych momentów życia kobiety, który przebywasz może bez swej wiedzy. Chcę mówić z tobą nie tyle jako matka, ile jako przyjaciółka. Wyszędłszy za męża, stałaś się wolna; winna jesteś ze swych postępów rachunek jedynie mężowi. Ale tak mało — może to źle z mej strony — dałam ci uczuć powagę macierzyńską, że czuję się w prawie żądać, byś mnie wysłuchała raz jeden przynajmniej, w poważnej sytuacji, w której możesz potrzebować rady. Pomyśl, Moino, że cię wydała za człowieka niepospolitych zdolności, z którego możesz być dumna, że...

— Mammo — wykrzyknęła Moina, przerywając z dąsem — wiem, co chcesz powiedzieć... Chcesz mi wypalić kazanie z powodu Alfreda.



— Nie zgadłabyś tak dobrze — odparła poważnie margrabina, siłąc się powstrzymać  
lzy — gdybyś nie czuła...

— Czego? — rzekła córka niemal wyniośle. — Ależ, mam, doprawdy...

— Moino — wykrzyknęła pani d'Aiglemont z wysiłkiem — trzeba, byś wysłuchała  
uważnie tego, co ci powiem...

— Słucham — rzekła hrabina, zakładając ręce na piersiach z drwiącą uległością. —  
Pozwoli tylko mama — rzekła ze zdumiewającą zimną krwią — że zadzwonię na Paulinę,  
aby ją wysłać...

Zadzwoniła.

— Drogie dziecko. Paulina nie może słyszeć...

— Mamo — odparła hrabina z powagą, która powinna była uderzyć matkę — mu-  
szę...

Urwała, gdyż zjawiała się panna służąca.

— Paulino, pójdziesz *sama* do Baudrana dowiedzieć się, czemu nie przysłała mi dotąd  
kapelusza.

Usiadła i spojrzała bacznie na matkę. Margrabina, której serce było wezbrane, oczy  
suche, doznawała w tej chwili wzruszenia, którego ból zdolne są zrozumieć jedynie mat-  
ki. Zaczęła mówić, przestrzegając Moinę przed niebezpieczeństwem, jakie jej zagraża.  
Ale, czy że hrabinę dotknęły podejrzenia matczyne, czy też była w tej chwili pastwą owe-  
go niepojętego szalu, którego tajemnica tkwi w niedoświadczeniu młodości, skorzystała  
z chwili przerwy, aby powiedzieć z wymuszonym śmiechem:

— Mamo, myślałam, że jesteś zazdrosna tylko o ojca...

Na te słowa pani d'Aiglemont zamknęła oczy, spuściła głowę i wydała leciuchne wes-  
tchnienie. Spojrzała w górę, jakby pod wpływem niezwykłego uczucia, które każe  
nam wezwać Boga w chwilach ciężkiej próby; następnie zwróciła na córkę oczy pełne  
straszliwego majestatu, zarazem nabrzmiałe bólem.

— Moje dziecko — rzekła poważnym i zmienionym głosem — byłaś dla matki bar-  
dziej niemiłosierna niż człowiek, którego skrzywdziła, niż może będzie sam Bóg.

Pani d'Aiglemont wstała, ale doszedłszy do drzwi obróciła się; ujrzała jedynie zdzi-  
wienie w oczach córki, wyszła i zdołała dojść ledwo do ogrodu, gdzie ją siły opuściły.  
Czując w sercu gwałtowny ból, osunęła się na ławkę. Oczy jej, błądząc po piasku, uj-  
rzały świeży ślad kroków mężczyzny, którego buty zostawiły odcisk łatwy do poznania.  
Z pewnością córka była zgubiona; matka zrozumiała istotną treść zlecenia danego Pauli-  
nie. Z tą okrutną myślą łączyły się inne odkrycie, ohydniejsze niż wszystko. Pomyślała,  
że to syn margrabiego de Vandenesse zniszczył w sercu Moiny szacunek, jaki córka winna  
jest matce. Cierpienie jej wzmoгло się, omdlała i trwała w tym omdleniu.

Młoda hrabina uważała, że matka pozwoliła sobie na reprimendę zbyt ostrą, ale po-  
myślała zarazem, że wieczorem jakaś pieśczość i trochę serdeczności wystarczą, aby ją  
ulagodzić. Słyszac w ogrodzie krzyk, wychyliła się niedbale z okna w chwili, gdy Paulina,  
która jeszcze nie wyszła, wołała o pomoc i trzymała margrabinę w ramionach.

— Nie przestraszcie córki! — to było ostatnie słowo wyrzeczone przez tę matkę.

Moina ujrzała, jak niosą matkę, bladą, wpół martwą, oddychającą z trudem, ale poru-  
szającą rękami, jak gdyby chciała walczyć lub mówić. Przerażona tym widokiem, Moina  
udała się za matką, pomogła w milczeniu położyć ją na łóżku i rozebrać ją. Gnębiły ją  
wyrzuty. W tej ostatecznej chwili poznała matkę i nie mogła już nic naprawić! Dała znak,  
że chce z nią zostać sama; kiedy już nie było nikogo w pokoju, kiedy uczuła chłód tej ręki  
dla niej zawsze tak pieśczołliwej, zalała się łzami. Zbudzona tym płaczem margrabina  
mogła jeszcze spojrzeć na swą drogą Moinę, po czym słyszac łkanie, które rozdzierało  
tę delikatną i wzburzoną pierś, spojrzała na córkę z uśmiechem. Ten uśmiech dowiódł  
młodej matkobójczyni, że serce matki to otchłań, na której dnie zawsze się znajdzie prze-  
baczenie.

Skoro sobie zdano sprawę ze stanu margrabiny, wysłano konnych posłańców po dok-  
tora, po chirurga i po wnuków pani d'Aiglemont. Synowa i jej dzieci przybyli równocze-  
śnie z lekarzami, tworząc grupę dość liczną, milczącą, niespokojną, do której przyłączyła  
się służba. Młoda margrabina, nie słyszac szmeru, zapukała lekko do drzwi chorej. Na ten  
odgłos Moina, zbudzona zapewne z boleści, otwarła gwałtownie drzwi na oścież, powio-  
dła błędnym wzrokiem po zebranych. Wzburzenie jej mówiło więcej niż wszelkie słowa.

Na widok tego żywego wyrzutu wszyscy oniemieli. Łatwo było dojrzeć nogi margrabiny sztywne i wyciągnięte konwulsyjnie na śmiertelnym łożu. Moina, opierając się o drzwi, spojrzała na krewnych i rzekła głucho:

— Straciłam matkę!

*Paryż, 1828–1844.*

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-komedia-ludzka-kobieta-trzydziestoletnia>

Tekst opracowany na podstawie: Honoré de Balzac, *Komedia ludzka, Kobieta porzucona*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, Przekłady Boy'a, t. 88, wyd. Drukarnia Krajowa, Warszawa 1926

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0066-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przełącz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przełącz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).